



*Maurice Druon*

**Królowie  
przekleci 7**



**Kiedy król gubi kraj**



Księgozbiór DiGG



2010



# Przedślowie

**W** wielkich tragediach dziejowych objawiają się wielcy ludzie, lecz owe tragedie są dziełem miernot.

Na początku XIV wieku Francja jest najpotężniejszym z chrześcijańskich królestw, najgęściej zaludnionym, najbogatszym, najbardziej aktywnym politycznie. Interwencje jej budzą lęk, arbitraże - poszanowanie, państwa szukają jej opieki. I można mniemać, że Europa wkracza w erę francuską.

Cóż więc spowodowało, że naród pięciokrotnie mniej liczny miażdży tę samą Francję na polach bitew, że szlachta francuska rozpada się na kliki, mieszczaństwo buntuje, lud pada pod ciężarem nadmiernych podatków, prowincje odrywają się jedna po drugiej, na drogach bandy rabusiów grabią i mordują, naród drwi z władzy, pieniądze traci na wartości, handel zamiera, a wszędzie zagościły nędza i brak bezpieczeństwa? Skąd ta ruina? Co odwróciło kartę losu?

Po prostu mierność. Miernota kilku królów, ich głupia, pyszałkowata zarozumiałość, lekkomyślne rządy, nieumiejętność doboru współpracowników, opieszałość, zaślepienie, brak zdolności do tworzenia wielkich planów czy po prostu do kontynuowania uprzednio już powziętych.

Nie powstanie i nie przetrwa żadne wielkie dzieło w dziedzinie polityki bez współdziałania ludzi, których talent, charakter, wola inspirują i jednoczą ludzkie siły i nimi kierują.

Wszystko zawodzi, gdy ster rządów obejmują nieudolne jednostki. Spójnia zanika, kiedy potęga rozpada się w gruzy.

Pierwotnie Francja - to pojęcie wszczepione w dzieje, myśl powzięta samorzutnie, która począwszy od tysięcznego roku kiełkuje w panującej rodzinie i tak uparcie przechodzi z ojca na syna, że pierworództwo w najstarszej gałęzi rodu szybko się staje uznanym prawem dziedziczenia tronu.

Zapewne, szczęście również dopisało, jakby los chciał sprzyjać powstaniu narodu posługując się krzepką dynastią. Od elekcji pierwszego Kapetynga aż do śmierci Filipa Pięknego - w ciągu trzech z ćwiercią wieków - ledwie jedenastu królów na tronie, a każdy pozostawił syna dziedzicem.

Och! Nie wszyscy ci władcy byli orłami. Ale prawie zawsze po nieudolnym czy niefortunnym natychmiast obejmował rządy - jakby z łaski nieba - monarcha wielkiej miary albo wybitny minister rządził zamiast i w imieniu marnego księcia.

Młodziutka Francja omal nie zginęła w rękach Filipa I, człowieka o

wadach miążkich, a wybitnie nieudolnego. Po nim wstępuje na tron nieznużony Ludwik VI Gruby. W początkach panowania wrogowie grożą mu ledwo pięć mil od Paryża, a w chwili śmierci pozostawia władzę utrwaloną i sięgającą aż po Pireneje. Chwiejny, niekonsekwentny Ludwik VII wciąga Francję w nieszczęsne zamorskie wyprawy, lecz opat Suger w imieniu monarchy utrzymuje spójność i żywotność kraju.

A następnie wielokrotnie sprzyja Francji szczęście, począwszy od końca XII wieku aż do początków XIV trzech władców genialnych, czy też wyjątkowych, dostatecznie długo zasiada na tronie - czterdzieści trzy, czterdzieści jeden i dwadzieścia dziewięć lat panowania - aby urzeczywistnione zamysły stały się nie do obalenia. Trzej ludzie o bardzo różnych charakterach i zaletach, lecz wszyscy trzej ponad przeciętny poziom królów.

Filip August, kowal dziejów Francji, wokół włości królewskich, a potem coraz dalej zaczyna utrwalać poczucie wspólnej ojczystej więzi. Przeniknięty pobożnością Ludwik Święty wokół ośrodków sprawiedliwości królewskiej wprowadza jednolite prawa. Filip Piękny, wybitny monarcha, posługując się administracją królewską, zaczyna wpajać poczucie jedności państwa. Żaden z nich nie dbał o mir u narodu, ale pragnął działać, i to skutecznie. Każdy z nich musiał wypić gorzki napój niepopularności. Lecz gdy zmarli, lud niepomiernie bardziej ich żałował, niż za życia zniesławiał, wykpiwał czy nienawidził. A przede wszystkim poczęło istnieć zapoczątkowane przez nich dzieło. Jedna ojczyzna, jednolity wymiar sprawiedliwości, jedno państwo: zasadniczy fundament narodu. Kraj dzięki tym trzem arcymistrzom idei Francji wyszedł z okresu energii potencjalnej. Francja, już samoświadoma, utrwaliła się na Zachodzie jako rzeczywistość niezaprzeczalna i szybko uzyskuje wpływy.

Dwadzieścia dwa miliony ludności, warowne granice, łatwość mobilizacji wojska, feudałowie trzymeni w posłuchu, okręgi administracyjne pod bacznym okiem, bezpieczne drogi, kwitnący handel; jakież inny kraj chrześcijański może się równać z Francją i może jej nie zazdrościć? Lud uskarża się oczywiście, bo czuje na karku dłoń, którą uznaje za zbyt twardą; będzie o wiele głośniej jęczał, gdy popadnie w ręce nadmiernie miękkie czy też zbyt niefrasobliwe.

Ze śmiercią Filipa Pięknego - nagła katastrofa. Wielkie, długotrwałe szczęście w następstwie tronu wygasło.

Trzej synowie króla z żelaza zstępują z tronu nie pozostawiając następców. Opowiedzieliśmy już, jakie dramaty przeżywał dwór francuski, gdy korona została wystawiona na przetarg ambicji.

Czterech królów w grobie w ciągu czternastu lat; dość, by wstrząsnąć wyobraźnią! Francuzi nienawykli tak często pędzić do Reims. W pień rodu Kapetyngów jakby piorun uderzył. I nikogo nie pokrzepił widok korony ześlizgującej się na gałąź wichrzycielskich Valois, książąt fanfaronów, porywczych, niebotycznie zarozumiałych, płytkich i działających na pokaz. Valois wyobrażali sobie, że wystarczy uśmiech, aby uszczęśliwić królestwo. Ich poprzednicy utożsamiali siebie z Francją. Oni utożsamiali Francję z własnym o sobie wyobrażeniem. Po przekleństwie szybkich

zgonów, przekleństwo miernoty.

Pierwszy z rodu Valois, Filip VI, zwany „królem znajdkiem”, innymi słowy parweniusz, nie potrafił w ciągu dziesięciu lat utrwalić swej władzy, pod koniec tego okresu bowiem cioteczny jego brat Edward III Angielski postanawia wszcząć spór dynastyczny. Oświadcza, że jest prawowitym królem Francji, co mu zezwala popierać we Flandrii, Bretanii, Saintonge, Akwitanii wszystkich: tak miasta, jak i wielmożów, sarkających na nowe rządy. W obliczu bardziej energicznego monarchy Anglik zapewne by się zawahał.

W równej mierze Filip nie potrafił zażegnywać niebezpieczeństw. Francuska flota została zniszczona pod Ecluse z winy admirała niewątpliwie wybranego z racji nieznamomości morza, a sam król błąkał się po polach w wieczór klęski pod Crécy, ponieważ dopuścił, by konnica szarżowała tratując własną piechotę.

Kiedy Filip Piękny ustanawiał podatki, które mu wytykano, miał na celu obronę Francji. Kiedy Filip de Valois żądał o wiele cięższych danin, miał na celu pokrycie kosztów poniesionych klęsk.

W ciągu końcowych pięciu lat panowania Filipa kurs pieniądza zmienia się sto sześćdziesiąt razy; pieniądz traci trzy czwarte swej wartości. Bezsukutecznie wyznacza się urzędowe ceny na towary, osiągają one wysokość zawrotną. Nieznana dotychczas inflacja wzburza miasta.

Kiedy cień nieszczęścia pada na kraj, powstaje zamęt, a do ludzkich omyłek dołączają się klęski żywiołowe. Mór, groźna zaraza z głębi Azji, nawiedza Francję srożej niż inne kraje Europy. Ulice przemieniają się w łoża śmierci, przedmieścia - w kostnice. Tu ginie czwarta część ludności, tam - trzecia. Znikają całe wioski, pozostają po nich wśród ugorów tylko lepianki, w których hula wiatr.

Filip de Valois miał syna. Zaraza, niestety, go oszczędziła.

Pozostało Francji tylko kilka stopni, by popaść w ruinę i zstąpić na dno rozpacz; będzie to dziełem króla Jana II mylnie zwanego Dobrym.

Ów szereg kolejnych miernot omal nie utracił ustanowionego w średniowieczu prawa zwyczajowego, które powierzało przyrodzie wyhodowanie w łonie jednej i tej samej rodziny posiadacza najwyższej władzy. Ale czy ludy częściej wygrywają stawiając na urny wyborcze - czy na chromosomy? Tłumy, zgromadzenia, nawet ściśle kolegia myślą się nie rzadziej niż przyroda, a Opatrzność, tak czy owak, skąpi ludziom geniuszu.





## CZĘŚĆ PIERWSZA

# Nieszczęście nadciąga z daleka



### I

## Kardynał z Perigord rozmyśla...

...Powiniennem był zostać papieżem. Jakże nie wspominać, jakże nie rozpamiętywać, że trzy razy w mych dłoniach trzymałem tiarę. Zarówno przed wyniesieniem na tron Benedykta XII, jak i Klemensa VI czy też obecnie nam panującego arcypasterza, to ja, zamykając spory, stanowiłem, na czyjej głowie ma ona spocząć. Przyjaciel mój Petrarca nazywa mnie twórcą papieży... Jednak nie tak dobrym twórcą, skoro nigdy tiara nie mogła uwieńczyć mych skroni. Cóż, wola Boża... Ach! Konklawe to dziwna instytucja! Zaiste sądzę, że jestem jedynym spośród żyjących kardynałów, który oglądał aż trzy. A może ujrzę i czwarte, jeśli nasz Innocenty VI jest tak chory, jak się uskarża...

Co tam za dachy? Tak, poznaję, to opactwo Chancelade w dolinie rzeki Beauronne... Pierwszym razem oczywiście byłem za młody. Trzydziesty trzeci rok życia - lata Chrystusowe; a poszeptywało się o tym w Awinionie, kiedy stało się wiadomo, że Jan XXII... Panie, świeć nad jego duszą - był moim dobroczyńcą... już się nie podźwignie. Ale kardynałowie nie wybraliby młodzika spośród swych braci; i to było słuszne, chętnie przyznaję. Na to stanowisko potrzeba doświadczenia, które później nabyłem. Jednakowoż dość go posiadałem, aby nie zaprzętać sobie głowy próżnymi złudzeniami... Sugerując Włochom, że nigdy, przenigdy francuscy kardynałowie nie głosowaliby na Jakuba de Fournier, zdołałem skupić ich głosy na jego osobie i doprowadzić do jednomyślnego wyboru. „Osła wybraliście”, tak zawołał w podzięcie wnet po ogłoszeniu jego imienia, znał swe braki. Nie, osłem nie był, ale i nie lwem. Dobry generał zakonu, nieźle umiejący zmusić do posłuchu, gdy stał na czele cystersów. Ale by kierować całym chrześcijaństwem... zbyt skrupulatny, zbyt drobiazgowy, zbyt inkwizytorski. Ostatecznie jego reformy przyczyniły więcej zła niż dobra. Za pontyfikatu Benedykta było jednak pewne, że Stolica Apostolska nie powróci do Rzymu, w tej kwestii był jak mur, jak skała... a to była sprawa zasadnicza.

Po raz wtóry na konklawe 1342 roku... ach! po raz wtóry miałbym

wszelkie dane, jeśliby... jeśliby Filip de Valois nie zechciał zmusić do obioru swego kanclerza, arcybiskupa Rouen. My, z rodu Perigord, zawsze byliśmy sługami francuskiej korony. A wreszcie, jakże mógłbym pozostać nadal głową francuskiego stronnictwa, gdybym zamierzał przeciwstawić się królowi? Zresztą Piotr Roger był wielkim papieżem, na pewno najlepszym spośród tych, którym służyłem. Wystarczy spojrzeć, czym stał się Awinion za jego pontyfikatu, na pałac przezeń zbudowany, na ogromny napływ pisarzy, uczonych, artystów... A później udało mu się kupić Awinion. Właśnie ja prowadziłem rokowania z królową Neapolu, mogę rzec, iż to moje dzieło. Osiemdziesiąt tysięcy dukatów, toż fraszka, nieledwie jałmużna. Królowa Joanna potrzebowała nie tyle pieniędzy, ile odpustów za swe kolejne małżeństwa, nie mówiąc już o kochankach.

Na moje konie pociągowe chyba założono nową uprząż. Koleba nie jest dostatecznie wymoszczona. Przy wyjeździe zawsze się tak dzieje, zawsze to samo... Od tego czasu wikariusz Boga przestał być najemcą siedzącym na brzeżku niepewnego tronu. A jakież dwór wonczas mieliśmy, wzór dla całego świata! Wszyscy królowie tu się cisnęli. Nie wystarcza samo kapłaństwo, ażeby być dobrym papieżem; trzeba także być władcą. Klemens VI był wielkim politykiem; chętnie słuchał mych rad. Ach! liga morska jednocząca Latynów ze Wschodu, króla Cypru, Wenecjan, szpitalników... Oczyszciliśmy archipelag grecki z barbarzyńskiej zarazy; a osiągnęlibyśmy jeszcze więcej. Później zaś wybuchła ta głupia wojna króla francuskiego z angielskim - sam siebie zapytuję, czy kiedykolwiek się ona skończy - i pokrzyżowała nasze plany ponownego sprowadzenia Kościoła Wschodniego na łono Rzymu. A później nastąpiła zaraza... a później nastał Klemens...

Trzeci raz, na konklawe sprzed czterech lat, przeszkodziło mi moje pochodzenie. Jak się wydaje, byłem zbyt wielkim panem, a takiegośmy właśnie mieli. Pomyślcie tylko, obiór mnie, Heliasza de Talleyrand, zwanego kardynałem na Perigord, cóż to byłaby za obraza dla ubogich! Istnieją okresy, gdy nagły szał pokory i samoponizienia ogarnia Kościół. Co mu nigdy nie wychodzi na dobre. Zrzućmy nasze kapłańskie szaty, pochowajmy ornaty, sprzedajmy złote cyboria i podawajmy Ciało Chrystusowe w miseczce za dwa denary, wdziejmy chłopską odzież, możliwie brudną, tak aby nie szanował nas nikt, a pierwsi prostaczekowie... Panno Święta, gdybyśmy do nich się upodobnili, za co mieliby nas czcić? A w końcu i siebie wzajem przestalibyśmy szanować... Kiedy przeciwstawiacie te argumenty zajadłym pokornikom, podsuwają wam pod nos Ewangelię, jakby tylko oni ją znali, i upierają się przy żłobku między wołem a osłem i warsztaciku cieśli... Stańcie się podobni do Pana Naszego Jezusa... Ależ gdzie przebywa teraz Pan Nasz, moi zarozumiali księżulkowie? Czyż nie zasiada po prawicy Ojca złączony z nim we Wszechpotędzie? Czyż nie jest Chrystusem w majestacie królującym w światłości gwiazd i wśród muzyki niebiańskiej? Czyż nie jest królem świata otoczonym legionami serafinów i błogosławionych? Co was upoważnia, abyście stanowili, który z tych wizerunków winniście za swoim pośrednictwem ukazywać wiernym: czy ten krótkiego istnienia na ziemskim padole, czy ten w wiekuistej chwale?

...Przeto, jeśli zajeżdżam do jakiejś diecezji i widzę biskupa zbyt przejętego „nowinkami” i nieco zbyt skłonnego do poniżania Boga, oto co mu przykazuję... Nie jest zbyt przyjemnie chodzić dzwigając co dzień dwadzieścia funtów złotogłowi i mitrę, i pastorał, zwłaszcza gdy się to czyni od trzydziestu lat. Lecz jest to konieczność.

Octem dusz nie przyciągniesz. Kiedy jeden wszarz mówi innym wszarzom „bracia moi”, nie sprawia to wielkiego wrażenia. Jeśli król im to powie, to zgoła co innego. Wpocić ludziom trochę szacunku dla siebie samych, oto pierwszy miłosierny uczynek nie znany braciszkom oraz innym zakonnym włóczykijom. Właśnie dlatego, że ludzie są biedni i cierpiący, i grzeszni, i nędzni, trzeba im dać zachętę, by żywili nadzieje na lepsze światy. O tak! za pomocą kadzideł, złocen, muzyki Kościół powinien wiernym dawać przecucie Królestwa Niebieskiego, a każdy kapłan, począwszy od papieża i jego kardynałów, winien po trosze świecić odblaskiem obrazu Wszechstwórcy.

W gruncie rzeczy, nieźle tak ze sobą porozmawiać, znajduję argumenty do przyszłych mych homilii, lecz wolę je wyszukiwać w towarzystwie. Myślę, że Brunet nie zapomniał o moich konfektach. Ach nie, tu są. Zresztą on nigdy nie zapomina.

Ja, choć nie jestem znamienitym teologiem, jak ci, co w tych czasach zewsząd spadają na nas ulewą, ale mam obowiązek utrzymywać w porządku i schludności dom Pana Boga na ziemi i nie godzę się, aby uszkodzić moje życie i dwór; sam papież, świadom, co mi zawdzięcza, nie zamierza do tego mnie przymuszać. Jeśli mu się podoba umniejszać na swym tronie - to jego sprawa. Lecz ja, będąc nuncjuszem papieża, czuwam nad ochroną chwały jego kapłaństwa.

Wiem, że poniektórzy wykpiwają moją wielką kolebę o złoconych gałkach i gwoździach, w której teraz jadę, i konie strojne w purpurę, i dwieście włóczy w mym poczcie, i trzy lwy herbu Perigord wyhaftowane na mej chorągwi i liberiach sierżantów. Lecz właśnie dlatego, kiedy wkraczam do każdego miasta, cały lud bieży, by paść czołem i ucałować mój płaszcz, a królów zmuszam, by uklękli... dla Twojej chwały, Panie, dla Twojej chwały...

Jednakowoż argumenty te nie były w duchu ostatniego konklawe, a dano mi to odczuć wyraźnie. Konklawe pożałowało człowieka z pospólstwa, pragnęło prostaczka, pokornego biedaczyny. Ledwo zdołałem nie dopuścić do obioru Jana Birela, człowieka świętego, o, zapewne świątobliwego człowieka, lecz bez szczypty rozumu, by rządzić, i byłby on drugim Piotrem de Morone. Starczyło mi wymowy, by przekonać braci konklawistów, jakie zaistniałoby niebezpieczeństwo w obecnym stanie Europy, gdybyśmy popełnili błąd obierając nowego Celestyna V. Ach, nie oszczędziłem Birela! Tak go wychwalałem, dowodząc, w jaki sposób wielebne jego cnoty czynią go niezdolnym do rządzenia Kościołem, że poczuł się całkiem zmiażdżony. I zdołałem skłonić do obioru Stefana Auberta, rodu w miarę nędznego z okolic Pompadour, a karierze dostatecznie pozbawionej blasku, by wszystkie głosy skupiły się na jego imieniu.

Twierdzi się, że Duch Święty nas oświeca, by skłonić do obioru

najlepszego; a naprawdę najczęściej głosujemy, by gorszego odsunąć.

Sprawia mi zawód nasz Ojciec Święty. Postępuje, waha się, postanawia, potem odwołuje. Ach! całkiem inaczej powiodłbym Kościół. Zresztą, cóż za pomysł miał, wysyłając ze mną kardynała Capocciego, jakby potrzebni byli dwaj legaci, jakbym ja nie był dość biegły, by prowadzić rokowania samodzielnie! Wynik? Kłócimy się od samego początku, ponieważ wykazuję mu jego głupotę; obraża się mój Capocci; zamyka się w sobie, a podczas gdy ja pędzę z Breteuil do Montbazon, z Montbazon do Poitiers, z Poitiers do Bordeaux, z Bordeaux do Perigueux, on, siedząc w Paryżu, tylko wszędzie pisze, by pogmatwać moje rokowania. Ach! mam nadzieję, że go nie spotkam w Metz, u Cesarza...

Perigueux, moje Perigord... Mój Boże, czy po raz ostatni miałem je oglądać?

Moja matka była przekonana, że zostanę papieżem. Niejednokrotnie dawała mi to odczuć. Dlatego kazała wygolić mi tonsurę, kiedy miałem sześć lat, i uzyskała od Klemensa V, który żywił do niej - wielką i piękną przyjaźń - że od razu zaliczył mnie do papieskich scholastów i uznał za zdolnego do otrzymania beneficjów. Ileż miałem lat, kiedy mnie zaprowadziła do niego?... „Damo Brunisando, oby syn wasz, którego specjalnie błogosławimy, dowiódł w stanie przez was wybranym cnót, jakich można oczekiwać po jego rodzie, i szybko się wzniósł ku najwyższym godnościom naszego świętego Kościoła.” ...Nie, nie więcej niż siedem lat. Mianował mnie kanonikiem w Saint-Front; moja pierwsza pelerynka prałata. Niemal przed pięćdziesięciu laty... Matka widziała mnie papieżem. Czy to było marzenie ambitnej matki, czy też naprawdę wizja prorocza, jaką niewiasty niekiedy miewają? Niestety, szczerze mniemam, że wcale nie będę papieżem.

A jednak... a jednak na karcie mego nieba Jowisz jest złączony ze Słońcem w pięknym wywyższeniu, co oznacza władztwo i spokojne królowanie. Żaden z kardynałów nie ma piękniejszych ode mnie aspektów. W dniu elekcji mój układ gwiazdny był pomyślniejszy niż u Innocentego. Lecz, hm... spokojne królowanie, spokojne królowanie, a mamy wojnę, zamęt i burzę. Na obecne czasy mam zbyt piękne konstelacje. Gwiazdy Innocentego, mówiące o trudnościach, błędach, niepomyślnych zwrotach fortuny, bardziej się nadawały do tego ponurego okresu. Bóg dopasowuje ludzi do sytuacji dziejowej, a papieży powołuje stosownie do swych planów, tego do wielkości i chwały, owego do mroku i upadku.

Gdybym nie został duchownym, wedle woli matki, byłbym hrabią de Perigord, ponieważ starszy mój brat zmarł bezpotomnie akurat w roku pierwszego mego konklawe, a hrabiowska korona przeszła na młodszego brata, Rogera Bernarda, ponieważ nie mogła mnie uwieńczyć... Ni papież, ni hrabia. Cóż, trzeba pogodzić się ze stanowiskiem, które mi Opatrzność wyznaczyła, i usiłować jak najsumienniejszym wywiązać się z obowiązków. Bez wątplenia będę należał do ludzi, którzy w czasach im współczesnych odegrali wielką rolę i byli filarami swego wieku, a popadli w zapomnienie, ledwo zgaśli. Leniwa jest pamięć ludów, zachowuje tylko imiona królów... Twoja wola, Panie, Twoja wola...

Zresztą na cóż się zda rozważać sprawy, tylekroć już przemyślane...



Widok Perigord z lat dziecięcych i mej drogiej kolegiaty Saint-Front i odjazd z tej miejscowości tak mię wzruszyły. Spójrzmy raczej na ten krajobraz, który może oglądam po raz ostatni. Dzięki, Panie, żeś mię obdarzył tą radością...

Ale dlaczego tak szparko mię wiozą? Już minęliśmy Chateau-l'Eveque; stąd do Bourdeilles nie więcej niż dwie godziny drogi. W dzień wyjazdu trzeba zawsze przebyć krótki odcinek. Pożegnania, ostatnie supliki, ostatnie błogosławieństwa, których od nas żądają, zapomniane skrzynie, nigdy nie odjeżdża się o wyznaczonej porze. Lecz tym razem zaprawdę krótki odcinek...

Brunet!... Hejże, Brunet, przyjacielu, pośpiesz na czoło i rozkaż, aby zwolniono tempo. Kto nas tak przynagla? Czy to Cunhac, czy La Rue? Nie ma potrzeby tak mną potrząsać. A później idź i powiedz dostojnemu panu Archibaldowi, memu bratankowi, niech zsiada z konia, zapraszam go do mej karety. Dziękuję, idź.

Do Awinionu towarzyszył mi siostrzeniec, Robert z Durazzo; był bardzo miłym kompanem. Miał rysy mojej siostry Agnieszki oraz naszej matki. Po kiego licha dopuścił, żeby go ubiły te angielskie bałwany, po co wmieszał się w bitwę wydaną przez króla Francji! Och! nie ganię go, nawet jeśli udaję, iż to czynię. Któż mógł pomyśleć, że król Jan w taki sposób da się wysadzić z siodła! Ustawia w szeregu trzydzieści tysięcy żołnierza naprzeciw sześciu tysiącom, a wieczorem już się znajduje w niewoli. Ach! głupi książę, dureń! Skoro mógł wszystko osiągnąć nie wydając bitwy, gdyby tylko przystał na układ, który mu podsunąłem niczym na tacy ofiarnej!

Archibald wydaje mi się mniej bystry i błyskotliwy niż Robert. Nie poznał Italii, która wielce rozjaśnia umysły młodych. Ostatecznie, to on będzie hrabią na Perigord, jeśli Bóg zezwoli. Podróż w moim towarzystwie ukształtuje młodzika. Mnóstwa rzeczy może się ode mnie nauczyć... Po odmówieniu pacierzy nie lubię tkwić w samotności.





## II

### Kardynał Perigord przemawia

... **W**cale nie mam odrazy do konnej jazdy, Archibaldzie, ani też lata nie czynią mnie do tego niesposobnym. Wierz mi, mogę jeszcze nader sprawnie przejechać konno piętnaście dobrych mil i znam wielu ode mnie młodszych, których bym prześcignął.

Zresztą, jak widzisz, zawsze stąpa za mną rumak w pełnym rzędzie, na wypadek gdybym miał chętkę lub musiał go dosiąść. Ale przekonałem się, że podskoki na siodle przez cały dzień bardziej pobudzają łaknienie niż umysł i skłaniają raczej do obfitego jadła i napojów niż zachowania trzeźwej głowy, a ta mi potrzebna, skoro ledwie przybędę, często muszę lustrować, zarządzać czy prowadzić rokowania.

Wielu królów, a w pierwszym rzędzie król Francji, korzystniej rządziłoby państwem, gdyby mniej nużyło łądźwie, a bardziej mózgownicę i nie upierało się przy omawianiu za stołem najważniejszych spraw tuż po zakończeniu podróży czy też powrocie z łowów. Zakonotuj, że nie mniej żwawo jedzie się w kolebie, jak to czynię, jeśli ma się dobre pociągowe konie przy pojeździe i roztropnie często się je zmienia. Czy chcesz konfekcika, Archibaldzie? W szkatułce pod twoją ręką... a więc daj mi jednego.

Czy wiesz, ile dni jechałem z Awinionu do Breteuil w Normandii na spotkanie króla Jana, który tam gotował to bzdurne oblężenie? Powiedźże?... Nie, bratanku, krócej. Wyjechaliśmy 21 czerwca, w najdłuższy dzień roku, i wcale nie o świcie. Bo wiesz, czy raczej nie wiesz, jak się odbywa odjazd nuncjusza albo dwóch, ponieważ wówczas było nas dwóch... Obowiązuje dobry obyczaj, że po mszy całe kolegium kardynałów aż milę poza miasto towarzyszy wyjeżdżającym; a za nimi postępuje zawsze wielki tłum albo też gapi się po obu stronach drogi. A kroczyć trzeba jak na procesji, by przydać powagi pocztowi. Później przystaje się, kardynałowie ustawiają się rzędem wedle prawa starszeństwa i nuncjusz wymienia z każdym pocałunek pokoju. Cała ceremonia trwa długo po świcie... Wyjechaliśmy więc 21 czerwca. Byliśmy zaś w Breteuil 9 lipca. 18 dni. Niccola Capocci, mój współlegat, zachorował. Co prawda wytrzymałem tego niewieściszka. Lecz po tygodniu Ojciec Święty trzymał w rękę zawiezione przez gońców sprawozdanie z pierwszej mej rozmowy z królem.

Obecnie tak nam nie śpieszno. Przede wszystkim o tej porze roku dni są krótkie, nawet jeśli pogoda nam łaskawa... Nie przypominam sobie, aby listopad kiedykolwiek w Perigord był tak łagodny jak dzisiaj. Jakże pięknie słońce nam przyświeca! Lecz grozi nam ślota, gdy posuniemy się na północ królestwa. Obliczam, że podróż potrwa dobry miesiąc i tym sposobem staniemy w Metz na Boże Narodzenie, jeśli Bóg zezwoli. Nie, wcale nie potrzebuję tak się śpieszyć jak ubiegłego lata, ponieważ na

przekór mym staraniom wojna wybuchła, a król Jan jest w niewoli.

Jak mogło się przydarzyć podobne nieszczęście? Och! nie tylko ty się zdumiewasz, bratanku. Cała Europa niemało była zaskoczona i dyskutuje dotąd o przyczynach i racjach... Nieszczęście na królów nadciąga z daleka, a często się uważa za zrządzenie losu to, co wynika jedynie z przekleństwa ich własnej natury. Im większe nieszczęście, tym głębiej sięgają jego korzenie.

Sprawę tę znam na wylot... Podciągnij nieco ku mnie to przykrycie... i zapewniam cię, że oczekiwałem takiego zakończenia. Spodziewałem się, że wielkie nieszczęście spadnie na króla, dotknie go wielkie upokorzenie, a tym samym i Francję, niestety! My w Awinionie znamy wszystko, czym żyją dwory. Napływają do nas wieści o wszelakich intrygach, różnych spiskach. Nie ma małżeństwa, abyśmy nie zostali uprzedzeni, nawet przed narzeczonymi... „W wypadku gdyby Dama z tej dynastii miała oddać rękę Panu z tamtej dynastii, a będącemu kuzynem panny w drugim stopniu, czy Ojciec Święty udzieliłby dyspensy?”... nie ma traktatu, aby nie wysłano do nas zaufanych z obu stron; ani zbrodni, by grzesznik nie przybył po rozgrzeszenie... Kościół dostarcza królom i księżętom kanclerzy, a także większości legistów...

Od lat osiemnastu rody francuski oraz angielski prowadzą ze sobą otwartą wojnę. Jakaż przyczyna tej wojny? Pretensje króla Edwarda do korony francuskiej, oczywiście! To jest pretekst, uznaję, że to prawny pretekst, bo można się prawować aż do końca świata, lecz bynajmniej nie jedyny i prawdziwy powód. Od zamierzchłych czasów istnieją mętne określone granice między Gujenną a sąsiednimi hrabstwami począwszy od naszego Perigord: wszystkie te dokumenty gruntowe niejasno sformułowane, w których prawa feudalne wciąż się zazębiają; trudno porozumieć się wasalowi z seniorem, skoro obaj są królami; trwa handlowe współzawodnictwo dotyczące przede wszystkim welen i tkanin, co powoduje znowu spory o Flandrię, działa poparcie, którego Francja używa Szkotom zagrażającym królowi Anglii od północy... Wojna wybuchła nie z jednego powodu, lecz z wielu przyczyn tłących się niczym żar nocą. W dodatku Robert d'Artois został pozbawiony czci, a wygnany z królestwa udał się do Anglii, by rozdmuchać zarzewie. Papieżem był naówczas Piotr Roger, innymi słowy Klemens VI; uczynił on wszystko i kazał wszystko czynić, aby nie dopuścić do tej podłej wojny. Zachęcał do ugody, do obustronnych ustępstw. Wysłał także legata, był zresztą nim nie kto inny, jak kardynał Aubert, nasz obecny arcybiskup. Chciał on wskrziesić projekt krucjaty, w której wzięliby udział obaj królowie zabierając ze sobą szlachtę. Byłby to dobry sposób skierowania na inne tory ich wojowniczych zapędów oraz, nadzieja na ponowne zjednoczenie chrześcijaństwa. Zamiast krucjaty mieliśmy Crécy. Ojciec twój tam walczył, opowiadał ci o tej klęsce...

Ach! bratanku, dłużej pożyjesz, to zobaczysz, że żadna to zasługa służyć całym sercem dobremu królowi; wdraża cię w wypełnianie obowiązków, a ponoszone trudy nic nie kosztują, ponieważ odczuwasz, że zmierzają ku najwyższemu dobru. Trudno służyć złemu monarsze... albo złemu papieżowi. W czasach mej pierwszej młodości widywałem ludzi szczęśliwych, iż służą Filipowi Pięknemu. Wierność wobec tych

pyszalkowatych Valois wymaga większego samozaparcia.

Nie słuchają rad i raczą rozsądnie przemawiać tylko wówczas, kiedy są pokonani i wysadzeni z siodła.

Dopiero po Crécy Filip VI zgodził się na rozejm na warunkach, które mu podsunąłem. Wcale niezłe, należy sądzić, skoro rozejm, poza kilku miejscowymi potyczkami, trwał razem wzięwszy od 1347 do 1354 roku. Siedem lat względnego spokoju. Dla wielu byłyby to szczęśliwe czasy. Lecz niestety, w naszym przeklętym wieku ledwo wojna się kończy, rozpoczyna zaraza.

W Perigord was raczej oszczędziła... Oczywiście, bratanku, oczywiście i wy spłaciliście haracz owej pladze; tak, i wam przypadła część okropieństwa. Lecz to błahostka w porównaniu z licznymi miastami, otoczonymi gęsto zaludnioną wsią; z miastami jak Florencja, Awinion czy Paryż. Czy wiesz, że morowe powietrze nadeszło z Chin, przez Indie, Tatarów i Azję Mniejszą? Powiadają, że się rozszerzyło aż po Arabię. To choroba niewiernych zesłana, aby pokarać Europę za zbyt grzechów. Z Konstantynopola i wybrzeży Lewantu przeniosły ją statki na archipelag grecki, skąd dostała się do portów Italii, przeszła Alpy i spustoszyła nasz kraj, nim sięgnęła Anglii, Holandii, Danii i wygasła dopiero na dalekiej Północy, w Norwegii, Islandii. Czyście przeżyli dwa rodzaje zarazy, jeden, ze straszliwą gorączką i pluciem krwią, który zabija w ciągu trzech dni... nieszczęśnicy nim dotknięci powiadali, że już przeżywają męki piekielne... i drugi z podobną gorączką i z wielkimi wrzodami i krostami w pachwinach i pod pachami?

Siedem miesięcy z rzędu przeżywalismy ten mór w Awinionie. Co wieczór, idąc spać, ludzie rozważali, czy się podźwigną. Co rano macali się pod pachami i w pachwinach. Przy najłżejszej w ciele gorączce ogarniała ich trwoga i patrzyli na cię błędnym wzrokiem.

Przy każdym oddechu mówili sobie, że z tym łykiem powietrza może wnika w ciebie mór. Nikt nie żegnał przyjaciela nie pomyślawszy: „Czy to on, czy ja, czy też my obaj?” Tkacze marli w swych kramikach u stóp zatrzymanych krosien, złotnicy przy wystygłych tyglach, maklerzy pod ladami. Dzieci konały na barłogu zmarłej matki. A fetor, Archibaldzie, co za fetor w Awinionie! Ulice były zasłane trupami. Połowa, czy mnie pojmujesz, połowa ludności wyginęła. Od marca do kwietnia 1348 roku naliczono sześćdziesiąt dwa tysiące zmarłych. Cmentarz pośpiesznie zakupiony przez papieża wypełnił się w ciągu jednego miesiąca; pogrzebano tam jedenaście tysięcy zwłok. Ludzie konali bez sług; grzebano ich bez księdza. Syn nie śmiał już odwiedzić ojca ni ojciec - syna. Siedem tysięcy zamkniętych domów. Kto mógł, uciekał do swego pałacu na wsi.

Klemens VI oraz kilku kardynałów, a wśród nich i ja, pozostało w mieście. „Jeśli Bóg nas zapragnie, to zabierze.” Klemens rozkazał, by zatrzymała się większość z czterystu urzędników papieskiego dworu, nie było to za wiele, by nieść pomoc. Papież opłacił wszystkich lekarzy i fizyków; wziął na żołąd woźniców i grabarzy, kazał rozdawać żywność i wydał surowe policyjne dekry, by zapobiegać morowi. Nikt mu wówczas nie wytknął, iż jest nadmiernie szczodry.

Beszał bractwa zakonne, które uchybiały obowiązkowi miłosierdzia wobec chorych i konających... Ach! nasłuchałem się spowiedzi i kajań ludzi bardzo dostojnych i potężnych, nawet duchowni przychodzili, by oczyścić z grzechów swe dusze i prosić o rozgrzeszenie! Nawet wielcy bankierzy lombardzcy i florency spowiadali się szcękając zębami i okazywali nagłą hojność. A kochanki kardynałów... a tak, a tak, bratanku, nie wszyscy, ale poniektórzy... te piękne damy zawieszały klejnoty na posągach Dziewicy Niepokalanej. Trzymały pod nosem nasączone wonnymi olejkami chusteczki i zrzucały ciżemki pod progiem domu. Ktokolwiek zarzucił Awinionowi, iż jest on miastem bezbożnym, niczym nowy Babilon, ten go nie widział podczas moru. Zaręczam, że panowała tam pobożność!

Człowiek to dziwna istota! Kiedy wszystko doń się uśmiecha, kiedy cieszy się kwitnącym zdrowiem, interesy toczą się pomyślnie, żona jest płodna, a prowincja spokojna, czyż nie wówczas powinien bez ustanku wznosić duszę ku Panu, aby Mu dziękować za tyle szczodrych darów? Wcale nie, zapomina o swym Stwórcy, dumnie zadziera głowę, zajmuje się łamaniem wszystkich przykazań. Lecz z chwilą gdy nieszczęście weń ugodzi i nadejdzie klęska, wtedy rzuca się ku Bogu. I zanosi modły, i oskarża się, i przyrzeka poprawę... Bóg ma więc wszelkie powody, aby go gnębić, boć to jedyny, zda się, sposób, by człowiek do Niego powrócił...

Nie wybrałem mego stanu. Może wiesz, że to matka mię przeznaczyła na duchownego, kiedy byłem dzieckiem. Mniemam, iż się dlatego zgodziłem, że zawsze żywiłem wdzięczność do Boga za to, czym mnie obdarzył, a przede wszystkim, za życie. Pamiętam, że we wczesnym dzieciństwie, w naszym starym zamku la Rolphie w Perigueux, gdzie i ty się urodziłeś, Archibaldzie, lecz w nim nie mieszkałeś, odkąd twój ojciec wybrał Mortignac na rezydencję... a więc przypominam sobie, że w tym ogromnym zamku wybudowanym na starożytniej rzymskiej arenie ogarniał mnie nagle zachwyt, iż żyję na tym olbrzymim świecie, oddycham, oglądam niebo; przypominam sobie, że odczuwałem to zwłaszcza w letnie wieczory, kiedy długo jest jasno, a prowadzono mnie do łóżka o wiele wcześniej, nim zapadł zmierzch. Pszczoły brzęczały w winnej latorośli pnącej się po murze pod mą izbą, mrok powoli wypełniał owalny podwórzec wybrukowany potężnymi kamieniami; pod jasnym jeszcze niebem przelatywały ptaki, a pierwsza gwiazda zapalała się na różowych nadal obłokach. Odczuwałem żywą potrzebę, by wyrazić podziękowanie, a matka pouczyła mnie, że należy je składać Bogu - twórcy całego tego piękna. Uczucie to nie opuściło mnie nigdy.

Nawet dzisiaj, podczas naszej podróży budziła się często w moim sercu wdzięczność za tę sprzyjającą nam łagodną aurę, mijane przez nas rude lasy, za zielone jeszcze łąki, za wiernych nam ludzi w poczcie, piękne, tęgie konie, które widzę kłusujące przy kolebie. Lubię oglądać ludzkie oblicza, ruchy zwierząt, kształt drzew, całą tę wielką różnorodność będącą nieskończenie wielkim i cudownym dziełem Boga.

Wszyscy nasi doktorzy, którzy w zamkniętych salach wiodą teologiczne dysputy naszpikowane próżnymi słowy i takimż językiem, gorzko sobie docinają i obarczają się wymyślnymi terminami, aby inaczej nazwać to, co

i przedtem było wiadome, wszyscy ci ludzie dobrze by zrobili lecząc umysły oglądaniem przyrody. Mojej teologii nauczyłem się z ksiąg Ojców Kościoła i wcale się nie kwapię, by ją zmieniać...

Wiesz, mógłbym być zostać papieżem... tak, bratanku. Mówią mi o tym poniektórzy, a jeszcze i dziś to powiadają, gdyby Innocenty żył ode mnie krócej. Będzie, jak Bóg zechce. Wcale się nie uskarżam na to, kim Bóg mnie uczynił. Dziękuję mu, że ustawił mnie tam, gdzie stoję, że zachował aż do mych lat, których bardzo niewiele dożywa... pięćdziesiąt pięć, drogi bratanku... i że zachował mię tak czerstwym. To również Boże błogosławieństwo. Kto nie widział mnie od dziesięciu lat, własnym oczom nie wierzy, że się tak mało zmieniłem, policzki nadal mam różowe, a broda ledwie posiwiiała.

Myśl, że włożę czy nie włożę tiary, zaprawdę łechce mnie tylko wówczas... zwiergam ci się jak dobremu krewniakowi... gdy odczuwam, że mógłbym skuteczniej działać niż ten, co ją nosi. Owego zaś uczucia nigdy nie doświadczałem za Klemensa VI. Dobrze on rozumiał, iż papież winien być monarchą ponad monarchami, generalnym namiestnikiem Boga. Któregoś dnia, gdy Jan Birel, czy też jakiś inny głosiciel ubóstwa, wytykał mu zbytnią rozrzutność i szczodrość wobec proszalników, Klemens odpowiedział: „Nikt nie powinien odchodzić niezadowolony sprzed oblicza księcia”. Po czym obrócił się ku mnie i wycedził: „Moi poprzednicy nie umieli papieżować”. A w czasie moru - jak ci opowiadałem - zaprawdę dowiódł, że był najlepszy. Nie sądzę - mówię uczciwie - że zdziałałbym tyle, co on, i wciąż Bogu dziękuję, że nie wyznaczył mnie, abym wiódł cierpiące chrześcijaństwo przez tę próbę.

Ani na chwilę Klemens nie wyzbył się swego majestatu; prawdziwie dowiódł, że jest Ojcem Świętym, ojcem wszystkich chrześcijan, a nawet ludzi spoza Kościoła, ponieważ, kiedy ludność po trosze wszędzie, ale głównie w prowincjach nadreńskich, w Moguncji, Wormacji, obróciła się przeciw Żydom oskarżając ich o odpowiedzialność za plagę, papież potępił te prześladowania. Uczynił nawet więcej: wziął Żydów pod swą opiekę, wyklął prześladowców, zaofiarował Żydom azyl i osiedlenie się w jego państwie, którego pomyślność, trzeba przyznać, wskrzesili w ciągu kilku lat.

Ale dlaczego tak wiele opowiadał ci o tej zarazie? Ach, tak! Z powodu brzemiennych skutków, jakie za sobą pociągnęła dla korony francuskiej i samego króla Jana. W istocie, pod koniec zarazy, jesienią roku 1349, jedna po drugiej trzy królowe, a raczej dwie królowe i księżniczka przeznaczona na tron...

Co powiadasz, Brunet? Mów głośniej. Już widać Bourdeilles?... Ach tak, chcę popatrzeć. W istocie gród warowny, a zamek zbudowany na właściwym miejscu, by z dala kierować wojskiem na przykopach.

Oto, Archibaldzie, zamek, który mój młodszy brat, a twój ojciec, ofiarował mi jako podziękę, za uwolnienie Perigueux. Bo choć nie zdołałem uwolnić króla Jana z rąk Anglików, przynajmniej mogłem uwolnić nasze hrabiowskie miasto i spowodować, aby władza nad nim została nam zwrócona.

Załoga angielska, przypominasz sobie, nie chciała odejść. Lecz

towarzyszące mi włócznie, które część ludzi wykpiwa, raz jeszcze okazały się bardzo pożyteczne. Wystarczyło, żebym jadąc z Bordeaux, pojawił się na ich czele, aby Anglicy spakowali manatki o nic nie pytając. Dwieście włócznie i kardynał to sporo... Tak, większość mych sług wyćwiczyła się we władaniu bronią, a także moi sekretarze i towarzyszący mi doktorowie praw. Zaś wierny mój Brunet jest rycerzem, ongiś załatwiłem mu nobilitację.

Brat, dając mi Bourdeilles, w istocie siebie wzmocnił. Bo z kasztelanią Auberoche koło Savignac, obronnym grodem Bonneval koło Thenon, który odkupiłem oto przed dziesięciu laty od króla Filipa VI za dwadzieścia tysięcy dukatów... powiadam odkupiłem, ale w istocie wyrównało to część sum, które mu ongiś pożyczyłem... a także z warownym opactwem Saint Astier, gdzie jestem opatem, i przeorstwami Fleix i Saint-Martin-de-Bergerac, wszystko to stanowi sześć warowni, nie dopuszczających do Perigord, a podległych wysokiej władzy kościelnej, jakby we władaniu samego papieża, każdy się zawaha, nim o nie otrze. Tym sposobem zapewniam pokój w naszym hrabstwie.

Znasz Bourdeilles, oczywiście; często tam bywałeś. Ja już od dawna go nie odwiedzałem... Hejże, nie pamiętam tej potężnej baszty ośmiokątnej. Dumnie wygląda. Do mnie obecnie należy, lecz po to, by spędzić tu jedną noc i ranek, akurat tyle, by osadzić wybranego przeze mnie zarządcę. A nawet nie wiem, kiedy tu powrócę i czy w ogóle powrócę. Mało czasu, aby zamkiem się nacieszyć. Wreszcie dziękujemy Bogu za lata, jakie mi darował. Mam nadzieję, że przygotowano nam dobrą wieczerzę, bo po dłuższej podróży, nawet kolebą, ssie w żołądku.





### III

## Śmierć puka do wszystkich drzwi

Wiedziałem, bratanku, mówiłem ci, że nie należy liczyć, abyśmy dzisiaj minęli Nontron. Ponadto dawno już wydzwonią na Anioł Pański, gdy tam dotrzemy, i to ciemną nocą. La Rue kładł mi do uszu: „Wasza Eminencja zwleka... Waszej Eminencji nie zadowoli te ledwie osiem mil drogi...” Gdzież tam! La Rue pędzi zawsze, jakby się siodło pod nim paliło. Co wcale nie jest złe, bo przy nim poczet nie zaśnie. Ale wiedziałem, że przed południem nie zdołalibyśmy wyjechać z Bourdeilles. Miałem za dużo do roboty, do rozstrzygania, musiałem za wiele razy przykładać pieczęć.

Widzisz, lubię Bourdeilles; wiem, że mógłbym tu żyć szczęśliwie, gdyby Bóg nie tylko przeznaczył mi je na własność, lecz i na rezydencję. Kto ma jedyną i skromną posiadłość, w pełni nią się cieszy, kto ma liczne i rozległe włości, cieszy się nimi wyłącznie w myślach. Niebiosa zawsze wyważają swe dary.

Kiedy wrócisz do Perigord, bądź tak łaskaw i udaj się, Archibaldzie, do Bourdeilles, sprawdź, czy porządnie naprawili dachy, tak jak przed chwilą poleciłem. Ponadto kominek dymił w mojej komnacie... Całe szczęście, że Anglik je oszczędził. Widziałeś Brantome, któreśmy właśnie minęli, widziałeś, jak spustoszyli to miasto, ongiś tak urocze i ładnie położone nad rzeką. Książę Walii, jak mi mówiono, przystanął tam na noc 9 sierpnia. A jego siepacze i żołdacy wszystko podpalili, nim rankiem odjechali.

Surowo potępiam te zwyczaje, by wszystko niszczyć, puszczać z dymem, ludność wysiedlać albo rujnować, jak coraz częściej mają obyczaj to czynić. Niechaj wojownicy wyrzynają się na wojnie, to rozumiem; gdyby Bóg nie przeznaczył mnie do stanu duchownego i dowodziłbym w bitwie chorągwią, nikogo bym nie oszczędził. Rabunek jeszcze ujdzie: trzeba przecie jakoś wygodzić ludziom, skoro wymaga się od nich trudów i narażania życia. Ale najeżdzać wyłącznie, by lud wtrącać w nędzę, wystawiać na głód i chłód, palić chałupy i plony, to w gniew mnie wprawia. Pojmuję te zamysły; ze zrujnowanych prowincji król nie może ściągnąć daniny, więc niszczy się dobra poddanych, aby go osłabić. Ale to nic nie da. Jeśli Anglik rości prawa do Francji, po co ją wyniszcza? Czy myśli, że jeśli nawet uzyska ją traktatem, pokonawszy bronią, a będzie postępował w ten sposób, lud go uzna? Zasiewa nienawiść. Bez wątpienia pozbawia króla Francji pieniędzy, lecz dostarcza mu dusz syconych gniewem i chęcią pomsty. Znaleźć tu i ówdzie panów uległych mu z wyrachowania, tak, Edward ich znajdzie, lecz lud odtąd będzie stawiał mu opór, bo niewybaczalne jest takie postępowanie. Patrz, co się już dzieje, pocziwy ludek wcale nie ma za złe królowi Janowi, że dał się pokonać; żałuje go, nazywa go Janem Dzielnym, Janem Dobrym, kiedy powinien by go zwać Janem Głupim, Janem Upartym, Janem Niedołęgą. I zobaczysz, że potrafi się wykrwawić, by zapłacić zań okup.



Pytasz mnie, dlaczego wczoraj mówiłem, że zaraza pociągnęła zgubne skutki zarówno dla Jana, jak i królestwa. Otóż, bratanku, z powodu kilku przedwczesnych zgonów, zgonów niewiast, a zwłaszcza żony króla, zanim wstąpił na tron, Pani Bony Luksemburskiej.

Panią Luksemburską skosiła zaraza we wrześniu 1349 roku. Miała zostać królową i byłaby dobrą królową. Jak wiesz, była córką króla Czech, Jana Ślepego, który tak umiłował Francję, że wedle jego słów, dwór paryski był jedynym, gdzie można było żyć godnie. Ów król to prawdziwy wzór rycerza, ale cokolwiek szalony. Choć nie widział ani krzty, uparł się walczyć pod Crécy; w tym celu kazał przywiązać swego konia do wierzchowców dwóch otaczających go z obu stron rycerzy. I tak parli w bój. Król Czech miał trzy białe strusie pióra na szczycie swego hełmu. Znalezione ich wszystkich trzech martwych; nadal ze sobą związanych. Godna jego śmierć tak mocno wstrząsnęła młodym księciem Walii... miał wówczas szesnaście lat; była to pierwsza jego bitwa, i nawet jeśli król Edward uważał za polityczne nieco wyolbrzymić udział swego następcy w tym starciu... księżę Walii był tak mocno przejęty, że prosił ojca, by mu pozwolił odtąd nosić to samo godło, co zmarły ślepy król. Dlatego więc trzy białe pióra zdobią obecnie hełm księcia.

Lecz najważniejsze, iż Pani Bona była siostrą Karola Luksemburskiego. Papież Klemens VI i ja poparliśmy jego obiór na władcę korony Świętego Cesarstwa. Spodziewaliśmy się wprawdzie, że przyczyni nam trochę kłopotów ten prostak, chytry jak kupiec... och! ani cienia w nim z ojca, sam się wkrótce przekonasz; ale ponieważ przewidywaliśmy również, że Francja może przeżyć marny okres, chcieliśmy ją wzmocnić czyniąc przyszłego jej króla szwagrem Cesarza. Po śmierci siostry, koniec z sojuszem. Kłopotów z jego Żółtą Bullą mieliśmy sporo, a poparcia Francji w ogóle nie udzielił i dlatego jadę do Metz.

Król Jan - wówczas jeszcze diuk Normandii - wcale nie okazał nadmiernej rozpaczki po śmierci Pani Bony. Nie było między nimi harmonii, często się swarzyli. Choć miała wdzięk i płodził z nią co roku dziecko, w sumie - jedenaścioro, odkąd go skłoniono, aby zbliżał się w łożu do swej małżonki. Dostojnego Pana Jana bowiem ciągnęło raczej do kuzyna, o osiem lat odeń młodszego i o miłej aparycji Karola de la Cerda, zwanego Panem z Hiszpanii, ponieważ należał do gałęzi rodu odsuniętej od kastylijskiego tronu.

Natychmiast po złożeniu do grobu Pani Bony diuk Jan, aby uniknąć zarazy, umknął do Fontainebleau wraz z pięknym Karolem Hiszpańskim... Och! nierzadki to narów, bratanku. Wcale go nie rozumiem, bardzo mnie on oburza, należy do tych, którym najmniej pobłażam. Lecz trzeba przyznać, że bardzo jest rozpowszechniony, nawet wśród królów i wielce im szkodzi. Osądź sam, co spotkało Edwarda II Angielskiego, ojca obecnego króla. Za samcołość zapłacił i tronem, i życiem. Nasz król Jan nie jest aż tak jawnym samcołóżcą, lecz posiada wiele jego cech, a dowiódł ich zwłaszcza w swej zgubnej namiętności do hiszpańskiego kuzyna o zbyt uroczym licu...

Co się dzieje, Brunet? Dlaczego przystanęliśmy? Gdzie jesteśmy? W Quinsac. Nie było przewidziane... Czego chcą ci prostacy? Ach!

błogosławieństwa! Nie zatrzymywać na to pocztu, dobrze wiesz, że jadąc błogosławię... *In nomine patris... xxx lii... sancti*. Idźcie dobrzy ludzie, już was pobłogosławiłem, idźcie w pokoju... Gdybym musiał przystawać za każdym razem, gdy proszą mnie o błogosławieństwo, byłibyśmy w Metz za pół roku.

Więc, jak ci powiedziałem, we wrześniu 1349 roku umiera Pani Bona i następcę tronu pozostawia wdowcem. W październiku przyszła kolej na królową Nawarry, Panią Joannę, zwaną ongiś Joanną Małą, córkę Małgorzaty Burgundzkiej i może tak, a może nie, Ludwika Kłótliwego - tę, którą odsunięto od dziedziczenia Francji pod pretekstem bękarcstwa... a, ta, dziecko z Wieży Nesle... Sprzątnęła ją zaraza. Zgonu jej również nie żegnano długotrwałym szlochem. Od sześciu lat była wdową po swym kuzynie Dostojnym Panu Filipie d'Evreux, zabitym gdzieś w Kastylii w walce przeciw Maurom. Filip VI po wstąpieniu na tron pozostawił im koronę Nawarry, aby zapobiec pretensjom, jakie mogliby rościć do Francji. Była to część tych wszystkich machinacji, które zapewniły tron rodowi Valois.

Nigdy nie pochwalałem tych nawarskich układów, nie były słuszne ani prawnie, ani politycznie. Lecz nie miałem jeszcze wtedy nic do powiedzenia! Ledwo dostałem nominację na biskupa Auxerre. A zresztą gdybym nawet powiedział... Prawnicy nie miało to sensu. Nawarra przypadła Francji po matce Ludwika Kłótliwego. Gdyby Joanna Mała nie była jego córką, ale jakiegoś giermka, nie miałyby tak samo praw do Nawarry, jak i Francji. Jeśli więc przyznano jej jedną koronę, *ipso facto* wsparto prawa jej oraz jej dziedziców do drugiej. Nieco zbyt głośno rozpowiadano, że odsunięto ją od tronu, - nie tyle z powodu domniemanego bękarcstwa, ile dlatego, że jest kobietą - stosując kruczki wymyślonego prawa mężczyźni.

Co zaś do racji politycznych... Filip Piękny nie zgodziłby się nigdy, żeby okrojono królestwo o prowincję przezeń wcieloną. Nie można zapewnić sobie tronu, podpiłowując jego podstawy. Joanna i Filip Nawarry zachowywali się bardzo spokojnie: ona - ponieważ dokuczało jej, iż matczyzna koszula nieco zbyt mocno przyległa do jej ciała, on zaś - ponieważ, jak i ojciec, Ludwik d'Evreux, miał naturę godną i rozważną. Oboje, zda się, byli radzi z bogatego normandzkiego hrabstwa i małego królestwa pod Pirenejami. Rzecz się zmieniła za ich syna Karola, młodzieńca bardzo przedsiębiorczego jak na osiemnastolatka. Rzucił on mściwe spojrzenie na rodzinną przeszłość i pełne ambicji na własną przyszłość... „Gdyby moja babka nie łajdaczyła się tak zapalczywie, gdyby moja matka urodziła się mężczyzną, byłbym dziś królem Francji.” Na własne uszy to słyszałem... Należało więc zachować Nawarrę, która ze względu na swe położenie na południu Francji nabrała tym większego znaczenia, że Anglicy obecnie władają całą Akwitanią. Tedy, jak zawsze w podobnych wypadkach, zaprojektujmy małżeństwo.

Diuk Jan bardzo chętnie by się uwolnił od nowego związku. Ale był przeznaczony na króla, a królewski konterfekt wymagał, aby miał u boku małżonkę, w jego zwłaszcza wypadku. Małżonka miała przeszkodzić, aby nie wydawało się, iż zbyt jawnie zdąża w ramiona Pana z Hiszpanii. Z

drugiej strony jakże skuteczniej schlebić ruchliwemu Karolowi na Evreux i Nawarze i jakże mocniej związać mu ręce, niż wybierając jedną z jego sióstr na królową Francji? Najstarsza Blanka miała szesnaście lat. Prawdziwa piękność i wiele zalet umysłu. Projekt był już daleko posunięty, poproszono papieża o dyspensę i małżeństwo było niejako zapowiedziane, choć każdy siebie pytał, czy będzie żyw za tydzień w tych straszliwych czasach.

Śmierć bowiem pukała nadal do wszystkich drzwi. W początkach grudnia zaraza sprzątnęła samą królową Francji, Panią Joannę Burgundzką, kulawą, podłą królową. Względy przyzwoitości ledwo zdołały powstrzymać wszystkich od okrzyków radości, a lud mało nie tańczył na ulicach. Nienawidzono jej; zapewne ojciec ci o tym mówił. Wykradała pieczęć mężowi, aby wtrącać ludzi do więzienia; szykowała zatrute kąpiele dla gości, którzy się jej nie spodobali. Mało brakowało, a spowodowałyby nawet zgon biskupa... Król niekiedy okładał ją kijem, lecz nie zdołał jej poskromić. Nie miałem ani krzty zaufania do tej królowej. Podejrzliwa jej wyobraźnia zaludniała dwór rzekomymi wrogami. Jędza kłamliwa, ohydna zbrodniarka. Śmierć jej była zda się zapóźnionym wyrokiem niebiańskiego sądu. Zresztą wnet potem zaraza jąła wygasać, jakby przybywszy z tak daleka i po tak wielkiej hekatombie miała jedyny cel: osiągnąć tę harpię.

Spośród wszystkich ludzi we Francji największej ulgi doświadczył sam król. Brakowało jednego dnia do pełnego miesiąca, a w styczniowy ziąb ożenił się ponownie. Lecz najgorsze nie tkwiło w pośpiechu. Z kimże wstąpił w związek małżeński? Z narzeczoną własnego syna, z młodziutką Blanką Nawarry, w której na umór się zakochał ujrzawszy ją na swym dworze. Choć Francuzi bardzo pobbłażają jurności, wcale nie lubią tego rodzaju wybryków u monarchy.

Filip VI był o czterdzieści lat starszy od ślicznotki, którą bez pardonu zdmuchnął sprzed nosa swemu następcy. Nie mógł zgoła powołać się na wyższy interes państwa jak w tylu niedobrych związkach książęcych. Okrył nimbem zgorszenia koronę, a jednocześnie zranił swego dziedzica, wystawiając go na pośmiewisko. Ślub odbył się cichcem w Saint-Germain-en-Laye. Oczywiście Jan Normandzki nie był obecny. Nigdy nie żywił on serdecznych uczuć do ojca, który mu się zresztą tym samym odpłacał. Teraz ślubował mu nienawiść.

Następca tronu po miesiącu z kolei się ożenił. Pilno mu było zatrzeć zniewagę. Udał, że zachwyca go małżeństwo z Panią de Boulogne, wdową po diuku Burgundii. Kardynał Guy de Boulogne, czcigodny mój brat, zeswatał to stadło ku korzyści swej rodziny i własnej. Pod względem fortuny Pani de Boulogne była świetną partią, co miało uzdrowić finanse księcia, rozrzutnego ponad wszelką miarę, ale zachęciło go tylko do dalszego marnotrawstwa.

Nowa diuszesa Normandii była starsza od swej macochy; osobliwe wrażenie wywierały obie pojawiając się na dworskich przyjęciach, zwłaszcza że porównanie lica i postaci nie wychodziło wcale na dobre synowej. Diuk Jan odczuwał złość; jał wierzyć, że naprawdę kochał Blankę Nawarry, tak podle mu sprzątniętą, i cierpiał męki widząc ją u boku ojca, który wobec wszystkich bez ustanku do niej się mizdrzył w najgłupszy w

świecie sposób. Sytuacja ta nie sprzyjała nocom diuka Jana z Panią na Boulogne i tym skuteczniej go odrzuciła w ramiona Pana z Hiszpanii. Rozrzutność posłużyła mu za odwet. Rzekłoby się, że trwoniąc fortunę odzyskuje honor.

Zresztą po miesiącach grozy i nieszczęść, jakie się przeżyło podczas zarazy, wszyscy wydawali pieniądze bez umiaru. Zwłaszcza w Paryżu. Na dworze zapanowało szaleństwo. Twierdziło się, że ten nadmiar zbytku dostarcza pracy rzemiosłu. Lecz nie dostrzegało się wcale tego w ruderach i na poddaszach. Między zadłużonymi książętami a zbiedzonym pospółstwem istniał szczebel, którego zysk uciekał przechwycony przez wielkich kupców, jak Marcelowie handlujący sukniem, jedwabiami oraz innymi artykułami do strojów, i wówczas właśnie oni obficie się obłowili. Zapanowała cudaczna moda, a diuk Jan - choć miał już trzydzieści jeden lat - wraz z Panem z Hiszpanii stroili się w wycięte w zęby kaftany tak kuse, że odsłaniały im pośladki. Gdy przechodzili, wzbudzali śmiech.

Pani Blanka Nawarry została królową szybciej niż przewidywano; królowała krócej, niż można się było spodziewać. Filip de Valois uszedł cało z wojny i moru; nie oparł się miłości. Póki żył przy swej kulawej jędry, był dorodnym mężczyzną, nieco przytęgim, lecz wciąż krzepkim i żwawym, uprawiał szermierkę, cwałował konno, odbywał długie łowy. Sześć miesięcy dziarskich zalotów przy pięknej małżonce dało mu radę. Opuszczał łożę jedynie z myślą, by do niego powrócić. Był to jakiś obłęd, wprost szaleństwo. Żądał od swych fizyków likworów, które by go czyniły nieznużonym w miłosnych igraszkach... Co takiego? Dziwi cię, że... Ależ tak, bratanku, ależ tak; choć jesteśmy stanu duchownego lub raczej dlatego, żeśmy duchownymi, musimy być pouczeni o tych sprawach, zwłaszcza kiedy chodzi o królów.

Pani Blanka ulegle poddawała się tej namiętności, co chwila okazywanej, pochlebiała jej ona, acz zarazem niepokoiła. Król wobec wszystkich chełpił się, że ona prędzej od niego się nuży. Niebawem schudł. Odsunął się od rządów. Każdy tydzień postarzał go o rok. Zmarł 22 sierpnia 1350 roku w pięćdziesiątym siódmym roku życia, po dwudziestu dwóch latach panowania...

Pod wspaniałą aparycją monarcha ów, któremu byłem wierny... był królem Francji, a przecież nie mogłem - prawda? - zapominać, iż poprosił o kapelusz dla mnie... monarcha ów był bardzo żalonym dowódcą i katastrofalnym finansistą. Utracił Calais, utracił Akwitanie; pozostawił po sobie zbuntowaną Bretanię i wiele w królestwie warowni nie zabezpieczonych lub splądrowanych. Ponadto utracił autorytet. Ach tak, jednakowoż zakupił Delfinat. Nie ma zła bez odrobiny dobra. Właśnie ja, zakonotuj to sobie, że to ja załatwiłem sprawę na dwa lata przed Crécy. Delfin Humbert był zadłużony i sam już nie wiedział, od kogo pożyczyć, aby komuś zwrócić... Kiedy indziej opowiem ci o tym dokładnie, jeśli cię to interesuje, w jaki sposób postąpiłem, aby koronę delfina nosił najstarszy syn króla Francji, a okręg Vienne przypadł królestwu. Przeto bez chwalby mogę rzec, iż lepiej służyłem Francji niż król Filip VI, bo on potrafił ją tylko umniejszyć, ja zaś zdołałem powiększyć.

Już sześć lat! Sześć lat odkąd król Filip zmarł, a dostojny diuk Jan został

królem Janem II! Tak szparko te sześć lat przeszło, że sądziłoby się, że to dziś początek jego panowania. Czy dlatego, że nowy król dokonał tak mało rzeczy godnych pamięci, czy dlatego, że im się człowiek bardziej posuwa w latach, tym szybciej czas zdaje się uciekać? Kiedy ma się dwadzieścia lat, każdy miesiąc, każdy tydzień obfituje w nowości i wydaje się, że trwa długo... Zobaczysz, Archibaldzie, kiedy będziesz w moim wieku, jeśli doń dożyjesz, czego ci z całego serca życzę... Człowiek odwraca się i myśli: „Jak to? Już przeminął rok? Jakże szybko upłynął!” Może dlatego, że trawi się więcej czasu na wspominki, na ponowne przeżywanie minionych lat...

Patrz, już dzień się kończy. Wiedziałem, że dopiero w ciemną noc przybędziemy do Nontron.

Brunet! Brunet!... Jutro trzeba nam wyjechać przed świtem, bo czeka nas długa podróż. Zaprząc więc na czas konie, niech każdy zaopatrzy się w żywność, bo nie będzie chwili na postój. Kto wyjechał do Limoges, aby zawiadomić o mym przybyciu? Armand de Guillermis; bardzo dobrze... Zawsze wysyłam kolejno giermków, aby czuwali nad przygotowaniem mi kwatery i powitania, na dzień albo dwa wcześniej, ale nie więcej. Akurat tyle, ile trzeba, żeby ludzie się pośpieszyli, a nie dość, aby utyskujący z diecezji mogli przybiec i zamęczać mnie swymi suplikami... Kardynał? Niestety, już wyjechał... dopiero wczoraj dowiedzieliśmy się... Inaczej, bratanku, byłbym prawdziwym wędrownym trybunałem.





## IV

### Kardynał i gwiazdy

**H**ę, bratanku, widzę, żeś zasmakował w mojej kolebie i w przekąskach, jakie mi tu podają. I w moim towarzystwie, oczywiście, i w moim towarzystwie... Weź jeszcze tej smażonej kaczki, którą nas obdarowano w Nontron. To miejscowa specjalność. Nie wiem, co robi mój kuchmistrz, żeby ją dla nas zachować ciepłą.

Brunet!... Brunet, powiedz kucharzowi, jak go cenię za to, że przechowuje w ciepłe potrawy podawane mi podczas podróży; zdolny... Ach! ma w wózku rozżarzone węgle... Nie, nie, wcale się nie uskarżam, że podaje mi dwa razy z rzędu te same dania, jeśli mi smakowały. Wczoraj wieczorem uznałem za wyborną tę smażeninę. Podziękujmy Bogu, iż nas dostatnio zaopatrzył.

Wino, zapewne, jest trochę za młode i lekkie. To nie wina z Sainte-Foy czy Bergerac, do których przywykłeś, Archibaldzie, już nie mówiąc o Saint-Emilion i Lussac, prawdziwej rozkoszy dla podniebienia, lecz teraz załadowano wina na statki i wszystkie jadą z Libourne do Anglii... Francuskie gardło nie ma do nich prawa.

Nieprawdaż, Brunet, że to wino nie dorównuje kubkowi bergeraca? Rycerz Aymar Brunet pochodzi z Bergerac i uważa, że nie ma nic lepszego ponad to, co rośnie w jego okolicy. Podrwiwam trochę z niego w tej materii...

Dziś rano towarzyszył mi dom Francesco Calvo, sekretarz papieski. Chciałem, żeby mi przypomniał o sprawach do załatwienia w Limoges. Zostaniemy tam całe dwa dni, może trzy. W każdym razie, jeśli nie zmusza mnie jakaś pilna potrzeba albo specjalne polecenie, unikam niedzielnych podróży. Pragnę, żeby moja eskorta mogła pójść na mszę, a także odpocząć.

Ach! nie mogę ukryć, że wzrusza mnie widok Limoges. Było to moje pierwsze biskupstwo. Miałem... miałem... byłem młodszy niż ty teraz, Archibaldzie; miałem dwadzieścia trzy lata. A traktuję ciebie jak młodzika! Narów ten przychodzi z wiekiem i traktuje się młodych, jakby byli jeszcze dziećmi, zapominając, że samemu miało się te lata. Trzeba mi zwrócić uwagę, bratanku, kiedy widzisz, że popełniam ten błąd. Biskup... Moja pierwsza mitra! Byłem z niej bardzo dumny i skłonny byłem z powodu niej wcześniej popaść w grzech pychy. Mówiono, oczywiście, że pastorał mój zawdzięcza faworom, podobnie jak pierwsze moje beneficja nadał mi Klemens V z powodu wielkiej przyjaźni, jaką żywił do mojej matki, Jan XXII obdarzył mnie biskupstwem, ponieważ oddaliśmy rękę najmłodszej mojej siostry, twojej ciotki Aremburgi, jednemu z jego ciotecznych wnuków, Jakubowi de La Vie. Szczerze mówiąc tkwi w tym trochę prawdy. Urodzić się siostrzeńcem papieża to piękny zbieg okoliczności, ale korzyść nietrwała. Chyba że połączyć się z jakimś dostojnym rodem, jak

nasz... Wuj twój, La Vie, był dzielnym człowiekiem.

Ja zaś, sędzę, że choć byłem młokosem, nie pozostawiłem jako biskup złego wspomnienia. Kiedy widzę tylu sędziwych diecezjalnych ordynariuszy nie umiejących utrzymać w korbach swych owieczek i kleru i nękających nas ciągłym ubolewaniem i procesami, powiadam sobie, że nieźle wówczas rządziłem, nie zadając sobie za wiele trudu. Miałem dobrych wikariuszy... nalej mi proszę jeszcze wina; trzeba strawić smażeninę... dobrych wikariuszy i na nich zdałem troskę o administrację. Poleciałem, by mnie fatygowano tylko w ważnych sprawach; co im przydało trochę lęku, a mnie przysporzyło respektu. Tym sposobem miałem czas na dalsze studia. Byłem już wybitnym znawcą prawa kanonicznego; udało mi się ściągnąć do mej rezydencji dobrych preceptorów, aby mnie wydoskonalili w prawie cywilnym. Przybyli z Tuluzy, gdzie zdobyłem tytuły naukowe; jest to równie dobry uniwersytet jak paryski i posiada nie mniejszą ilość uczonych. Przez wdzięczność postanowiłem... chcę cię uprzedzić, bratanku, ponieważ nadarza się sposobność, a umieściłem to w ostatniej mej woli, na wypadek gdybym nie mógł tego dokonać za życia... postanowiłem ufundować w Tuluzie kolegium dla ubogich scholarzy z Perigueux. Weźże, Archibaldzie, ręcznik i osusz sobie palce.

W Limoges równocześnie jąłem się kształcić w astrologii. Bo dwie nauki najbardziej potrzebne ludziom mającym sprawować rządy to wiedza prawnicza i wiedza o gwiazdach. Pierwsza uczy praw rządzących stosunkami między ludźmi, czy też między ludźmi a królestwem albo Kościołem, druga zaś daje znajomość praw rządzących stosunkiem ludzi do Opatrzności. Prawo i astrologia; prawa ziemskie, prawa niebiańskie. Powiadam, że w nich się wszystko zawiera. Bóg sprawia, że każdy się rodzi w wyznaczonej mu godzinie, a godzina ta jest zapisana na zegarze niebiańskim, na którym w swej łaskawości, pozwolił nam czytać.

Wiem, że istnieją niedowiarki kpiący z astrologii, ponieważ wiedza ta obfituje w szarlatanów i sprzedawców kłamstw. Lecz było tak zawsze. Pouczają nas stare księgi, że starożytni Rzymianie oraz inne antyczne ludy demaskowali złych sławicielei horoskopów i fałszywych magów handlujących przepowiedniami; lecz to nie przeszkadzało im wyszukiwać dobrych i rzetelnych czytaczy nieba, często praktykujących w świątyniach. Przecie jeśli mamy księży rozwiązłych albo świętokupców, to jeszcze nie powód, aby pozamykać wszystkie kościoły.

Rad jestem, widząc, że podzielasz moje zdanie w tej materii. Korna postawa przystoi chrześcijaninowi w obliczu postanowień Pana, Stworzyciela Wszechrzeczy, przebywającego ponad gwiazdami...

Chciałbyś... Ależ chętnie, bratanku, chętnie dla ciebie to zrobię. Czy znasz godzinę swego urodzenia?... Ach! powinno się znać; poślij kogoś do twojej matki i poproś, by ci podała chwilę, w której wydałaś pierwszy okrzyk. Właśnie matki najlepiej to zapamiętują...

Co do mnie, chwaliłem sobie znawstwo tej gwiazdnej sztuki. Pozwoliła mi ona dawać pożyteczne rady książętom chcącym mnie wysłuchać, a także poznać charakter ludzi, z którymi miałem do czynienia, oraz wystrzegać się tych, których los był mi wrogi. Tym sposobem zawsze wiedziałem, że Capocci będzie we wszystkich sprawach mi się sprzeciwiał

i nigdy mu nie dowierzałem. Dzięki gwiazdom udawało mi się prowadzić liczne rokowania i zawrzeć wiele korzystnych układów, na przykład w sprawie mojej siostry z Durazzo czy też małżeństwa Ludwika Sycylijskiego. Ci, co skorzystali z tego dobrodziejstwa, z wdzięczności powierzyli mi majątkość. Lecz w pierwszym rządzie przy Janie XXII... wieczny mu odpoczynek, był moim dobroczyńcą... wiedza owa oddała mi cenne usługi. Bo papież ten sam był znamienitym alchemikiem i astrologiem. Świadomość, że z powodzeniem oddaję się tej samej sztuce, spowodowała wzrost łask, jakimi mnie obdarzał, i natchnęła do wysłuchania życzenia króla Francji, aby mianować mnie kardynałem w trzydziestym roku życia, co rzadko się zdarza. Pojechałem więc do Awinionu po mój kapelusz. Czy wiesz, jak się ceremonia odbywa? Nie?

Papież wydaje wielką ucztę, na którą zaprasza wszystkich kardynałów, z okazji wejścia do kurii nowego ich kolegi. Pod koniec biesiady papież zasiada na tronie i wkłada kapelusz nowemu kardynałowi, ten zaś klęczy przed nim i całuje mu nasamprzód stopę, a później usta. Byłem za młody, aby Jan XXII... miał wówczas osiemdziesiąt siedem lat... nazwał mnie *venerabilis frater*,\* przeto zwracając się do mnie wybrał miano: *dilectus filius*.\*\* A zanim zezwolił mi powstać, szepnął do ucha: „Czy wiesz, ile kosztował twój kapelusz? Sześć liwrów, siedem soldów i dziesięć denarów”. W taki to sposób, pokpiwając z dostojności, arcybiskup ten ukróca pychę w momencie, gdy najłatwiej może się w tobie zrodzić. Ze wszystkich dni mego życia ten właśnie najdokładniej pamiętam. Ojciec Święty całkiem wyschły, pomarszczony, w białym czepcu, otulającym mu policzki... Było to 14 lipca roku 1331...

Brunet! Każ zatrzymać mój pojazd. Chcę wraz z bratankiem rozprostować trochę nogi, i niech wymiotą te okruchy. Droga jest równa, a słońce darzy nas miłym promykiem. Zabierzesz nas nieco dalej. Tylko dwunastu ludzi do eskorty, chcę mieć trochę spokoju... Witaj mistrzu Vigier... witaj Volnerio... witaj du Bousquet... pokój Boży niech będzie z wami... synkowie, moi wierni słudzy.



---

\* czcigodny brat.

\*\* umiłowany syn.





## V

### Początek panowania króla zwanego Dobrym

**K**arta nieba króla Jana? Pewnie, że ją znam; wielokrotnie nad nią się pochylałem... Czym przewidywał? Oczywiście, że przewidywałem; przecie dlatego nie szczędziłem wysiłków, aby zapobiec wojnie, wiedząc, że będzie dlań zgubna, a więc zgubna dla Francji. Lecz przemówże do rozsądku człowiekowi, a zwłaszcza królowi, u którego gwiazdy akurat nie dopuszczają, aby pojął i zrozumiał racje.

W chwili narodzin króla Jana II Saturn górował w konstelacji Barana na szczycie nieba. Zgubny to układ dla króla; konstelacja królów pozbawionych tronu, królestw zaś krótkotrwałych albo ginących na skutek tragicznego zwrotu losu. Dorzuc do tego Księżyc wschodzący w znaku Raka, także księżycowym, co objawia charakter bardzo niewieści. Wreszcie, aby podać ci cechy najbardziej jaskrawe, które rzucają się w oczy każdemu astrologowi, ciężkie dla losu ugrupowanie Słońca, Merkurego i Marsa w ścisłej koniunkcji w Byku. Oto niebo brzemiennie w skutki, tworzy ono człowieka niezrównoważonego, męża o wyglądzie nawet niedźwiedziowatym, lecz jakby wyjąłowego z wszystkich męskich cech łącznie z rozumem; jednocześnie ordynusa, gwałtownika, nawiedzanego snami i skrytym lękiem, które w nim wzbudzają nagłe i ludobójcze porywy, niezdolnego do wysłuchania rad albo samoopanowania, kryjącego zaś swą słabość pod osłoną fanfaronady; w gruncie rzeczy głupca i przeciwieństwo zdobywcy i natchnionego wodza.

Wydaje się, że dla niektórych ludzi klęska to sprawa zasadnicza, skrycie jej pożądamy i nie spocznamy, póki nie doświadczą jej w głębi duszy, lubują się całkowitą porażką; gorycz upadku to ich ulubiony napój, jak dla innych nektar zwycięstwa; tęsknią do niewoli i nic im bardziej nie smakuje niż rozkoszowanie się wymuszoną uległością. Wielkie to nieszczęście, jeśli takie wrodzone dyspozycje przypadną w losie królowi.

Póki Jan II był panem Normandii i władał nią pod twardą ręką ojca, którego nie miłował, wydawał się księciem zupełnie znośnym i naiwni wyobrażali sobie, że dobrze będzie rządził. Zresztą ludy, a nawet dwory pochopnie się łudzą, spodziewając się po nowym królu, iż będzie lepszy od poprzednika, jakby nowość zawierała w sobie cudowne właściwości. Ledwie Jan pochwycił berło w garść, a już gwiazdy jeły przejawiać swe nieszczęsne działanie.

Ledwo dziesięć dni był królem, a już w tymże sierpniu 1350 roku król Edward III pokonał na morzu w pobliżu Winchelsea Pana z Hiszpanii. Flota pod dowództwem Karola Hiszpańskiego należała do Kastylji, a nasz miłościwy Jan nie był odpowiedzialny za wyprawę. Zważywszy jednak, że zwycięzca był Anglikiem, a zwyciężony umiłowanym przyjacielem króla Francji, był to dla Jana zły omen na przyszłość.

Sakra odbyła się pod koniec września. Pan Hiszpański powrócił i w

Reims obsypywano zwyciężonego faworami, aby go pocieszyć po klęsce.

W połowie listopada powrócił do Francji konetabl Raul de Brienne, hrabia d'Eu. Od czterech lat przebywał w niewoli u króla Edwarda, lecz w niewoli dość łaskawej, skoro od czasu do czasu pozwalano mu krążyć między obu krajami, uczestniczył bowiem w rokowaniach o pokój generalny, nad którego zawarciem usilnie wówczas pracowaliśmy w Awinionie. Ja sam korespondowałem z konetablami. Tym razem przybył zebrać pieniądze na okup. Nie potrzebuję ci wyjaśniać, że Raul de Brienne był osobistością nader wybitną, wielce dostojną i potężną, był niejako drugim mężem w królestwie. Objął swe stanowisko po ojcu, Raulu V, zabitym w turnieju. Posiadał rozległe lenna w Normandii, a także w Turenii, w tym Bourgueil i Chinon, również w Burgundii i Artois. Posiadał chwilowo skonfiskowane włości w Anglii oraz Irlandii, także w krainie Vaud. Był spowinowacony z hrabią Amadeuszem Sabaudzkim. Kiedy ledwo zasiadło się na tronie, takiego człowieka trzeba traktować z należnymi względami, czyż nie sądzisz, Archibaldzie? Otóż w wieczór jego przybycia, nasz Jan II, obsypawszy konetabla wymówkami gwałtownymi, acz mglistymi, kazał go natychmiast uwięzić. A po dwóch dniach rankiem ściąć bez sądu... Nie, bez żadnego jawnego powodu. Mogliśmy dowiedzieć się tyleż w kurii, ile wy w Perigueux. A jednak, wierz mi, usiłowaliśmy sprawę wyświecić. Jako wyjaśnienie tej pośpiesznej egzekucji król Jan podał, że ma w ręku pisemne dowody zdrady dokonanej przez konetabla, lecz nigdy ich nie przedstawił, przenigdy. Na nalegania papieża, by ku własnemu dobru ujawnił te sławetne dowody, odpowiedział krnąbrnym milczeniem.

Wówczas na wszystkich europejskich dworach poczęto poszeptywać, snuć przypuszczenia... Mówiono o miłosnej korespondencji, którą jakoby konetabl miał prowadzić z Panią Boną Luksemburską, a po jej zgonie miała ona wpaść w ręce króla... Ach! ty także słyszałeś o tych bajdach. Zaiste osobliwy romans i w każdym razie trudno uwierzyć, aby mógł przybrać karygodny obrót między niewiastą stale brzemenną a mężczyzną od czterech lat prawie wciąż w niewoli! Może w listach pana de Brienne znajdowały się zwroty przykre dla króla; ale jeśli tak było, musiały one tyczyć raczej jego postępowania niż pierwszej żony... Nie, nie było nic, co mogłoby wyjaśnić tę egzekucję, poza mściwym, zbrodniczym charakterem króla, nader podobnym do charakteru rodzonyj matki, tej kulawej jędzy. Prawdziwy powód ujawnił się niebawem, kiedy stanowisko konetabla zaofiarowano... dobrze wiesz komu... a, tak... Panu z Hiszpanii, łącznie z częścią dóbr zmarłego, którego wszystkie dobra i majątności podzielono między królewskich zauszników. Tym sposobem hrabia Jan d'Artois otrzymał tłusty kasek: hrabstwo d'Eu.

Szczodrość tego rodzaju nie tyle zobowiązuje do wdzięczności, ile rodzi wrogów. Pan de Brienne miał mnóstwo krewniaków, przyjaciół, wasali, sług, całą rozległą, bardzo doń przywiązaną klientelę, która wnet się przemieniła w kłębówisko niezadowolonych. Ponadto dolicz ludzi z królewskiego otoczenia, którzy nie dostali ani szczypty, ani okrucha ze schedy i stali się zawistni i kaśliwi.

Ach! Piękny stąd mamy widok na Chalus i oba zamki. Jakże te obie

wysokie baszty przedzielone wąską rzeczką harmonizują ze sobą! Kraj pod tymi szybko pędzącymi obłokami jakże cieszy oko.

La Rue! Czy się nie mylę, La Rue, czy to przed tym zamkiem z prawej strony na wzgórzu strzała srodze ugodziła Ryszarda Lwie Serce i odebrała mu życie? Nie od dziś ludzie z naszych okolic nawykli do napaści Angielczyków i do samoobrony przed nimi...

Nie, La Rue, nie jestem zmęczony; przystaję tylko, by oglądać... o tak, zapewne, chodzę szybko! Powędruję jeszcze trochę, a koleba później mnie zabierze. Nic nas nie nagli. Od Chalus do Limoges, o ile mnie pamięć nie myli, niespełna dziewięć mil. Bez przyspieszania kroku trzy i pół godziny wystarczy... Zgoda! cztery godziny. Pozwólcie mi wykorzystać ostatnie piękne dni, jakich Bóg nam użycz. Dość się nasiedzę za firanami, kiedy nadejdą deszcze...

Opowiedziałem ci więc, Archibaldzie, w jaki sposób król Jan postarał się stworzyć pierwsze gniazdo wrogów w samym łonie królestwa. Postanowił tedy zdobyć sobie przyjaciół, ludzi wiernych, oddanych mu na śmierć i życie, złączonych z nim nową więzią, pomocnych w czas wojny i pokoju oraz stanowiących chlubę jego królowania. W tym celu, już w zaraniu następnego roku, ustanowił Order Gwiazdy, który by wywyższył stan rycerski i przyczynił się do wzrostu jego chwały. Wielka ta innowacja wcale nie była tak nowa, ponieważ król Edward Angielski ustanowił już Order Podwiązki. Ale król Jan kpił z orderu utworzonego wokół niewieściej nóżki. Gwiazda to całkiem co innego. Zauważ stałą u niego cechę. Umie wyłącznie naśladować, a przybiera minę wynalazcy:

Pięciuset rycerzy, nie mniej, miało przysiąc na Pismo Święte, że nie ustąpi w bitwie ani na krok, nigdy się nie podda. Na cel tak szczytny należało wskazać widocznym symbolem. Jan II nie skąpił na przepych; a ze skarbcza, i tak już nadszarpniętego, pieniądz jał się toczyć niczym z dziurawej beczki. Na siedzibę rycerzy Orderu kazał przysposobić dom w Saint-Ouen, później zwany wyłącznie Dostojną Siedzibą. Wypełniały ją przepyszne sprzęty, rzeźbione, w azurach, inkrustowane kością słoniową oraz innym cennym surowcem. Nie widziałem Dostojnej Siedziby, ale mi ją opisywano. Ściany tam są, lub raczej były, kryte złotem i srebrogłównem czy też aksamitem tkanym w gwiazdy i złote kwiaty lilii. Król kazał uszyć dla każdego z rycerzy kaftan z białego jedwabiu i stroik na poły biały i koralowy, kaptur koralowy ozdobiony złotą fibulą w kształcie gwiazdy. Poza tym każdy otrzymał biały sztandar haftowany w gwiazdy, a także masywną obrączkę ze złota i emalii, aby wskazać, że łączy ich z królem niby ślub... co wzbudzało uśmiechki. Pięćset fibul, pięćset chorągwi, pięćset pierścieni, oblicz koszt. Zdaje się, że król sam wyrysował i omówił każdy szczegół tych wspaniałych ozdób. Święcie wierzył w swój Order Gwiazdy. Mając tak złowróżbne gwiazdy, postąpiłby rozsądniej wybierając inne godło.

Raz na rok wedle podyktowanej przezeń reguły, wszyscy rycerze winni byli zbierać się na uroczystej biesiadzie, każdy miał opowiadać o swych bohaterskich przygodach, o czynach wojennych przezeń dokonanych w ciągu roku; dwóch skrybów miało prowadzić rejestr oraz kronikę. Miał odżyć Okrągły Stół, a król Jan przewyższyć w rozgłosie króla Artura z

Brytanii. Snuł wielkie i mgliste plany. Poczęto mówić o nowej krucjacie...

Pierwsze zgromadzenie rycerzy Gwiazdy zwołane w roku 1352 na Trzech Króli przyniosło pewne rozczarowanie. O sławnych czynach przyszli bohaterowie niewiele opowiedzieli. Za mało mieli czasu. Na rok następny należało odłożyć janczarów rozplątanych od hełmu po łęk siodła, dziewice uwolnione z ciemnic barbarzyńców. Obaj klerycy wyznaczeni do prowadzenia kroniki rycerzy Orderu Gwiazdy nie zużyli wiele inkaustu, chyba że uważać pijaństwo za czyn bohaterski. Bo siedziba posłużyła za miejsce takiej pijatyki, jakiej we Francji nie widziano od czasów Dagoberta. Biało-koralowi rycerze tak mocno przejęli się biesiadą, że jeszcze przed ucztą wrzeszcząc, śpiewając, wyjąc, pijani do nieprzytomności, odbiegali jedynie od stołu, by zwymiotować albo się wysikać, po czym znów wracali, by chwytać smaczne kąski, rzucali groźne wyzwania, kto wychyli więcej pucharów; po prostu zasłużyli, aby pasować ich na rycerzy obżarstwa. Piękną złotą zastawę misternie dla nich wykonaną pognietli lub połamali. Obrzucali się ponad stołem miseczkami niczym wyrostki albo miażdżyli je pięścią. Z pięknych, ażurowych, inkrustowanych sprzętów pozostały tylko szczątki. Szał pijacki zapewne przekonał poniekórych, iż są już na wojnie, bo postarali się tu zdobyć łupy. Przeto zawieszane na ściany tkaniny ze złoto- i srebrołowi padły ofiarą kradzieży.

Był to zaś ów dzień, gdy Anglicy zajęli twierdzę Guines, wydaną im w jawnej zdradzie, podczas gdy dowódca warowni ucztował w Saint-Ouen.

Przeto król doznał wielkiego rozczarowania i począł lubować się myślą, że najwartościowsze jego poczynania jakiś złowieszczy los skazuje na niepowodzenie.

Niebawem nastąpiła pierwsza bitwa, w której musieli wziąć udział rycerze Gwiazdy, lecz walka ta nie odbyła się na baśniowym Wschodzie, lecz w leśnym zakątku Dolnej Bretanii. Piętnastu z nich, pragnąc udowodnić, że są zdolni do bohaterskich czynów nie tylko przy dzbanie wina, uszanowało przysięgę, iż nigdy nie odstąpią na krok ani uciekną, i zamiast wycofać się, jak postąpiliby rozsądni ludzie, dopuścili, by otoczył ich wróg, którego liczebność nie dawała im żadnej, nawet najmniejszej szansy na zwycięstwo. Żaden nie powrócił, aby opowiedzieć o tym bohaterskim czynie. Ale krewniacy poległych rycerzy nie omieszkali rozgłaszać, że nowy król ma wielce pomyłony rozum, skoro wymaga od swych chorążych tak szaleńczej przysięgi i gdyby wszyscy mieli jej dotrzymać, sam by niebawem znalazł się na swym zgromadzeniu...

Ach! oto moja koleba... Wolisz teraz jechać konno?... Ja zaś myślę, że pośpię sobie krzynkę, aby po przyjeździe mieć świeży umysł... Lecz pojmujesz, Archibaldzie, dlaczego Order Gwiazdy nie wydał spodziewanych owoców i że z roku na rok coraz mniej się o nim mówiło?





## VI

### Początek panowania króla zwanego Złym

Czyś zauważył, bratanku, iż wszędy, dokąd zajeżdżamy, w Limoges czy też w Nontron, czy gdzie indziej, każdy nas pyta o króla Nawarry, jakby los Francji zależał od tego księcia. Zaiste dziwną mamy sytuację. Króla Nawarry więzi w zamku d'Artois kuzyn jego, król Francji. Król Francji przebywa w niewoli w pałacu w Bordeaux u swego kuzyna, księcia, następcy angielskiego tronu. Delfin, dziedzic Francji, szamoce się w paryskim pałacu między rozgorączkowanym mieszczaństwem a sarkającymi Stanami Generalnymi. A ogół zdaje się wyłącznie niepokoić o króla Nawarry. Słyszałeś, co mówił sam biskup: „Powiadają, że Delfin jest bardzo zaprzyjaźniony z Dostojnym Panem Nawarry. Czy go uwolni?” Boże Świąty! Mam nadzieję, że nie. Wielce był roztropny ten młodzieniec, iż dotąd o to się nie pokusił. Niepokoi mnie owa próba ucieczki, którą rycerze z klikki Nawarry jakoby przedsiębrali, by uwolnić swego przywódcę. Spelzła na niczym. Trzeba sobie pogratulować. Lecz wszystko skłania do mniemania, iż znów rozpoczną.

Tak, tak, w Limoges dowiedziałem się o wielu sprawach. I szykuję się, by je opisać papieżowi dziś wieczorem po naszym przybyciu do La Peruse.

Jeśli król Jan popełnił wielkie głupstwo uwięziwszy Pana Nawarry, Delfin postąpiłby równie głupio, gdyby dziś go uwolnił. Nie znam większego warchoła niż ten Karol zwany Złym. On i król Jan mimo swej kłótni godnie podali sobie ręce, by pogrążyć Francję w obecne nieszczęścia. Czy wiesz, skąd pochodzi jego przydomek? Z pierwszych miesięcy panowania. Nie tracił czasu, by go zdobyć.

Mówiłem ci już tamtego dnia, że jesienią 49 roku zmarła jego matka, córka Ludwika Kłótliwego. Latem roku 1350 pojechał na koronację do swej stolicy, Pampeluny, gdzie nigdy, od czasu swych narodzin przed osiemnastu laty w Evreux, noga jego nie postąpiła. Pragnąc, aby poddani go poznali, objechał swe państwo, co wcale nie wymagało długiej podróży; po czym odwiedził sąsiadów i krewniaków: szwagra hrabiego na Foix i Bearn, tego, co każe zwać się Febusem, oraz innego szwagra, króla Aragonii Piotra Solennego, a także króla Kastylii.

Otóż, kiedy już wrócił do Pampeluny i jechał przez most, spotkał przedstawicieli szlachty nawarskiej, którzy przyszli, aby złożyć mu skargę, ponieważ zezwolił na gwałcenie ich praw i przywilejów. Ponieważ odmówił wysłuchania, delegaci trochę się unieśli; tedy kazał żołnierzom schwytać stojących przy nim najgłośniejszych krzykaczy i niezwłocznie powiesić na pobliskich drzewach, mówiąc, że należy szybko karać, jeśli chce się zdobyć respekt.

Zauważyłem, że książęta zbyt skorzy do wymierzania kary głównej często działają pod wpływem lęku. Karol nie stanowi wyjątku, sądę, że jest odważniejszy w słowie niż czynie. Owo okrutne powieszenie, które

okryło żałobą Nawarrę, zdobyło dlań u poddanych przydomek: *el malo* - Zły. Zresztą niebawem oddalił się ze swego królestwa zdając rządy najmłodszemu bratu, Ludwikowi, wówczas ledwo piętnastoletniemu, sam zaś wolał powrócić do Francji, wraz z drugim swym bratem, Filipem, aby wicherzyć na królewskim dworze.

Zapytasz mnie tedy, jakim sposobem stronnictwo nawarskie może być tak liczne i potężne, skoro nawet w Nawarze część szlachty jest wroga królowi? Ach! bratanku, dlatego że to stronnictwo składa się z normandzkich rycerzy głównie z hrabstwa Evreux. I to sprawia, że Karol Nawarry jest tak niebezpieczny dla korony francuskiej; bardziej, niż posiadłości na południu królestwa, groźne są dla Francji włości, którymi on włada w pobliżu Paryża, takie jak lenna Mantes, Pacy, Meulan czy Nonancourt, które w zachodniej ćwierci kraju decydują o dostępie do stolicy.

Król Jan zrozumiał to nieźle albo go o tym przekonano i raz wreszcie dowiódł zdrowego rozsądku usiłując dojść do zgody i załagodzić stosunki z nawarskim kuzynem. A jakąż więzią mógł go najskuteczniej ze sobą połączyć? Mażeńską. A jakież małżeństwo mógł mu zaproponować, które połączyłoby go z koroną równie mocno jak ślub przed pół rokiem zawarty przez jego siostrę Blankę, królową Francji? A więc małżeństwo z najstarszą córką samego króla, małą Joanną de Valois. Miała dopiero osiem lat, lecz zanim dojdzie małżeńskich lat, było nader warto na nią zaczekać. Zresztą Karolowi Nawarry nie brakowało zalotnych gamratek kojących niecierpliwość. Pogadywano między innymi o niejkiej pannie Wdzięcznisi... tak, takie ma imię, czy też takie podaje... Mała Joanna de Valois była już wdową, ponieważ jako trzylatkę wydano ją za mąż za matczynego krewniaka, którego Bóg nie omieszkał do siebie powołać.

Sprzyjaliśmy w Awinionie tym zrękowinom, zdawało się nam, że obiecują pokój. Intercyza bowiem rozwiązywała wszystkie nie załatwione dotąd sprawy pomiędzy obiema gałęziami francuskiej dynastii, począwszy od hrabstwa Angouleme, przyobiecanej matce Karola w zamian za zrzeczenie się prowincji Brie oraz Szampanii, później krainę Angoumois zastąpiono kasztelanią Pontoise i hrabstwem Beaumont, ale do wykonania umowy nie doszło. Tym razem powrócono do pierwszej ugody; Nawarczyk miał otrzymać jako posag Angoumois, a także kilka dużych warowni oraz kasztelanii. Król Jan puszył się, hojnie obdarzając przyszłego zięcia. „Będziecie mieć to, tak chcę, daję wam tamto, rzekłem...”

Nawarczyk wśród swoich pokpiwał z nowego pokrewieństwa łączącego go z królem Janem. „Urodzenie nas skuzynowało; o mało nie zostaliśmy szwagrami; lecz ojciec jego poślubił moją siostrę, przeto zostałem jego wujem, a teraz będę zięciem”. Ale podczas gdy omawiano intercyzę, nader dobrze wiedział, jak przychylić sobie nieba. Dla siebie nie żądał żadnego zapisu, jedynie wypłacenia sumy stu tysięcy dukatów - długu króla Jana zaciągniętego u mieszczan paryskich, a które Karol łaskawie miał im zwrócić. On również nie miał płynnej gotówki, lecz postarano się o nią u flamandzkich bankierów, którym godził się dać w zastaw część swych klejnotów. Była to transakcja o wiele łatwiejsza dla zięcia królewskiego niż dla samego króla...

Zastanawiam się nad tym, że przy tej sposobności Nawarczyk musiał zetknąć się z prewotem Marcelem, muszę o nim także napisać do papieża, bo obecnie poczynania tego człowieka cokolwiek mnie niepokoją. Ale to inna sprawa...

W umowie ślubnej przyznano Karolowi Nawarry sto tysięcy dukatów; miano mu je wypłacić w szybkich ratach. Poza tym został zaliczony w poczet rycerzy Gwiazdy, a nawet dano mu nadzieję, iż otrzyma stanowisko konetabla, choć nie miał ukończonych dwudziestu lat. Ślub się odbył. Wesele było szumne i huczne.

Wkrótce jednak zmaćła się piękna przyjaźń, jaką wzajem świadczyli sobie teść i zięć. A kto ją zmaćcił? Drugi Karol. Pan z Hiszpanii, piękny La Cerda, okrutnie zazdrosny z powodu łaski otaczającej króla Nawarry i zaniepokojony widokiem gwiazdy wstępującej tak wysoko na dworskie niebo. Karol Nawarry ma wadę wspólną wielu młodym... przestrzegam cię przed nią, Archibaldzie... za wiele gada, gdy los się doń uśmiecha, i nie opiera się pokusie opowiadania złośliwostek. La Cerda nie omieszkał donosić królowi Janowi o cechach zięcia doprawiając je własnym sosem. "On stroi z was żarty, drogi mój Sire; uważa, że wszystko mu wolno mówić. Nie powinniście zezwalać na szarganie waszego majestatu, a jeśli to dopuszczacie, to ja, w imię miłości do was, tego nie zniosę". I dzień po dniu sączył truciznę do ucha królowi. Nawarczyk powiedział to, Nawarczyk zrobił owo. Nawarczyk zbyt się przysuwa do Delfina; Nawarczyk coś knuje z takim-to dostojnikiem z Wielkiej Rady. Nie masz człowieka skłonniejszego nad króla Jana do powzięcia o kimś złego mniemania i bardziej opornego, żeby się go wyzbyć. Jest łatwowierny, a zarazem uparty. Nic łatwiejszego niż wymyślić mu wrogów.

Niebawem odebrał Karolowi Nawarry namiestnictwo generalne w Langwedocji, którym go wpiery obdarzył. Odebrał na czyją korzyść? Karola z Hiszpanii. Później obsadził wreszcie stanowisko konetabla, wakujące od ścięcia Raula de Brienne, lecz nominację otrzymał nie Karol Nawarry, ale Karol z Hiszpanii. Nawarczyk nie ujrzał na oczy ani jednego dukata ze stu tysięcy, które miały mu być zwrócone, podczas gdy upominki i łaski deszczem spływały na przyjaciela króla. Wreszcie... wreszcie, wbrew wszelkim ugodom Pan z Hiszpanii otrzymał hrabstwo Angouleme, Karol Nawarry musiał zadowolić się ponowną, mglistą obietnicą zamiany.

Naonczas między Karolem Złym a Karolem z Hiszpanii zapanowała oziębłość, następnie niechęć, a wkrótce otwarta i jawna nienawiść. Pan z Hiszpanii miewał łatwe okazje, by powiadać królowi: „Widzicie, miałem słuszność, drogi mój Sire! Przeniknąłem złe zamiary waszego zięcia, buntuje się on przeciw waszej woli. Uwziął się na mnie, bo widzi, że zbyt wiernie wam służę”.

Niekiedy zaś on, co był u szczytu łask, udawał, że chce porzucić dwór, jeśli bracia z Nawarry będą go nadal spotwarzać. Przemawiał jak kochanka: „Pójdę na jakieś pustkowie poza granice waszego królestwa, aby żyć tam wspomnieniem miłości, jakąście mi okazywali, albo żeby tam umrzeć! Bo z dala od was dusza opuści me ciało!” I jawnie łzy ronił osobliwy ów konetabl.

Jako że król Jan miał głowę zaprzątniętą jedynie Hiszpanem i na

wszystko patrzył tylko jego oczyma, zawział się, by przemienić w nieprzejednanego wroga tego kuzyna, którego wybrał był sobie na zięcia, aby mieć w nim wiernego sojusznika.

Już ci powiedziałem: większego, bardziej dla siebie szkodliwego głupca niż ten król trudno znaleźć... co byłoby zresztą małą stratą, gdyby jednocześnie tak nie szkodził królestwu.

Dwór szumiał tylko tą kłótnią. Królowa, całkiem opuszczona, zaszywała się w kącie razem z Panią z Hiszpanii... bo konetabl był żonaty - małżeństwo dla pozorów - z kuzynką króla, Panią de Blois.

Doradcy króla, choć udawali, że schlebiają swemu władcy, wyraźnie się podzielili, zależnie, czy uważali za dobre połączyć swój los z konetablami, czy zięciem. A tocząca się między nimi głucha walka była tym zawziętsza, że król, który chciał okazywać, że sam o wszystkim decyduje, zawsze zdawał na dworaków troskę o najważniejsze sprawy.

Widzisz, drogi bratanku, intrygi otaczają wszystkich królów. Lecz spiskuje się, sprzysięga jedynie w otoczeniu nieudolnych albo takich, których osłabia jakiś narów czy choroba. Chciałbym widzieć, aby ktoś spiskował na dworze Filipa Pięknego. Nikt o tym nie myślał, nikt by nie śmiał. Co wcale nie oznacza, aby sprzysiężenia nie groziły mocnym królom, ale muszą się wtedy znaleźć prawdziwi zdrajcy. Natomiast przy słabych władcach jest rzeczą zwykłą, że spiskują nawet ludzie uczciwi.

Pewnego dnia przed Bożym Narodzeniem roku 1354 w jednym z paryskich pałaców doszło do wymiany tak grubiańskich słów i takich obelg między Karolem z Hiszpanii a Filipem Nawarry, że ów dobył sztyletu i gdyby go nie otoczono, już, już, a ugodziłby konetabla! Ów wybuchnął sztucznym śmiechem i krzyknął do młodego króla Nawarry, iż okazałby się mniej groźnym, gdyby otaczało ich mniej ludzi, by go powstrzymać. Filip nie jest tak chytry jak starszy jego brat, lecz bardziej zapamiętały w walce. Dopiero usunięto go z sali, kiedy zawrzasnął, iż rychło wyrwie pomstę na wrogu rodziny i do gardła mu wepchnie obelgi. Co też nastąpiło po dwóch tygodniach w noc Trzech Króli.

Pan z Hiszpanii udał się w odwiedzinach do swej kuzynki hrabiny d'Alençon. Przystanął na noc w Laigle, w oberży, której nazwę trudno zapamiętać: „Pod Czmychającą Świnia”. Zbyt dufny w respekt, jaki wzbudza jego stanowisko i przyjaźń króla, sądził, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, kiedy podróżuje po królestwie, i wziął ze sobą tylko mały poczet. Zaś gródek Laigle znajduje się w hrabstwie Evreux, niewiele mil od tegoż miasta, gdzie przebywali w warownym zamku bracia z Evreux-Nawarry. Uprzedzeni o przejeździe konetabla, zastawili nań chytne sidła.

Około północy dwudziestu normandzkich rycerzy, pełnych krzepy, jak pan de Graille, pan de Cleres, pan de Mainemares, pan de Morbecque, rycerz d'Aunay... a tak, potomek jednego z gachów z wieży Nesle; nic dziwnego że przystał do stronnictwa Nawarry... więc jednym słowem dobra dwudziestka, których nazwiska są znane, ponieważ król, wbrew swej woli, musiał im wydać w końcu listy ułaskawiające... pojawiło się w gródku pod wodzą Filipa Nawarry, wywalilo drzwi w „Czmychającej Świnii” i wtargnęło do kwatery konetabla.



Nie było wśród nich króla Nawarry. Gdyby zaś sprawa przybrała zły obrót, wolał zaczekać na skraju miasteczka koło stodoły w towarzystwie koniuchów. Och! wyobrażam sobie mojego Karola Złego, mały, zwawy, spowity w płaszcz niczym w dymy piekielne, skacze tam i z powrotem po zamazłym gruncie, podobny do diablika nie tykającego ziemi. Spogląda na zimowe niebo. Chłód go szczypie w palce. Trzewia mu się skręcają z lęku, a zarazem nienawiści. Nadstawia ucha. I niespokojny znów drepce.

Wtedy nadchodzi Jan de Fricamps, zwany Wróblem, zarządca Caen, doradca i najgorliwszy spiskowiec, i bez tchu wykrztusza: „Załatwiliśmy go, Dostojny Panie!”

A później pojawiają się: Graville, Mainemares, Morbecque i sam Filip Nawarry oraz wszyscy przysiężeni. Tam w oberży wyzionął ducha piękny Karol z Hiszpanii, którego wyciągnięto spod łóżka, gdzie się schował. Oporządzono go paskudnie, dźgając przez nocną szatę. Naliczono później osiemdziesiąt ran, osiemdziesiąt dźgnięć. Każdy chciał zanurzyć czterokrotnie miecz w ciało... Oto, panie bratanku, w jaki sposób król Jan utracił swego kochanka, a Pan Nawarry rozpoczął rebelię...

Teraz zaś, proszę, ustąp swego miejsca dom Francesco Calvo, sekretarzowi przydzielonemu mi przez papieża. Chcę z nim porozmawiać, nim przybędziemy na postój.





## VII

### Wieści z Paryża

Po przybyciu do La Peruse, dom Calvo, będę bardzo zajęty lustracją opactwa, muszę sprawdzić, czy Anglicy istotnie tak je obrabowali, żebym musiał zwolnić mnichów od wypłacenia należnych mi, jako przeorowi, beneficjów - jak tego oni żądają. Przeto zaraz chcę wam powiedzieć, jakie sprawy winny się znaleźć w moim piśmie do Ojca Świętego. Będę wam wdzięczny, skoro natychmiast po przybyciu wygotujecie mi to pismo i ozdobicie je pięknymi zwrotami, jak zwykliście to czynić.

Trzeba poinformować Ojca Świętego o nowinach z Paryża, które do mnie dotarły w Limoges i wielce mnie niepokoją.

Po pierwsze należy opisać poczynania przewota paryskich kupców, mistrza Stefana Marcela. Dowiaduję się, że przewot ów już od miesiąca każe budować fortyfikacje i kopać rowy wokół miasta na zewnątrz dawnych wałów, jakby się już gotował na oblężenie. W stadium zaś naszych obecnych rokowań o pokój Anglicy wcale nie zagrażają miastu, pośpiech więc całkiem nieuzasadniony. Poza tym przewot przekształcił mieszczaństwo w straż miejską, którą uzbraja i ćwiczy, mianował dowódców dzielnic, pięćdziesiątników i dziesiątników, aby zapewnić sobie władzę na wzór flamandzkiej milicji, która sama rządzi się w mieście. Wymusił na Dostojnym Delfinie, namiestniku króla, aby zezwolił na utworzenie owej milicji, a ponadto, kiedy wszystkie opłaty i daniny na rzecz króla są przedmiotem powszechnych skarg i odmowy, on, przewot, w celu uzbrojenia swych ludzi ustanawia podatek od trunków i bezpośrednio go pobiera.

Mistrz Marcel ongiś wielce się wzbogacił na dostawach dla króla, ale przed czterema laty je utracił i poczuł się wielce zawiedziony, a od czasu klęski pod Poitiers wydaje się wtrącać we wszystkie sprawy królestwa. Trudno przeniknąć jego zamysły, poza tym, że chce przydać sobie autorytetu, lecz nie kroczy drogą pokojową, jak pragnie nasz Ojciec Święty. Przeto, gdyby dotarła do niego jakaś prośba z tamtej strony, pobożnym moim obowiązkiem jest doradzić papieżowi, aby okazał wyniosłość i nie udzielał poparcia, ani nawet pozoru poparcia, poczynaniom paryskiego przewota.

Już zrozumieliście, dom Calvo. Capocci przebywa w Paryżu. Ponieważ cechuje go brak rozwagi i wciąż popełnia przeoczenia, mógłby uważać, że zyska na sile wchodząc w konszachty z tym przewotem. Nie, o niczym dokładnie nie doniesiono, lecz nos mój węszy jedną z tych krętych dróg, na które mój współlegat nigdy nie omieszka wkroczyć.

Po drugie pragnę skłonić arcypasterza, aby rozkazał złożyć sobie dokładną relację o działalności Stanów Generalnych Północnego Dialektu, które zakończyły swe obrady w początkach bieżącego miesiąca. Należy go skłonić, aby skierował swą światłą uwagę na osobliwe rzeczy, jakie się tam

działy.

Król Jan przyrzekł zwołać Stany w grudniu; lecz w wielkim wzburzeniu, zamęcie i przygnębieniu, w jakim znalazło się królestwo po klęsce pod Poitiers, Delfin Karol uważał za roztropne przyśpieszyć termin i zwołać zgromadzenie w październiku. Zaprawdę nie miał innego wyboru, by umocnić swą władzę, która mu przypadła po tym nieszczęściu. Młody jest, armia całkiem się rozprzegła na skutek niepowodzeń, a skarb świeci pustkami.

Lecz ośmiuset deputowanych z Północy, w tym czterystu mieszczan, wcale nie obradowało nad sprawami, do których rozważania ich powołano.

Kościół ma wiele doświadczenia w dziedzinie koncyliów, wymyka się ono władcom zwołującym zgromadzenia. Chcę wyjaśnić papieżowi, że Stany te wiernie przypominają koncylium, które zbacza z właściwej drogi; przywłaszcza sobie prawo do rządzenia wszystkim i gwałtem przystępuje do niepomiarowanych reform wykorzystując słabość najwyższej władzy.

Miał radzić nad uwolnieniem króla Francji, nasi poczcwiwcy z Paryża od razu zatroskali się o króla Nawarry i żądali wypuszczenia go na wolność, co wyraźnie wskazuje, po czyjej stronie stoją przywódcy.

Poza tym ośmiuset wyłoniło komisję osiemdziesięciu, ta zaś przystąpiła do tajnych obrad i opracowała długą listę remonstracji, w których jest mało dobrego a wiele złego. Przede wszystkim żąda usunięcia z urzędów i stawienia pod sąd głównych doradców króla, oskarżając ich o roztrwonienie danin i winiąc o klęskę.

W tej materii muszę wam się zwierzyć, Calvo... ale nie piszcie... remonstracje zawierają ziarno prawdy. Wśród ludzi, na których król Jan zdał rządy, znam takich, co niewiele posiadają walorów, a nawet są wierutnymi łotrami. Bogacić się na wysokim stanowisku - rzecz zrozumiała, inaczej kto by zechciał zadawać sobie trud i ryzykować. Ale należy baczyć, by nie przekroczyć granic uczciwości i nie załatwiać własnych spraw kosztem interesów ogółu. A przede wszystkim trzeba być zdolnym człowiekiem. Król Jan, nie będąc sam zdolny, chętnie dobiera sobie ludzi nie grzeszących mądrością.

Lecz poza tym deputowani jęli się domagać rzeczy całkiem niewłaściwych. Żądali, aby król, czyli obecnie jego namiestnik, Delfin, rządził wyłącznie za pośrednictwem doradców wyznaczonych przez trzy Stany: czterech prałatów, dwunastu rycerzy i dwunastu mieszczan. Rada owa byłaby władna wszystkim rządzić i rozkazywać jak ongiś król; obsadzałaby wszystkie urzędy, mogłaby zreformować Izbę Obrachunkową i wszystkie w królestwie kompanie, stanowiłaby o wykupie jeńców i wielu innych sprawach. W istocie chodziło nie o co innego jak o wyzucie króla z władzy.

Przeto kierowanie królestwem nie spoczywałoby w rękach pomazańca koronowanego zgodnie z przepisami naszej świętej religii, lecz byłoby powierzone tej, powiedzmy, Radzie, która uprawnienia swe zawdzięczałaby gadatliwemu zgromadzeniu i działałaby w całkowitej od niego zależności. Jakież upadek, co za pomieszanie pojęć! Te rzekome reformy... rozumiecie mnie, dom Calvo; kładę nacisk na ten punkt, bo nie należy, aby Ojciec Święty mógł powiedzieć, że go nie uprzedzono... te

rzekome reformy stanowią obrazę zdrowego rozsądku, a jednocześnie trącą herezją.

Duchowni zaś, rzecz godna pożałowania, ku temu się skłaniają, jak na przykład Biskup Laon, Robert Le Coq; popadł on w niełaskę u króla i w końcu pokumał się całkiem z przewotem. To jeden z najgorszych wichrzycieli.

Ojciec Święty winien wyraźnie widzieć, że za tą ruchawką kryje się król Nawarry i, zda się, nią kieruje z głębi swej ciemnicy, a jeszcze by pogorszył sytuację, gdyby ją kształtował będąc na wolności. Ojciec Święty w swej wielkiej mądrości sam osądzi, że winien wystrzegać się najbliższego wstawiennictwa w materii uwolnienia Karola Złego, chciałem powiedzieć Pana Nawarry, o co na pewno wnosi wiele napływających zewsząd suplik.

Ja zaś, korzystając z mych uprawnień legata i nuncjusza... słyszycie mnie, Calvo?... poleciłem biskupowi Limoges, aby się dołączył do mej świty i stawiał w Metz. Spotka mnie w Bourges. Postanowiłem postąpić także z innymi po drodze biskupami, których diecezje obrabowali i spustoszyli żołnierze księcia Walii. Niech świadczą przed Cesarzem. Tym sposobem wzmocnię argumenty, odmalowując mu, jak niebezpieczny okazał się sojusz zawarty między królami Nawarry i Anglii.

Ale dlaczego wciąż się wychylacie, dom Calvo?... Ach! mdli was od kołysania mej koleby. Ja się już całkiem przyzwyczaiłem, rzeknę nawet, że mi pobudza umysł, i zauważyłem, że nie sprawia ono żadnych dolegliwości memu bratankowi, panu de Perigord, który mi od wyjazdu często towarzyszy... Istotnie macie niewyraźną minę. Dobrze, wysiadajcie. Lecz nie zapomnijcie o niczym, co wam powiedziałem, kiedy chwycicie za pióro.





## VIII

### Uгода w Mantes

Gdzie jesteśmy? Czy minęliśmy już Mortemart?... Jeszcze nie! Wydaje mi się, że się trochę zdrzemnął. O! jakie niebo ciemne; i dzień jest krótszy. Wiesz, bratanku, śniła mi się śliwa w kwieciu, duża śliwa śnieżnobiała, kulista i obsiadła przez ptaki, jakby każdy kwiat śpiewał. A niebo było błękitne niczym kobierzec Niepokalanej Dziewicy. Obraz isticie anielski, jakby rajski zakątek. Dziwna rzecz te sny! Czyś zauważył, że Ewangelie wcale nie opisują snów, poza snem Józefa na początku Świętego Mateusza? Jedynym. Podczas gdy w Starym Testamencie patriarchowie bez ustanku miewają sny, w Nowym nikt nie śni. Często siebie zapytywałem dlaczego i nie znajdowałem odpowiedzi... Czy to cię nie uderzyło?... Bo nie jesteś pilnym czytelnikiem Pisma Świętego, Archibaldzie... Oto dobry temat dla naszych uczonych doktorów z Paryża czy Oxfordu, niech podysputują ze sobą i dostarczą nam grubych tomów traktatów i rozpraw w łacinie tak wulgarnej, że nikt ani słówka nie zrozumie...

W każdym razie natchnął mnie Duch Święty, żebym zboczył do La Peruse. Widziałeś tych poczciwych braci benedyktynów, którzy chcieli wykorzystać najazd Anglików, aby nie zapłacić intraty przeorowi? Polecę dać im w zastępstwie emaliowany krzyż i trzy kielichy z połączanego srebra, bo poprzednie śpiesznie ofiarowali Anglikom, żeby wywinąć się od drapieży; a należne beneficja niech płacą.

Naiwnie usiłowali podszyć się pod ludzi z drugiego brzegu Vienny, gdzie żołdacy księcia Walii naprawdę wszystko spustoszyli, obrabowali, podpalili, jak to dziś rano widzieliśmy w Chirac i w Saint Maurice-des-Lions. A przede wszystkim w opactwie Lesterps, gdzie kanonicy regularni okazali się tak mężni: „Warowne nasze opactwo, będziemy go bronić”. I ci kanonicy z własnej i nieprzymuszonej woli walczyli jako ludzie zacni i odważni. Kilku poległo w bitwie, ci zachowali się godniej niż wielu znanych mi rycerzy pod Poitiers.

Gdybyż wszyscy Francuzi mieli tyleż odwagi... A jeszcze ci zacni kanonicy potrafili w swym do cna wypalonym klasztorze wyszykować tak obfity i tak smakowicie przyrządzony posiłek, że skłonił mnie do snu. A czyś zauważył tę minę świętego rozradowania, w jaką stroją swe oblicza?... „Nasi bracia polegli? Odpoczywają w spokoju; Bóg w swej łaskawości ich przygarnął... Nas pozostawił na ziemi? Abyśmy mogli dokonywać zbożnego dzieła... Nasz klasztor na wpół zniszczony? Toż właśnie sposobność, by go odbudować jeszcze piękniejszym...”

Wiedz, bratanku, że dobrzy duchowni są radośni. Nie dowierzam zbyt surowym postnikom o ponurych twarzach i pałających oczach, które się zbiegają, jakby zbyt długo zezowali w stronę piekła. Ci, których Bóg obdarował najwyższym, jaki istnieje, zaszczytem powołując ich do swej

służby, mają radosny sposób bycia; to wzór uprzejmości i przykład, jakim winni świecić wobec reszty śmiertelników.

Tak samo królowie, ponieważ Bóg ich wywyższył ponad innych ludzi, winni zawsze nad sobą panować. Pan Filip Piękny - wzorzec prawdziwego majestatu, karał nie okazując gniewu; a żalobę nosił bez łzy w oku.

Po zabójstwie Pana z Hiszpanii, o czym wczoraj ci opowiadałem, król Jan wyraźnie okazał, i to w najzłośliwszy sposób, że nie potrafi okiełznać swych namiętności. Król nie powinien wzbudzać uczucia litości; lepiej, gdy mniemają, że ból go nie sięga. Przez cztery dni nasz Jan nie potrafił wymówić jednego słowa i nawet powiedzieć, czy chce jeść albo pić. Z zaczerwienionym i wilgotnym okiem błąkał się po komnatach, nie poznawał nikogo i nagle przystawał, by zaszlochać. Próżno było z nim mówić o jakiegokolwiek sprawie. Wróg mógłby zająć pałac, a on dałby się wieść za rękę. Ani ćwierci tego smutku nie okazał po śmierci matki jego dzieci, Pani Bony Luksemburskiej, czego Delfin Karol nie omieszkał mu wytknąć. Zauważono po raz pierwszy, że okazuje pogardę wobec rodzzonego ojca, posunął się aż do powiedzenia, iż nie leży w dobrych obyczajach tak rozpaczać, lecz to nie dotarło do króla.

Dopiero kiedy zaczął wrzeszczeć, otrząsnął się z rozpacz. Wrzeszczeć, by wnet mu siodłano wierzchowca, wrzeszczeć, żeby zwołano wojska, wrzeszczeć, że popędzi do Evreux wymierzyć sprawiedliwość i niech każdy drży... Dworacy z wielkim trudem przywołali go do przytomności, wyjaśniając, że trzeba najmniej miesiąca, aby zgromadzić wojska, nawet bez pospolitego ruszenia, że jeśli chciałby zaatakować Evreux, wzbudziłby niesnaski w Normandii; z drugiej zaś strony właśnie upłynął termin zawieszenia broni z królem Anglii i gdyby ów zechciał wykorzystać powstały zamęt, królestwo mogłoby popaść w niebezpieczeństwo.

Przedkładano mu także, iż być może gdyby uszanował umowę ślubną córki i dotrzymał zobowiązania przekazując Angouleme Karolowi Nawarry, miast darować je swemu drogiemu konetablowi...

Jan II rozkładał ręce i wołał: „Kimże więc jestem, jeśliś bezradny? Widzę, że nikt z was mnie nie miłuje, a moją jedyną podporę utracilem”. Lecz w końcu pozostał w pałacu, przysięgając Bogu, że nigdy nie zazna radości, póki nie wyrze pomsty.

Tymczasem Karol Zły nie marnował czasu. Pisał do papieża, pisał do Cesarza, pisał do wszystkich chrześcijańskich książąt, wyjaśniając im, że nie pragnął śmierci Karola z Hiszpanii, lecz jedynie pojmać go w odwet za szkodliwości i obelgi, jakie od niego ścierpiał; pisał, iż przekroczono jego rozkazy, lecz wszystko bierze na siebie i osłania swych krewniaków, przyjaciół i sługi, którymi we wzburzeniu w Laigle powodowała li tylko zbyt wielka gorliwość.

Chełpił się tym sposobem rycerską cnotą, uknuwszy w rzeczywistości zasadzkę niczym rzeźmieszek z gościńca.

Przede wszystkim słał pisma do diuka Lancastra, przebywającego w Malines, i do króla Anglii we własnej osobie. Poznaliśmy treść tych listów, kiedy sprawy zaczęły się gmatwać. Zły pisał bez ogródek: „Jeśli rozkażecie waszym dowódcom w Bretanii wkroczyć do Normandii, natychmiast skoro wyślę do nich gońca, zapewnię im wjazd dogodny i bezpieczny. Raccie

wiedzieć, umiłowany kuzynie, że cała normandzka szlachta jest mi oddana na śmierć i życie”. Nasz gagatek rozpoczął rebelię zabójstwem Pana z Hiszpanii; teraz wkroczył na drogę zdrady. Ale jednocześnie wypuścił na króla Jana damy z Melun.

Nie wiesz, że tak się je nazywa?... Ach! oto deszcz. Należało się go spodziewać; deszcz ten groził nam już od wyjazdu. Teraz, Archibaldzie, będziesz chwalił moją kolebę, miast by woda ściekała ci za kołnierz i pod kaftan kolczy, a błoto ochlapywało uda...

Damy z Melun? To dwie królowe-wdowy, a następnie Joanna de Valois, mała żona Karola, która czeka, aż dorośnie do małżeńskiego stanu. Mieszkają wszystkie trzy w zamku Melun, zwanym z tego powodu zamkiem Trzech Królowych albo też Dworem Wdów.

Pierwsza to Pani Joanna d’Evreux, wdowa po Karolu IV i stryjna Złego. Tak, tak, jeszcze żyje; wcale nie jest taka stara, jak się sądzi. Na pewno ledwo przekroczyła pięćdziesiątkę, o cztery czy pięć lat ode mnie młodsza. Owdowiała przed dwudziestu ośmiu laty, od dwudziestu ośmiu lat odziewa się w biel. Tylko w ciągu trzech lat dzieliła tron z małżonkiem. Lecz zachowała wpływy w królestwie. Jest nestorką, ostatnią królową z głównego pnia rodu Kapetyngów. Gdyby na trzy połogi... trzy córki, z których żyje tylko jedna, pogrobowa... jeden przysporzył jej syna, byłaby królową matką i regentką. Ciąg dynastii zakończył się w jej łonie. Kiedy powiada: „Dostojny Pan d’Evreux, mój ojciec... stryj mój, Filip Piękny... szwagier, Filip Długi...” każdy milknie. Jest ostatnią pozostałą przy życiu potomkinią niepodważalnej dynastii, gdy Francja cieszyła się inną niż dziś potęgą i chwałą. Jest jakby rękomią dla nowej dynastii. Tedy istnieją rzeczy, których się nie robi, bo Pani d’Evreux by ich nie pochwałała.

Co więcej otoczenie mówi o niej: „święta osoba”. Przyznajmy, że niewiele trzeba, by o królowej jak o świętej mówił mały, bezczynny dwór, na którym pochwały zastępują trudy. Pani Joanna d’Evreux wstaje przed świtem; sama zapala świecę, by nie budzić swych dwórek. Po czym czytuje psalterzyk, jak zapewniają, najmniejszy na świecie, dar jej małżonka, zamówiony u mistrza iluministy, Jana Pucelle. Żarliwie się modli i wiele rozdaje jałmużny. Dwadzieścia osiem lat spędziła na powtarzaniu, że przyszłość dla niej nie istnieje, ponieważ nie urodziła syna. Wdowy miewają takie urojenia. Mogłaby więcej zaważyć na losach królestwa, gdyby jaśniała rozumem na miarę swych cnót.

Druga z kolei to Pani Blanka, siostra Karola Nawarry, druga żona Filipa VI, królowała tylko pół roku, zaledwie tyle, by się przyzwyczaić do noszenia korony. Cieszy się sławą najpiękniejszej w królestwie niewiasty. Ongiś ją widywałem i chętnie się podpisuję pod tym mniemaniem. Obecnie ma dwadzieścia cztery lata, a już od sześciu lat rozważa, na co jej zda się śnieżne ciało, połyskliwe oczy i doskonałe kształty. Gdyby natura obdarzyła ją mniej wspaniałą powierzchownością, byłaby teraz królową, ponieważ przeznaczono ją królowi Janowi! Ojciec wziął ją sobie, gdyż poraziła go jej uroda.

Gdy już minęło pół roku, odkąd odprowadziła z łoża do grobu małżonka, poprosił o jej rękę król Kastylii, don Pedro, przez poddanych zwany Okrutnym. Może zbyt pochopnie przesłała mu odpowiedź: „Królowa

Francji nie wychodzi za mąż po raz wtóry”. Bardzo ją wszyscy chwalili za majestatyczną postawę. Lecz obecnie rozmyśla, czy nie złożyła zbyt ciężkiej ofiary na ołtarzu świętej przeszłości. Dobra Melun stanowią jej wiano. Bardzo je upiękaczyła, ale od Bożego Narodzenia aż do Wielkanocy może zmieniać kobierce i obicia w swej komnacie; zawsze sypia w niej sama.

Wreszcie jest druga Joanna, córka króla Jana, której małżeństwo jedynie przyśpieszyło burzę. Karol Nawarry powierzył ją stryjnii i siostrze, zanim osiągnie wiek odpowiedni do spełnienia małżeństwa. Joanna jest prawdziwą małą zarazą, jaką być może dwunastoletnia dzierlatka, która pamięta, iż owdowiała mając sześć lat, i czuje się już królową, choć jeszcze nie zasiada na tronie. Nie ma nic do roboty poza czekaniem, aż dorośnie, a w tym oczekiwaniu jest nieznośna, krzywi się na każde polecenie, żąda wszystkiego, czego się jej odmawia, doprowadza do ostateczności damy ze swej świty i przyrzeka im tysięczne tortury w dniu, gdy osiągnie dojrzałość. Pani d’Evreux nie żartuje w sprawach dobrych manier i często musi jej wymierzać policzek.

Nasze trzy damy utrzymują w Melun i Meaux... Meaux stanowi wiano Pani d’Evreux... pozory dworu. Mają kanclerza, skarbnika, marszałka dworu. Wielce dostojne tytuły przy nader skromnych funkcjach. Zdumiewa liczba ludzi, o których się myśli, że już zmarli, tak dalece zapomnieli o nich wszyscy, prócz nich samych. Starzy słudzy, którzy się uchowali z poprzednich okresów władzy, byli spowiednicy zmarłych królów, sekretarze-strażnicy zwietrzałych tajemnic, ludzie, którzy przez chwilę wydawali się potężni, ponieważ ocierali się o władzę; przeżywają swoje wspomnienia i przydają sobie powagi, ponieważ brali udział w wydarzeniach, których im skąpi obecne życie. Kiedy jeden z nich rozpoczyna: „W dniu, gdy król mi rzekł...” należy zgadnąć, o którego chodzi króla spośród sześciu zasiadających na tronie od zarania wieku. A to, co król powiedział, zazwyczaj jest tego rodzaju zwierzeniem wielkiej wagi i godnym pamięci, jak: „Ładną dziś mamy pogodę, Gruby Pietrku...”

Przeto kiedy zdarza się sprawa tego rodzaju, jak króla Nawarry, to jakby manna niebieska spadła na wdowi dwór nagle przebudzony ze swej drzemki. Każdy się wzrusza, krząta, pogaduje... Dodajmy, że dla trzech królowych władca Nawarry jest w ich myślach pierwszym spośród żyjących na tym świecie. Jest ukochanym bratankiem, drogim bratem, uwielbianym małżonkiem. Próżno by im mówić, że w Nawarze zowią go Złym! Robił zresztą wszystko, by okazać się miłym, obsypywał darami, często je odwiedzał - przynajmniej, kiedy jeszcze nie był w ciemnicy - rozweselał je swymi opowieściami, wtajemniczał w zatargi, roznamiętniał do swych poczynań, czarował, jak to on potrafi, udając pełnego szacunku dla stryjny, tkliwego wobec siostry i zakochanego w dziewczęcej małżonce, wszystko to z czystego wyrachowania, by je ustawić jak pionki na swej szachownicy.

Po zabójstwie konetabla, kiedy król Jan się trochę uspokoił, przybyły razem do Paryża na prośbę Pana Nawarry.

Mała Joanna de Valois rzuciła się do nóg królowi, z grzeczną minką wyrecytowała wyuczoną lekcję: „Miłościwy Panie Ojcze, to niemożliwe,



żeby mój małżonek dopuścił się wobec was jakiegokolwiek zdrady. Jeśli źle postąpił, to oznacza, że zwiedli go zdrajcy. Zaklinam was na miłość do mnie, abyście mu przebaczyli”.

Pani d'Evreux, przejęta smutkiem i powagą, jakiej użyczają jej lata, wyrzekła: „Sire, mój kuzynie, jako najstarsza z tych, co nosiły koronę w królestwie, ważę się wam doradzić i prosić was, abyście pojednali się z moim bratankiem. Jeśli wobec was zawinił, oznacza to, że niektórzy z waszego dworu mieli coś przeciw niemu i mógł przypuszczać, żeście go wydali wrogom. Lecz on sam - zapewniam - żywi wobec was jedynie nieposzlakowane i wierne uczucia. Byłoby ze szkoda dla was obu przedłużać tę niezgodę...”

Pani Blanka słowa nie wyrzekła. Spojrzała na króla Jana. Wie, iż nie może on zapomnieć, że była mu przeznaczona na żonę. W jej obecności ów wysoki i ociężały mężczyzna, zazwyczaj tak arbitralny, nagle się waha. Umyka od niej wzrokiem, język mu się płacze. I zawsze postępuje na odwrót, niż leżało w jego zamysłach. Natychmiast po tym spotkaniu wyznaczył kardynała de Boulogne, biskupa Laon - Roberta le Coq i Roberta de Lorris - swego szambelana, aby rokowali z zięciem i doprowadzili do pojednania. Nakazał sprawę załatwić szybko. Zaprawdę tak się stało, bo na tydzień przed końcem lutego przedstawiciele obu stron podpisali ugodę w Mantes. Nigdy za mej pamięci tak łatwo nie uzgodniono warunków traktatu i tak pośpiesznie go nie zawarto.

Przy sposobności król Jan dowiódł wyraźnie dziwactw swego charakteru i braku logiki w postępowaniu. W ubiegłym miesiącu myślał tylko o pojmaniu i zabiciu Pana Nawarry; teraz zgadzał się na wszystko, czego ów pragnie. Kiedy składano mu raport, że zięć żąda półwyspu Cotentin z Valognes, Coutances i Carentan, odpowiadał: „Dajcie mu, dajcie!” A hrabstwa Pont-Audemar i Orbec? „Dajcie, ponieważ pragnie się naszego pojednania.” Tym sposobem Karol Zły otrzymał również rozległe hrabstwo Beaumont z kasztelaniami Breteuil i Conches, wszystkie dobra ongiś wchodzące w skład parostwa Roberta d'Artois. Piękne zadośćuczynienie, *post mortem*, dla Małgorzaty Burgundzkiej, wnuk przejmował włości człowieka, który spowodował jej śmierć. Hrabia de Beaumont! Młody pan Nawarry skakał z radości. W owym traktacie prawie nic nie ustępował; oddawał Pontoise, a także uroczyście zrzekał się Szampanii, co już było sprawą dokonaną od przeszło dwudziestu pięciu lat.

O zabójstwie Karola z Hiszpanii obowiązywało milczenie. Ani kary, nawet dla pozorów, ani odszkodowania. Wszyscy współwinowajcy spod „Czmychającej Świni”, którzy odtąd już nie wahali się wyjawiać swych imion, uzyskali wybaczenie winy i listy ułaskawiające.

Ach! ta uгода w Mantes nie przydała blasku postaci króla Jana. „Zabijają mu konetabla, a on oddaje połowę Normandii. Niechże mu zamordują brata czy syna, a on odda Francję.” Oto co ludzie pogadywali.

Mały król Nawarry niedołęgą się nie okazał. Mając Beaumont, a ponadto Mantes i Evreux, mógł odciąć Paryż od Bretanii. Posiadając Cotentin władał bezpośrednią drogą do Anglii.

Kiedy więc przybył do Paryża, aby uzyskać przebaczenie, wyglądało, że on go udziela.

Tak... co powiadasz, Brunet?... Och, ten deszcz! Firana mi przemokła... Dojeżdżamy do Bellac? Bardzo dobrze. Tu chociaż mamy zapewnione wygodne pomieszczenia i byłoby rzeczą nie do wybaczenia, gdyby nie czekała tu na nas znakomita biesiada. Z rozkazu księcia Walii angielski najazd oszczędził Bellac, ponieważ jest to wiano hrabiny Pembroke z domu Chatillon-Lusignan. Wielcy wojownicy świadczą takie uprzejmostki...

Kończę, bratanku, historię traktatu w Mantes. Król Nawarry pojawił się w Paryżu, jakby wygrał bitwę, a król Jan z okazji jego powitania przewodniczył na sesji Parlamentu. Obie królowe zasiadały u jego boku. Doradca prawny króla ukląkł przed nim... och! wszystko się odbyło wielce uroczście... „Wielce potężny Miłościwy Panie, Dostojne Panie królowe, Joanna i Blanka, usłyszawszy, że Dostojny Pan Nawarry popadł u was w niełaskę, błagają was o udzielenie mu przebaczenia...”

Po czym nowo mianowany konetabl Gautier de Brienne, diuk Aten... tak, kuzyn Raula z innej gałęzi rodu Brienne, tym razem nie wybrano młokosa... ujął Nawarczyka za rękę... „W imię przyjaźni do królowych, król wam przebacza z całego serca i w swej łaskawości...”

Na co kardynał de Boulogne był zobowiązany pełnym głosem dorzucić: „Niech nikt z rodu królewskiego odtąd nie waży się na nic podobnego, bo choćby synem był królewskim, zostanie mu wymierzona sprawiedliwość”.

Zaprawdę piękna sprawiedliwość, z której każdy śmiał się pod wąsem. I w obliczu całego dworu teść i zięć objęli się w uścisku. Jutro opowiem ci resztę.





## IX

### Zły w Awinionie

**P**owiem ci prawdę, bratanku, wolę dawne kościoły - jak ten w Dorat, któryśmy właśnie minęli - od kościołów budowanych w ciągu ostatnich stu pięćdziesięciu czy dwustu lat, arcydzieł z kamienia, ale gdzie panuje tak gęsty mrok, taka obfitość często przerażających ozdób, że człowiekowi serce ściska trwoga, jakby się nocą zagubił w leśnym gąszczu. Wiem, że gust mój nie cieszy się uznaniem, ale to mój własny i odeń nie odstąpię.

Może pochodzi on stąd, że wyrosłem w naszym starym zamku w Perigueux, zbudowanym na gruzach starożytnej rzymskiej budowli, tuż koło naszej kolegiaty Saint-Front, tuż przy kościele Świętego Stefana. Lubię odnajdywać przypominające mi je kształty, piękne, bez ozdób, równe kolumny i wysokie ładnie zaokrąglone sklepienia, pod którymi z łatwością rozprzestrzenia się światło.

W dawnych latach zakonnicy umieli budować świątynie, w których kamień wydaje się delikatnie złożony, takie mnóstwo słońca tam przenika, a śpiew, pod wysokim sklepieniem przedstawiającym niebo, wspaniale rozbrzmiewa i ulatuje niczym w raj u głosy anielskie.

Dzięki Bogu, chociaż Anglicy złupili Dorat, nie zdołali zniszczyć tego cudu nad cudami i nie trzeba go odbudowywać. Zaręczam, że inaczej naszym budowniczym z Północy spodobałoby się wznieść na ich sposób jakiś ciężki okręt oparty na kamiennych łapach niczym bestia z bajki. Wchodząc do takiego kościoła człowiek miałby prawo uwierzyć, że Dom Boży to przedsionek piekła. Zastąpiliby umieszczonego na szczycie iglicy anioła z pozłocistej miedzi, który swym imieniem obdarzył parafię... o tak *lou dorat*\* xxx... rogatym diabłem z wykrzywioną gębą.

Piekło... Dobroczyńca mój, Jan XXII, pierwszy mój papież, w piekło nie wierzył, a raczej głosił, że jest puste. Trochę za daleko się posunął. Gdyby ludzie nie lękali się piekła, czy można by od nich wyciągać datki i pokutne, czyli opłaty za odpuszczenie grzechów? Nie. Bez piekła Kościół mógłby zamknąć swój kramik. Był to kaprys wielkiego starca. Trzeba było na nim wymusić, by się go wyparł na łożu śmierci. Byłem przy tym...

Och! zaiste chłodem ciągnie, wyraźnie się czuje, że za dwa dni początek grudnia. Mokry ziąb - najgorszy.

Brunet! Aymarze Brunet, przyjacielu, czy nie ma na wózku z żywnością garnka z żarem, żeby go postawić w mojej kolebie? Futra już nie wystarczają, a jak dalej tak pójdzie, drżący kardynał wysiadzie w Saint-Benoit-du-Sault. Tam również - mówiono mi - Anglik poczynił spustoszenia... A jeśli w wózku kucharza nie ma zadosyć żaru, bo trzeba mi go więcej niż do zachowania w ciepłe potrawki mięsnej, niech ktoś poskoczy, by go nabrać w pierwszej napotkanej wiosce. Nie, nie potrzebuje

---

\* ów się złoci.

mistrza Vigier. Dajcie mu spokojnie jechać. Kiedy się przywołuje do koleby mego medyka, cała świta sobie wyobraża, że już konam. Czuję się doskonale. Trzeba mi żaru, to wszystko...

Więc chcesz się dowiedzieć, Archibaldzie, co nastąpiło po układzie w Mantes, o którym ci wczoraj opowiadałem... Uważnie słuchasz, bratanku, i przyjemnie jest cię pouczać o wszystkim, co mi wiadomo. Podejrzewam nawet, że zapisujesz co nieco, kiedy przybывamy na postój, czy tak?... Dobrze, trafnie oceniłem. Ci panowie z Północy chępią się, że są głępsi od osłów, jakby czytanie i pisanie było zajęciem stosownym tylko dla podrzędnego kleryka albo mnicha, który ślubował ubóstwo. Potrzebna im służba, by poznać treść byle liściku do nich pisanego. My, z południa królestwa, zawsze się ocieraliśmy o rzymską kulturę, my nie gardzimy wykształceniem. Co w wielu sprawach zapewnia nam przewagę.

A więc zapisujesz. To dobrze. Bo ja sam nie będę mógł pozostawić świadectwa o tym, co widziałem i dokonałem. Wszystkie moje listy i zapiski wedle obowiązującego zwyczaju są lub będą włączone do papieskich archiwów, by nigdy nie ujrzeć światła dziennego. Lecz ty będziesz żył, Archibaldzie, będziesz mógł choć o sprawach Francji powiedzieć, coś się dowiedział, i oddać sprawiedliwość mej pamięci, jeśli poniektórzy, jak niewątpliwie uczyniłby Capocci, pokuszą się na nią targnąć... Boże, racz mnie zachować na tym padole o dzień dłużej niż jego...

Niebawem więc po układzie w Mantes, w którym król Jan okazał się tak niewytłumaczalnie hojnym wobec zięcia, oskarżył on swych przedstawicieli - Roberta Le Coq, Roberta de Lorris, a nawet stryja własnej żony, kardynała de Boulogne, iż dali się przekupić Karolowi Złemu.

Mówiąc między nami, myślę, że nie minął się z prawdą. Robert Le Coq jest młodym biskupem, podżega go ambicja, celuje w intrygach, rozkoszuje się nimi i szybko spostrzegł, jaką korzyść może osiągnąć zbliżając się do Nawarczyka. Zresztą otwarcie przyłączył się do jego stronnictwa po swej kłótni z królem. Robert de Lorris, szambelan, na pewno jest przywiązany do swego pana, ale pochodzi z bankierskiej rodziny, gdzie nikt i nigdy się nie oprze, by nie pochwycić mimochodem kilku garści złota. Poznałem tego Lorrisa, gdy mniej więcej przed dziesięciu laty przybył do Awinionu, by prowadzić rokowania w sprawie pożyczki trzystu tysięcy dukatów udzielonej swego czasu papieżowi przez króla Filipa V. Z mej strony uczciwie się zadowolilem tysiącem dukatów za zetknięcie go z bankierami Klemensa VI, Raimondimi z Florencji i rodziną Mattei z Awinionu, ale on obficie skorzystał. Boulogne zaś, choć jest krewniakiem króla...

Pojmuję, iż jest oczywiste, że my, kardynałowie, słusznie jesteśmy wynagradzani za nasze wstawiennictwo na rzecz książąt. Inaczej nie moglibyśmy podolać wydatkom związanym ze stanowiskiem. Nigdy nie czynilem tajemnicy, a nawet się szczycę, że otrzymałem dwadzieścia dwa tysiące dukatów od mej siostry z Durazzo przed dwudziestu laty... już dwadzieścia lat!... za troskę o sprawy jej księstwa, wielce wówczas narzonego na niesławę. A w roku ubiegłym za dyspensę niezbędną do zawarcia małżeństwa przez Ludwika Sycylijskiego z Konstancją Awiniońską otrzymałem w podzięcie pięć tysięcy dukatów. Lecz

przyjmowałem wyłącznie od tych, co powierzali swą sprawę moim talentom czy wpływom. Człowiek wstępuje na nieuczciwą drogę, kiedy daje się przekupić przeciwnikowi. A jestem przekonany, że Boulogne nie oparł się tej pokusie. Odtąd przyjaźń między nim a królem Janem wielce ochłodziła.

Lorris po pewnym oddaleniu powrócił do łask, jak zawsze się dzieje z Lorrisami. W ostatni Wielki Piątek padł do nóg królowi, zapewniał o swej nieskazitelnej uczciwości i zrzucał wszelką dwulicowość czy uprzejmostki względem Karola na barki biskupa Le Coq, który z królem się poswarzył i został wygnany z dworu.

Wyprzeć się słów własnych przedstawicieli to rzecz korzystna. Można na tym oprzeć argumentację, by nie wykonano postanowień traktatu; czego król nie omieszkiał uczynić. Kiedy mu przedkładano, że mógł być ściślej kontrolować swych wysłanników i mniej oddać, niż to uczynił, zżymał się i odpowiadał: „Pertraktacje, dysputy, dowody to nie są sprawy rycerskie”. Zawsze udawał, że ma w pogardzie rokowania i dyplomację, co mu pomagało do wyparcia się zobowiązań.

W istocie tyle naobiecywał, gdyż liczył, że niczego nie dotrzyma.

Ale jednocześnie otaczał zięcia tysiącami pozorowanych uprzejmości, chciał bez ustanku widzieć go przy sobie na dworze i nie tylko jego, ale i młodszego brata Filipa, a nawet najmłodszego Ludwika, mocno nalegał, by go sprowadzić z Nawarry. Mienił się opiekunem trzech braci i nakazywał Delfinowi, by ich darzył przyjaźnią.

Na tak niezwykłą uprzejmość, tak niewiarygodną pieczołowitość Zły odpowiadał nie bez zarozumiałości, ważył się nawet powiedzieć królowi podczas uczty: „Przyznajcie, że oddałem wam dobrą usługę uwalniając was od Karola z Hiszpanii, który chciał wszechwładnie rządzić królestwem. Wprawdzie o tym nie mówicie, ale wam ulżyłem.” Wyobrażasz sobie, jak smakowały królowi podobne facecje.

Później, któregoś letniego dnia, kiedy Karol Nawarry zdażał wraz z braćmi na dworskie przyjęcie, podbiega do niego zdyszany kardynał de Boulogne i mówi: „Zawracajcie, wracajcie do domu, jeśli wam życie miłe. Król postanowił na przyjęciu zaraz was zabić, wszystkich trzech.”

Wiadomość nie była wyssana z palca ani oparta na czczych pogłoskach. Król Jan istotnie tak postanowił, i to tegoż ranka na Ścisłej Radzie, w której uczestniczył de Boulogne... „Czekałem, aby zebrali się trzej bracia, bo chcę ich wszystkich zgładzić, aby nie pozostał ani jeden męski potomek tego podłego rodu.”

Z mej strony wcale nie ganię kardynała, że uprzedził Nawarrów, jeśli nawet miało to potwierdzić, że się im zaprzedał. Bo kapłan Świętego Kościoła, a ponadto członek kurii papieskiej, brat w Chrystusie papieża... nie może z zimną krwią wysłuchiwać, że się szykuje potrójne morderstwo, i nie pokusić się, by mu zapobiec. Byłaby to pewnego rodzaju współwina spowodowana milczeniem. Po co więc król Jan mówił o tym w obecności kardynała? Wystarczyłoby nasłać siepaczy. Ale nie, miał się za przebiegłego. Ach, ten król, kiedy udaje lisa! Nigdy nie potrafił przewidzieć trzech posunięć na szachownicy. Niewątpliwie myślał, że gdy papież udzieli mu nagany za okrwawienie pałacu, będzie miał słuszną

podstawę, by odpowiedzieć: „Ależ wasz kardynał był przy tym i wcale mnie nie upomniał”. Boulogne nie jest ptaszkiem, który się ledwo wykluł i da zwabić w tak jawne sidła.

Karol Nawarry tym sposobem uprzedzony śpiesznie wrócił do swej siedziby, gdzie kazał przygotować poczet. Król Jan, nie widząc na przyjęciu trzech braci, wysłał do nich kategoryczny rozkaz, aby się stawili. Lecz wysłannikowi odpowiedziały tylko wiatry puszczone przez konie, bo akurat w tejże chwili Nawarowie zawrócili do Normandii.

Wówczas król Jan wpadł we wściekłość kryjąc swój zawód pod pozorem obrazy: „Patrzcie na tego niecnego synalka, na wiarołomcę, który odrzuca przyjaźń króla i własnowolnie odsuwa się od mego dworu! Musi taić nieczne zamiary”.

Posłużyło mu to za pretekst do zawieszenia postanowień traktatu w Mantes, do których wykonania wcale nie przystąpił.

Dowiedziawszy się o tym Karol odesłał brata Ludwika do Nawarry, brata Filipa do Cotentin, aby tam zebrał wojska, a i sam chwilki nie zabawił w Evreux.

Bo w tymże czasie Ojciec Święty, papież Innocenty postanowił rozpocząć naradę w Awinionie... trzecią, czwartą czy raczej wciąż tę samą na nowo zwoływaną... między wysłannikami królów Francji i Anglii, już nie w sprawie odnowy zawieszenia broni, lecz ostatecznego i trwałego pokoju. Innocenty chciał tym razem - tak powiadał - doprowadzić do szczęśliwego końca dzieło swego poprzednika i pochlebiał sobie, że odniesie triumf tam, gdzie Klemens VI zawiódł. Zarozumiałość, Archibaldzie, gnieździ się nawet w sercach kapłanów...

Poprzednim rokowaniem przewodniczył kardynał de Boulogne; Innocenty znów powierzył mu to stanowisko. Boulogne zawsze był człowiekiem podejrzanym - jak zresztą i ja - dla króla Edwarda, który uważał, iż zbyt mu leżą na sercu interesy Francji. Zaś po układzie w Mantes i ucieczce Karola Złego stał się również podejrzanym w oczach króla Jana. Może z tych powodów Boulogne prowadził obrady lepiej niż oczekiwano; nikogo nie musiał szczędzić. Niezle się dogadywał z biskupami Londynu i Norwiche, a zwłaszcza z diukiem Lancastrem, doświadczonym wodzem i prawdziwym panem. W odwodzie i ja dołożyłem ręki do dzieła. Mały Nawarczyk musiał zwęszyć...

Ach, oto żar! Brunet, wsuń mi garnek pod szaty. Czy chociaż dobrze przykryty, żebyśmy się nie poparzyli! Tak, w porządku...

Więc Karol Nawarry musiał zwęszyć, że zdążamy do zawarcia pokoju, co na pewno mu nie dogadzało, bo pewnego dnia w listopadzie... akurat przed dwoma laty... oto pojawia się w Awinionie, gdzie nikt go nie oczekiwał.

Przy tej sposobności zobaczyłem go po raz pierwszy. Miał dwadzieścia cztery lata, lecz wyglądał najwyżej na osiemnaście z powodu małego wzrostu, bo był bardzo krótki, dosłownie krótki, najniższy z królów Europy, ale tak foremny, tak prosty, zwinny i żwawy, że nikomu nie przyszło na myśl uważać to za defekt. Przy tym twarz ma uroczą, której wcale nie szpeci trochę za gruby nos, ma piękne oczy lisa, w kącikach już z siecią zmarszczek w kształcie gwiazdki na skutek psotliwości.

Powierzchnowość ma tak miłą, sposób bycia tak gładki a beztroski, przemawia tak swobodnie, potoczyście i zaskakująco, tak lubi prawie komplementy; tak łatwo przeskakuje od powagi do gawędy, od dykteryjek do spraw wielkiej wagi, wreszcie wydaje się tak skłonny okazywać ludziom przyjaźń, iż łatwo pojąć, że niewiasty zbytnio mu się nie opierają, a mężczyźni dają się owinać wokół palca. Zaprawdę nigdy nie spotkałem świetniejszego mówcy niż ten mały król. Słuchając go zapomina się, ile podłości kryje pod swym urokiem i że już jest dobrze wyćwiczony w fortelach, kłamstwie i zbrodni. Posiada bezpośredniość, która skłania, by wybaczając mu utajone ciemne strony jego charakteru.

Kiedy pojawił się w Awinionie, sprawa jego nie należała do najpomysłniejszych. Był rebeliantem w stosunku do króla Francji, który zajmował jego zamki, a króla Anglii mocno uraził podpisując układ w Mantes, nawet go o tym nie uprzedziwszy... „Oto człowiek, który mnie wzywa na pomoc i proponuje bezpieczny wstęp do Normandii. Wprawiam w ruch moje zastępy w Bretanii, inne przygotowuję do lądowania, a kiedy przy mym poparciu dostatecznie wzrósł w siły, by onieśmielić przeciwnika, pertraktuje z nim, nie raczywszy mnie o tym uprzedzić... Teraz niech się zwraca, do kogo mu się podoba, niech zwraca się do papieża...”

A więc Karol Nawarry zwrócił się właśnie do papieża. Po tygodniu wszystkich przeciągnął na swą stronę.

W obecności Ojca Świętego i kilkunastu kardynałów, i w mojej, przysięga, że niczego tak nie pragnie, jak pojednania z królem Francji. W słowa swe wkłada tyle serca, ile trzeba, by każdy mu uwierzył. Wobec wysłanników Jana II, kanclerza Piotra de La Fôret i diuka Bourbon, posuwa się jeszcze dalej, daje im do zrozumienia, że za cenę odzyskania dobrej przyjaźni z królem, mógłby zwołać w Nawarze wojska, aby zaatakować Anglików w Bretanii czy też na ich własnym wybrzeżu.

Lecz w dniach następnych, udając, że wraz ze świtą opuścił miasto, kilkakrotnie powraca nocą i po kryjomu, aby obradować z diukiem Lancastrem i angielskimi wysłannikami. Spotyka się potajemnie to u Piotra Bertranda, kardynała Arras, to u samego Guy de Boulogne. Wytykałem zresztą kardynałowi de Boulogne, że nieco zbyt jawnie siedział na dwu stołkach. Odpowiedział mi: „Chciałem wiedzieć, co tam oni knują. Używając mego domu mogłem nakazać moim szpiegom, żeby ich podsłuchali”.

Szpiedzy musieli być głusi jak pień, bo o niczym nie wiedział albo udawał, że nic nie wie. Jeżeli nie był w zмовie, oznacza to, że król Nawarry sprzątnął mu wszelkie wiadomości sprzed nosa.

Lecz ja wiedziałem. Czy chcesz się dowiedzieć, jak Nawarczyk zabrał się do pozyskania Lancastra? Ech! więc wprost mu zaproponował, że króla Anglii, Edwarda, uzna za króla Francji. Ni mniej, ni więcej. Nawet tak daleko posunęli się w swych knowaniach, że opracowali punkty ścisłego sojuszu.

Punkt pierwszy: Pan Nawarry uzna króla Edwarda za króla Francji. Punkt drugi: uzgadniają ze sobą, że wspólnie będą wojować przeciw królowi Janowi. Punkt trzeci: Edward przyzna Karolowi Nawarry księstwo Normandii, Szampanię, Brie, Chartres, a także namiestnictwo w

Langwedocji, a ponadto oczywiście jego królestwo Nawarrę oraz hrabstwo Evreux. Innymi słowy podzieli się Francją. Resztę pomijam.

W jaki sposób się dowiedziałem o tym zamiśle? Ach! mogę ci rzec, że zanotował go własną ręką biskup Londynu towarzyszący panu Lancastrowi. Lecz mię nie pytaj, kto mi go później wyjawiał. Przypomnij sobie, że jestem kanonikiem przy katedrze w Yorku i choć nie cieszę się łaską na dworze za kanałem La Manche, mam tam trochę znajomości.

Nie trzeba cię zapewniać, że jeśli pierwotnie były jakieś nadzieje, by posunąć się naprzód na drodze ku pokojowi między Anglią i Francją, to całkiem je rozwiał przyjazd tego ruchliwego małego króla.

Jakże posłowie mogliby pragnąć ugody, skoro każdą ze stron zachęciły do wojny obietnicami władcy Nawarry? Bourbonowi powiadał: „Rozmawiam z Lancastrem, lecz go okłamuję, żeby wam służyć”. Po czym szeptał Lancastrowi: „Oczywiście, spotkałem Bourbona, aby go zmylić. Jam wasz człowiek”. I godne podziwu, że obaj mu wierzyli.

Aż tak bardzo, iż kiedy wyjechał z Awinionu w Pireneje, obie strony, pilnie bacząc, by się nie zdradzić - myślały, że odjeżdża przyjaciel.

Obrady toczyły się wśród kwasów: nikt już niczego nie ustępował. A miasto odrętwiało. Przez trzy tygodnie zajmowało się wyłącznie Karolem Złym. Sam papież wprawiał w zdumienie, bo stał się zgryźliwy i postękiwał: złośliwy czarownik przez chwilę go był zabawiał...

Uf! nareszcie mi ciepło. Na ciebie kolej, bratanku, pociągnij ku sobie garnek z żarem i trochę się rozgrzej.







## X

### Zły rok

Słusznie powiadasz, Archibaldzie, powiadasz słusznie, to samo odczuwam. Ledwo dziesięć dni minęło od naszego wyjazdu z Perigueux, a wydaje się, że jedziemy cały miesiąc. Podróż wydłuża czas. Dziś wieczorem przenocujemy w Chateauroux. Wcale przed tobą nie ukrywam, iż się nie pogniewam, że jutro przyjedziemy do Bourges, jeśli Bóg pozwoli, i wypocznę tam choć ze trzy dni, a może i cztery. Już mnie trochę nużą te opactwa, gdzie podają nam nędzną strawę i marnie moszczą mi łoże, żeby udowodnić, w jaką biedę ich wtrąciła wojna. Niech ci przeorkowie nie sądzą, że każąc mi pościć i spać na wiatrem podszytym pośłaniu, uzyskają uwolnienie od opłat!... A później ludzie z poczty muszą również odpocząć, naprawić uprząż i wysuszyć odzież. Ten deszcz licha przyniosło. Słuchając kichania giermków koło pojazdu ręczę, że niejeden spędzi swój pobyt w Bourges na kurowaniu się cynamonem, goździkami i grzanyim winem. Ja zaś nie będę mógł marnować czasu: przejrzeć pocztę z Awinionu, podyktować listy w odpowiedzi...

Może cię zdumiewa, Archibaldzie, zniecierpliwiony sąd o Ojcu Świętym, jaki niekiedy mi się wymyka. Tak, jestem krewki, a moje rozczarowanie okazuję nieco nazbyt jawnie. Daje mi on bowiem twardy orzech do zgryzienia. Wierz, wcale sobie nie odmawiam wytykania mi głupstw, jakich się dopuścił. Niejeden raz zdarzyło mi się powiedzieć: „Oby łaska Boża, Ojciec Święty, raczyła was oświecić w materii wielkich błędów, któreście popełnili”.

Ach! gdybyż francuscy kardynałowie nagle tak się nie uparli przy myśli, że człowiek z takiego, jak nasz, rodu wcale się nie nadaje... pokora, trzeba się było urodzić w duchu pokory. Włoscy zaś kardynałowie, Capocci oraz inni, gdyby mniej się upierali przy powrocie Stolicy Apostolskiej do Rzymu... Rzym, Rzym! Widzą tylko swoje państwka w Italii; Kapitol przesłania im Boga.

Najbardziej mię drażni u naszego Innocentego polityka wobec Cesarza. Wspólnie z Piotrem Rogerem, chciałem powiedzieć: Klemensem VI, przez sześć lat dęba stawaliśmy, żeby Cesarz nie był koronowany. Niech go wybiorą, bardzo dobrze. Niech rządzi, i na to zgoda. Ale sakrę należało zachować w odwodzie, póki nie podpisze zobowiązań, które odeń pragniemy otrzymać. Nazbyt dobrze wiedziałem, jakich zmartwień nam przysporzy ten Cesarz nazajutrz po namaszczeniu.

Nasz Aubert wkłada tiarę i rozpoczyna o tym śpiewkę: „Pogódźmy się, pogódźmy”. A na wiosnę ubiegłego roku dopina swego. „Cesarz Karol IV będzie koronowany; tak nakazuję” - rzekł mi wreszcie. Papież Innocenty należy do władców, którzy zdobywają się na energię jedynie w ucieczce. Na pęczki liczymy takich ludzi. Wyobrażał sobie, że odniósł wielkie zwycięstwo, ponieważ Cesarz przyrzekł, że wkroczy do Rzymu dopiero

rankiem w dzień sakry, a wyjedzie tegoż wieczoru i nie zanoceje w mieście. Błahostka! Wysłał kardynała Bertranda de Colombiers... „Widzicie, wyznaczyłem Francuza, powinniście być radzi...” aby uwieńczył czoło Czecha koroną Karola Wielkiego. Po sześciu miesiącach Karol IV obdarza nas *Złotą Bullą*, która sprawia, że odtąd papieżstwo nie ma już głosu w materii cesarskiej elekcji.

Odtąd Cesarz swym tytułem wyróżnia się jedynie spośród siedmiu niemieckich elektorów, którzy ustanowią związek państw... innymi słowy na stałe utrwała piękną anarchię. Tymczasem żadnych postanowień w sprawie Italii; nikt nie wie ani kto, ani jak będzie tam rządził. Najważniejsze w tej bulli, a czego Innocenty nie dostrzegł, jest to, że oddziela ona doczesne od wiecznego i uświęca niezależność narodów w stosunku do papieżstwa. To kres, unicestwienie zasady wszechświatowej monarchii pod władzą następcy świętego Piotra rządzącego w imieniu Wszechmocnego Pana. Odsyła się Boga do nieba, a na ziemi robi, co się żywnie podoba. Nazywa się to „nowoczesnym duchem” i tym przechwala. Ja to nazywam, wybacz bratanku, łajnem na oczach.

Nie ma ducha starych ani nowych czasów, jest po prostu duch, a po drugiej stronie głupota. Co robi nasz papież? Czy grzmi, piorunuje, wyklina? Gdzie tam! wysłał do Cesarza pismo pełne słodkich i przyjaznych słówek oraz błogosławieństw... O, nie! O, nie! Ja w tym palców nie maczałem. Ale to ja będę musiał na sejmie w Metz wysłuchać uroczystego ogłoszenia owej bulli, która zaprzecza Stolicy Apostolskiej władzy najwyższej i Europie zapewne przyniesie jedynie zamieszki, zamęt i nędzę.

Smakowitą żabę muszę przełknąć i w dodatku bez sprzeciwu; teraz bowiem, kiedy Niemcy się od nas odsunęły, winniśmy usilniej niż kiedykolwiek zdążyć do uratowania Francji, inaczej Bogu nic nie pozostanie. Ach! przyszłe pokolenia chyba przeklinać będą ten rok 1355! Jeszcze nie dokończyliśmy zbioru owych kolczastych owoców.

Co się działo w tym czasie z Nawarczykiem? A więc przebywał w Nawarze zachwycony wiadomością, że do waśni i zamieszania, jakich nam przysporzył, dołączyły się kłopoty związane z cesarstwem.

W pierwszym rządzie oczekiwał powrotu swego Wróbla z Fricamps, który wraz z diukiem Lancastrem wyjechał do Anglii i lada dzień miał wrócić z szambelanem króla Edwarda, ów miał wyrazić poglądy monarchy na projekt traktatu naszkicowanego w Awinionie. Następnie szambelan miał powrócić do Londynu, tym razem w towarzystwie Colina Doublela, jeszcze jednego spośród morderców Karola z Hiszpanii i giermka Karola Złego, oraz przedłożyć komentarze swego władcy.

Karol Nawarry jest zupełnym przeciwieństwem króla Jana. Lepiej niż notariusz potrafi rozprawiać o każdym artykule, każdym punkcie, każdym przecinku układu. I przypomnieć to, i przewidzieć owo; oprzeć się na obowiązującym prawie zwyczajowym, a zawsze usiłuje uszczuplić swoje zobowiązania i powiększyć je u strony przeciwnej... Następnie, nie śpiesząc się z pieczeniem chleba u Anglika, zyskiwał na czasie, aby nadzorować swój wypiek w piecu francuskim.

Nastąpił akurat czas, by król Jan przystosował się do powstałych

okoliczności. Ale ten człowiek lubi zawsze działać nie w porę. W swej fanfaronadzie gotuje się do wojny i ścigania nieobecnego. Rusza na Caen. Każe zająć wszystkie normandzkie zamki zięcia oprócz Evreux. Piękna wyprawa w braku nieprzyjaciela przeistacza się w wyprawę obżartuchów, wprawiając Normandczyków w niezadowolenie na widok królewskich łuczników, którzy ogałacają ich spizarnie i beczki z solonym mięsiwem.

Tymczasem Nawarczyk spokojnie gromadzi wojsko w swojej Nawarze, podczas gdy jego szwagier, hrabia de Foix, Febus... któregoś dnia opowiem ci o nim, bo to pan nie byle jaki... wypuszcza się, by co nieco pograsować w hrabstwie Armagnac i wyrządzić tym samym szkody królowi Francji.

Nasz młody Karol doczekawszy się lata, pewnego sierpniowego dnia ląduje w Cherbourgu na czele dwóch tysięcy żołnierzy.

Jan II zaś jest zaskoczony wieścią, że w tymże czasie księżę Walii, mianowany w kwietniu księciem Akwitanii, a w Gujennie namiestnikiem króla Anglii, zabrawszy na swe nawy pięć tysięcy wojska, płynie na pełnych żaglach do Bordeaux. Co więcej, musiał czekać na pomyślnę wiatry. Zaiste można rzec, iż świetnie się spisał wywiad króla Jana! My w Awinionie wiedzieliśmy, że na morzu szykuje się ten wspaniały krzyżowy manewr, by Francję ująć w kleszcze. Zapowiadano nawet przybycie samego króla Edwarda, który już znalazłby się w Jersey, gdyby burza nie zmusiła go do zawrócenia ku Portsmouth. Powiedziałyby się, że jedynie wiatr, a nie kto inny, w ubiegłym roku uratował Francję.

Król Jan, nie mogąc potykać się na trzech frontach, postanowił nie walczyć na żadnym. Znow udaje się do Caen, lecz tym razem na pertraktacje. Zabiera ze sobą dwóch kuzynów Bourbonów, Piotra i Jakuba, a także Roberta de Lorris, który - jak ci wczoraj opowiedziałem - powrócił do łask. Ale Karol Nawarry nie przybył. Wysłał na negocjacje dwóch oddanych mu wielmożów, panów de Lor i de Couillarville. Królowi Janowi nie pozostało nic innego, jak również być nieobecnym. Pozostawił więc obu Bourbonów, polecając, by pośpieszyli z pojednaniem.

10 września w Valognes zawarto układ. Karol Nawarry odzyskał wszystko, co mu przyznał traktat w Mantes, a nawet nieco więcej. Po dwóch tygodniach w Luwrze nowe uroczyste pojednanie teścia z zięciem, oczywiście w obecności królowych wdów, Pani Joanny i Pani Blanki... „Miłościwy Panie kuzynie, stawił się nasz bratanek i brat, w imię miłości do nas prosimy was...” I znow rozwarte ramiona z ochotą, i znow pocałunki w oba policzki, by się ugryźć, i znow wybaczenie i przysięgi dochowania wiernej przyjaźni...

Ach! nie wspominałem o sprawie niemałej wagi. Król Jan jako eskortę honorową wysłał na spotkanie z królem Nawarry własnego syna, Delfina Karola, którego uprzednio mianował generalnym namiestnikiem w Normandii. Od Vaudreuil nad Eure, gdzie obaj szwagrowie w pierw przebywali cztery dni, aż do Paryża odbyli więc podróż wspólną. Po raz pierwszy tak długo i nieprzerwanie byli razem, cwałowali strzemię w strzemię, gawędzili, próżnowali, jadali i spali obok siebie. Dostojny Delfin jest całkowitym przeciwieństwem Nawarczyka, równie długi, jak tamten krótki, równie powolny, jak ów żwawy, równie powściągliwy w słowach, jak ów rozmowny, a przy tym o sześć lat młodszy i bez krzty bystrości.

Ponadto Delfina trapi dolegliwość, która wygląda na kalectwo, prawa ręka mu puchnie i ledwie podniesie jakiś cięższy przedmiot lub go mocniej ściśnie, staje się fioletowa. Nie może unieść miecza. Rodzice za wcześnie go poczęli, akurat w czasie rekonwalescencji po chorobie; odbiło się to na dziecku.

Ale z tego nie należy wnioskować, jak pochopnie mówią ludzie, począwszy od samego króla Jana, że Delfin jest durniem i będzie kiepskim królem. Dokładnie zbadałem jego horoskop... 21 stycznia 1338 roku... Słońce znajduje się jeszcze w Koziorożcu tuż przed wejściem w znak Wodnika... Urodzeni w Koziorożcu późno osiągają szczyty, lecz je osiągają, jeśli dopisuje im świątły umysł. Zimowe rośliny wolno rosną... Jestem gotów stawiać raczej na tego księcia niż na wielu innych o korzystniejszej aparycji. Jeśli pokona wielkie niebezpieczeństwa grożące mu w obecnym czasie... niektóre już przezwyciężył, lecz najgorsze go jeszcze czeka... potrafi rządząc, narzucić swą wolę. Ale trzeba przyznać, że powierzchowność nie przemawia wcale na jego korzyść...

Ach! oto wiatr zacina teraz deszczem. Archibaldzie, proszę, rozwiąż jedwabne sznury przytrzymujące zasłony. Milej gawędzić w mroku niż moknąć. Poza tym nie tak głośno będzie do nas dochodzić ten chlupot spod kopyt koni, który w końcu by nas ogłuszył. Powiedz także dziś wieczór Brunetowi, niech każe podłożyć pod malowane płótno na mojej kolebie płótno nawoskowane. Wiem, że koniom będzie trochę ciężiej. Będziemy je częściej zmieniać...

Tak, mówiłem ci, że dokładnie sobie wyobrażam, jak Pan Nawarry podczas jazdy z Vaudreuil do Paryża... Vaudreuil znajduje się w jednej z najpiękniejszych okolic Normandii; król Jan chciał tam założyć jedną ze swych rezydencji; podobno prawdziwe cuda tam pozamawiał; wprowadzie ich nie widziałem, ale wiem, że grubo kosztowały Skarb; na ścianach widnieją freski malowane czystym złotem... wyobrażam sobie, jakich starań dokładał Pan Karol Nawarry, aby urzec Karola Francuskiego, jak posługiwał się swoją fanfaronadą i umiejętnością zapewniania o przyjaźni. Młodzi chętnie biorą kogoś za wzór... A dla Delfina ten starszy o sześć lat, tak miły towarzysz, który już tyle się napodróżował, tyle widział, tyle działał i zabawiał go pokpiwając z dworskich dostojników... „Wasz ojciec, nasz Miłościwy Pan na pewno odmalował mnie całkiem innym, aniżeli jestem w istocie... Bądźmy sojusznikami, bądźmy przyjaciółmi, bądźmy prawdziwymi braćmi, jakimi jesteśmy od urodzenia...” Delfin z łatwością dał się zjednać, rad, że tak go docenia krewniak bardziej niż on doświadczony, już władający królestwem, a przy tym tak serdeczny.

Zbliżenie to nie pozostało bez następstw i przyczyniło się w przyszłości do mnóstwa starć i nieporozumień.

Ale słyszę, że świta rozluźnia szeregi gotując się do defilady. Odsuń trochę tę zasłonę... Tak, widzę już przedmieścia. Wjeżdżamy do Chateauroux. Niewiele osób nas tu powita. Trzeba być bardzo gorliwym chrześcijaninem albo niezwykle ciekawskim, żeby moknąć na tej mżawce, jedynie by zobaczyć przejazd koleby kardynała.





## XI

### Królestwo się rozprzega

Te drogi w Berry nigdy nie miały dobrej sławy. Widzę, że i wojna ich nie poprawiła... Hejże! Brunet, La Rue! Na litość boską, zwolnijcie tempo. Wiem, że każdemu śpieszno przybyć do Bourges. Ale to jeszcze nie powód, żebym miał w tej skrzyni poobijane boki. Stój, no stójcież! Niech stanie czoło pocztu. Już dobrze... Nie, to wcale nie wina moich koni. To wasza wina, popędzacie wierzchowce, jakby pakuły gorzały wam w siodłach... A teraz jazda i baczcie, proszę was, żebyście mnie wieźli godnie, jak przystoi wieźć kardynała. Inaczej nakażę wam wyrównywać koleiny przed pojazdem.

Te wstrętne diabły połamałyby mi kości, byle tylko pójść spać o godzinę wcześniej! No, wreszcie przestało padać... Spójrz, Archibaldzie, znowu spalona wioska. Anglicy zapuścili się aż na przedmieścia Bourges, które podpalili, a nawet podeszli oddziałem pod mury Nevers.

Zrozum, wcale nie mam żalu do walijskich łuczników, irlandzkich siepaczy oraz innego żołdactwa pędzonego do tej roboty na rozkaz księcia Walii. To biedacy, których olśniono nadzieją bogactwa. Są biedni, głupi, a obchodzą się z nimi twardo. Wojna dla nich to grabież, obżarstwo i niszczenie. Widzą, że na ich widok wieśniacy, objuczeni dziećmi, uciekają i wrzeszczą: „Anglicy, Anglicy. Boże ratuj!” Chłopom się podoba straszyć innych chłopów! Czują się silni. Co dzień, zżerają drób i tłuste wieprzki; dziurawią wszystkie baryłki, żeby ugasić swe pragnienie, a czego nie zdołają wypić lub zjeść, to przed odjazdem niszczą. Schwytawszy konie na swój odwód, wyrzynają wszystko, co ryczy albo beczy przy drodze i w oborach. A później o pijanych pyskach zasmolonymi łapami rzucają ze śmiechem pochodnie na wszystko, co może spłonąć. Ej, wielka to radość, nieprawdaż, dla tej armii żołdaków i chamów wykonywać takie rozkazy. Przypominają łobuziaków, których zachęca się do łobuzerstwa.

A nawet nie żywię żalu do angielskich rycerzy. Przecież przebywają poza własnym krajem; ściągnięto ich na wojnę. Sam Czarny Książę służy im za wzór łupiestwa, każąc przynosić sobie najpiękniejsze wyroby ze złota, kości słoniowej i srebra, najpiękniejsze tkaniny, aby je ładować na własne wozy albo suto nimi obdarowywać dowódców. Obdzierać niewinnych, aby obsypywać darami przyjaciół, patrzcie, na tym polega wielkość tego człowieka.

Ale pragnę, żeby zginęli podłą śmiercią i smażyli się w wiecznym ogniu... tak, tak, choć jestem dobrym chrześcijaninem... ci wszyscy rycerze gaskońscy, akwitańscy poitewińscy, a nawet niektórzy nasi pankowie z Perigord, którzy wolą iść za angielskim diukiem, miast własnym francuskim królem, i z zamiłowania do grabieży lub powodowani podłą pychą czy sąsiedzką zawiścią albo chcąc zapobiec niecnym własnym procesom, pustoszą rodzoną ziemię. O nie! proszę Boga, aby im nie

przebaczył.

Mają tylko na swoje usprawiedliwienie głupotę króla Jana, który nie dowiedział, że jest zdolny ich bronić. Zawsze zbyt późno zwołuje chorągwie i wysyła prosto tam, gdzie nie ma już wroga. Ach! to wielka klęska, iż Bóg dopuścił do narodzin księcia tak miernego.

Dlaczego przystał na traktat w Valognes, o którym ci wczoraj mówiłem, dlaczego wymienił z zięciem ponowny głośny i judaszowy pocałunek? Ponieważ lękał się wojsk księcia Edwarda Angielskiego żeglujących do Bordeaux. Zwykły rozsądek nakazywał, aby mając wolne ręce w Normandii, pognął na Akwitanie. Nie potrzeba być kardynałem, aby wpaść na ten pomysł. Ale nic z tego. Nasz król od parady, jakież żałosny, wydaje gromkie rozkazy w błahych sprawach. Dopuszcza, by książę Walii wylądował w Gujennie i odbył triumfalny wjazd do Bordeaux. Z raportów szpiegów i podróźnych przecie wie, że książę ściąga swe zastępy, powiększa je o tych wszystkich Gaskończyków i Poitewińczyków, o których ci przed chwilą mówiłem, w jakiej ich mam estymie. Wszystko wskazuje, że gotuje się walna wyprawa. Inny spadłby jak orzeł, by bronić swego królestwa i poddanych. Ale ten wzór rycerstwa ani drgnie.

Trzeba przyznać, że w końcu września ubiegłego roku miał większe niż zazwyczaj kłopoty finansowe. I akurat wtedy, kiedy książę Edward szykuje swe wojsko, król Jan ze swej strony ogłasza, że zawiesza na sześć miesięcy spłatę swych długów i wstrzymuje dowódcom wypłatę żołdu.

Kiedy któremuś z królów doskwiera pustka w trzosie, często wypuszcza swych rycerzy na wojnę... „Zwyciężajcie, a bogaczami będziecie! Gromadźcie łup, bierzcie okupy...” Król Jan wołał jeszcze zubożec dopuszczając, by Anglik do woli rujnował południe królestwa.

Ach! wyprawa była łatwa i pomyślna dla księcia Anglii! Wystarczył jeden miesiąc, a zawiódł swe wojska znad brzegów Garonny aż do Narbonne i nad morze; spodobało mu się wprawić w trwogę Tuluzę, spalić Carcassonne, spustoszyć Beziers. Pozostawiał za sobą długą smugę przerażenia i tanim kosztem zdobył wielki rozgłos.

Jego sztuka wojowania jest prosta, w tym roku nasze Perigord ją poznało: atakuje to, czego się nie broni. Wysyła zwiad dość daleko, aby zbadał drogę i rozpoznał gródki czy zamki, które będą stawiać mocny opór. Te okraża. Na pozostałe rzuca silne oddziały, rycerzy i zbrojnych, a ci wpadają do miasteczek z wrzawą, jakby świat się kończył, rozpędzają mieszkańców, miażdżą o mury tych, co nie zdążyli uciec, przekuwają i walą na ziemię każdego, kto się nawinie pod ich włócznie czy buławy; po czym grupkami zdążają do wiosek, zamków czy sąsiednich klasztorów.

Po nich przychodzą łucznicy, porywają żywność potrzebną dla oddziałów i opróżniają domy, zanim podłożą ogień; po czym ciury ładują łupy na wózki i kończą całopalenie.

Wszyscy piją na umór, posuwają się trzy do pięciu mil dziennie, lecz strach, jaki szerzy ta armia, daleko ją wyprzedza.

Cel Czarnego Księcia? Już ci mówiłem: osłabić króla Francji. Należy przyznać, że swego dopiął.

Wielkie korzyści mają mieszkańcy Bordeaux i właściciele winnic i nic dziwnego, że się zadurzyli w ich angielskim diuku. W ostatnich latach

zaznali tylko szeregu nieszczęść: zniszczenia wojenne, stratowane w bitwach winnice, niepewne drogi, sprzedaż towarów za bezcen, po czym dołączyła się zaraza, która zmusiła do wyburzenia całej dzielnicy w Bordeaux, żeby uzdrowić miasto. A teraz wojenne klęski spadają na innych, a więc z nich pokpiwają: przyszła kryska na Matyska, nieprawdaż?

Wnet po wylądowaniu książę Walii kazał bić monety i puszczać w obieg piękne złote liwry z wybitymi na nich lilią i lwem czy leopardem, jak mawiają Anglicy... grubsze i cięższe niż pieniądz francuski z wizerunkiem baranka. „Lew pożarł jagnię” - ludzie żartem mawiają. Winnice rodzą obficie. Prowincja jest ochroniona! Port ma wielkie obroty, w ciągu kilku miesięcy odpłynęło dwadzieścia tysięcy beczek wina, prawie wszystkie do Anglii. Przeto od ubiegłej zimy mieszczenie z Bordeaux mają miny rozradowane, a brzuchy tak pękate jak ich baryłki. Niewiasty tłoczą się przy suknoch, złocie i klejnotach. Miasto wciąż świętuje i wita publicznymi zabawami każdy powrót księcia w czarnej zbroi, którą sobie upodobał i od niej pochodzi jego przydomek. Wszystkie mieszcanki w nim się podkochują. Żołnierze wzbogaceni łupem trwonią pieniądze. Dowódcy z Walii i Kornwalii sztywno dzierżą swe sztandary, namnożyło się rogowy w Bordeaux w tym czasie, bo zasobność nie skłania do cnoty.

Rzekłbyś, że od roku Francja ma dwie stolice, co jest rzeczą najgorszą, jaka się może przydarzyć królestwu. W Bordeaux bogactwo i potęga, w Paryżu bieda i słabość. Czego chcesz? Od początku panowania paryski pieniądz osiemdziesiąt razy tracił na wartości. Tak, Archibaldzie, osiemdziesiąt razy! Liwr turneński wart jest jedną dziesiątą tego, co przy wstąpieniu króla na tron. Jakże rządzić państwem przy takich finansach? Kiedy dopuszcza się, by ceny na towary rosły niepomiernie, a jednocześnie moneta stawała się coraz lichsza, należy oczekiwać wielkich zamieszek i wielkich niepowodzeń. Niepowodzeń Francja już doświadczyła, a w okres zamieszek wkracza.

Co więc podczas ostatniej zimy robi nasz tak przebiegły król, aby zażegnać niebezpieczeństwa, które każdy dostrzega? Nie mogąc po wyprawie Anglików uzyskać pomocy z Langwedocji, zwołuje Stany Generalne Północnego Dialektu. Obrady zgromadzenia nie spełniły jego nadziei.

Deputowani niechętnie się zgodzili zaakceptować dekrety o wyjątkowym, ciężkim podatku obrotowym ośmiu denarów od liwra, co bardzo obciąża całe rzemiosło i handel, a także o podatku wyjątkowym od soli, w zamian zaś wysunęli daleko posunięte żądania. Domagali się, aby daniny ściągali specjaliści, przez nich wybrani poborcy; aby pieniądze z tych podatków nie wpływały ani do kasy króla, ani do podległych mu urzędników; gdyby zaś wybuchła nowa wojna, żadna danina, żaden podatek nie będą ustanowione, póki go oni nie uchwalą... cóż jeszcze? Deputowani Trzeciego Stanu przypuścili gwałtowny atak. Wysuwali przykłady gmin flamandzkich, gdzie mieszczaństwo samo się rządzi, czy też parlamentu angielskiego, który ma większy wpływ na króla niż we Francji. „Postępujmy jak Anglicy, im się to udało.” Wada Francuzów, kiedy się znajdują w trudnej sytuacji politycznej, polega na tym, że szukają obcych wzorów, miast stosować skrupulatnie i dokładnie własne prawa...

Nie dziwny się więc, że nowe obrady zgromadzenia, którego zwołanie Delfin musiał przyśpieszyć, przybrały obrót niepomyślny, o czym ci już kiedyś mówiłem... Prewot Marcel wyćwiczył już sobie gardło w ubiegłym roku. Czy nie tobie wspominałem? Ach nie! w istocie to było w rozmowie z dom Calvo... Nie zapraszałem go do mojej koleby, odkąd w niej choruje...

Pytasz, co się działo w tym czasie z Nawarczykiem? Nawarczyk usiłował przekonać króla Edwarda, że go nie wykiwał, zgadzając się na pertraktacje z królem Janem II w Valognes, że wciąż żywi ku Edwardowi te same uczucia, że tylko udawał, iż się godzi z królem Francji, aby tym skuteczniej służyć wspólnym celom, że niebawem nadejdzie czas, kiedy tego dowiedzie. Innymi słowy szykował się do zdrady.

Tymczasem na wszelki sposób pracował nad umocnieniem swej przyjaźni z Delfinem, a więc za pomocą pochlebstw, chwały i uciech, a nawet przy pomocy kobiet, bo słyszałem o tych pannach, między innymi Wdzięcznisi, którą ci kiedyś wymieniłem, a także niejkiej Bietce Cassinel. Obie były bardzo oddane królowi Nawarry i wносиły wiele werwy w wesołe spotkania obu szwagierków. Po czym Nawarczyk, uzyskawszy względy Delfina i stawszy się jego mistrzem w grzechu, jął podstępnie judzić go przeciw ojcu.

Przedkładał, że król Jan wcale go nie miłuje, choć Delfin jest jego pierworodnym. Było to prawdą. Że jest marnym królem. To również prawda. Że mimo wszystko byłoby zbożnym dziełem dopomóc Bogu i strącić króla z tronu nie uciekając się zresztą do skrócenia mu dni. „Byłbyś, bracie, lepszym niż on królem. Nie czekaj, aż ci pozostawi królestwo w gruzach.” Każdy młokos poleci na lep takich słówek. „Zapewniam cię, że my obaj możemy tego dokonać. Trzeba tylko zdobyć poparcie europejskich dworów.” I jął roić, że pojedą do Cesarza Karola IV, Delfinowego wuja, by szukać u niego pomocy i prosić o wojska. Ni mniej, ni więcej. Kto wpadł na ten piękny pomysł, by wzywać cudzoziemca, aby kierował sprawami królestwa, aby Cesarz opiekował się losem Francji, skoro już i tak twardy orzech daje do zgryzienia papiestwu? Może biskup Le Coq, ten niecny prałat, którego Nawarczyk wprowadził do otoczenia Delfina. W każdym razie projekt dokładnie opracowano i już wprowadzono w życie...

Co? Dlaczego przystajemy bez mego polecenia? Ach! wozy ładowne tarasują drogę. To oznacza, że wjeżdżamy na przedmieścia. Każcie usunąć. Nie lubię tych nieprzewidzianych postojów. Nigdy nie wiadomo... Jeśli się taki przydarzy, niech eskorta zewrze szeregi wokół mego pojazdu. Włóczy się zuchwałe żołdactwo, którego wcale nie przeraża świętokradztwo, a kardynał byłby dla niego dobrą gratką...

W tajemnicy zapadło postanowienie o podróży obu Karolów, tego z Francji i tego z Nawarry. Teraz wiadomo nawet, kto miał należeć do eskorty i zawieść ich do Metz: hrabia z Namur, grubas hrabia Jan d'Harcourt, którego miało spotkać nieszczęście, o czym ci później opowiem, a także jeden z panów de Boulogne, Gotfryd i Gaucher de Lor i oczywiście panowie de Graille, de Cleres i d'Aunay, Maubue de Mainemares, Colin Doublel i nieodzowny Wróbelek z Fricamps, czyli spiskowcy spod „Czmychającej Świni”. A również rzecz warta uwagi, bo



myślę, że to oni dali pieniądze na wyprawę, Jan i Wilhelm Marcelowie, dwaj bratankowie prewota, zaprzyjaźnieni z królem Nawarry, który ich zapraszał na swoje birbantki. Spiskowanie z królem zawsze olśniewa młodych i zamożnych mieszczan!

Wyjazd przewidziano na świętego Ambrożego o zmierzchu. Przy rogatec Saint-Cloud trzydziestu Nawarczyków miało oczekiwać Delfina i zawieść go do kuzyna w Mantes; a stamtąd cała ta piękna kompania miała ruszyć do Cesarstwa.

Potem zaś, a potem... nie może wszystko działać się na przekór człowiekowi prześladowanemu przez los, a nawet najgłupszy król nie potrafi wciąż pudłować. W wilię świętego Mikołaja nasz Jan II zwęszył sprawę. Wzywa syna, chytrze go wypytuje, a Delfin, ujawniając mu plan, nagle sobie uprzytamnia, że sprowadza się na manowce nie tylko jego sprawy, ale i królestwa.

Król Jan, muszę przyznać, zachował się w tej sytuacji sprytniej niż zazwyczaj, zarzuca jedynie synowi, że chciał bez jego zezwolenia opuścić królestwo, i okazując wdzięczność za szczere wyznanie, wybacza mu i odpuszcza winę. Przekonując się, że jego następcą ma własne poglądy, oświadcza, że chcąc go ściślej związać z rządami w królestwie, mianuje go diukiem Normandii. Bez wątpienia przekazanie Delfinowi księstwa przepelnionego zwolennikami braci z Evreux-Nawarry oznaczało wysłanie go w potrzask. Lecz było to sprytnie zagrane.

Dostojnemu Delfinowi pozostało zawiadomić Karola Złego, że zwraca słowo wszystkim konspiratorom.

Domyślasz się, że ta heca nie wzmogła miłości ojca do syna, jeśli nawet osłonił swe rozczarowanie świetnym darem Normandii. Lecz przede wszystkim nienawiść króla do zięcia jęła się wznawiać i twardnieć niczym ciasto sześć razy wsadzone do pieca. Zabójstwo konetabla, sianie zamieszek, lądowanie wojska, konszachty z wrogimi Anglikami... a jeszcze nie wiedział, do jakiego stopnia posunięte... wreszcie judzenie przeciw niemu syna, to już za wiele; król Jan czekał tylko na odpowiednią okazję, by zmusić Nawarczyka do zapłaty za te przewinienia.

My, przyglądając się tym sprawom z odległości Awinionu, widzieliśmy, że zbliża się katastrofa, i niepokój nasz rósł. Całe połacie kraju oderwane, inne spustoszone, deprecjacja pieniądza, rosnące długi, pustki w Skarbie, deputowani pełni wyrzutów i bezczelni, wielcy wasale uparcie trzymający się swych racji, król omotany przez osobistych doradców, a na dobitkę następcą tronu gotów szukać obcej pomocy na zgubę własnej dynastii... Powiedziałem papieżowi: „Wasza Świątobliwość, Francja się rozpada”. Nie byłem w błędzie. Pomyliłem się tylko co do czasu.

Obliczałem, że za dwa lata nastąpi załamanie. Nawet nie trzeba było roku. A jeszcze nie widzieliśmy najgorszego. Czegóż chcesz? Jeśli brak tęgiej głowy, czy tężyzna może gościć w ciele? A teraz musimy próbować za wszelką cenę sklejać kawałki i dlatego trzeba nam uciekać się do usług Niemiec i podnieść autorytet tego właśnie Cesarza, którego zuchwałość pragnęliśmy raczej poskromić. Przyznaj, że jest powód, by kłąć!

Teraz, Archibaldzie, idź i dosiądź konia, wyjedź na czoło świty. Chcę, aby przy wjeździe do Bourges, choć późna już godzina, widniał twój

proorzec z Perigord obok chorągwi Stolicy Apostolskiej. I rozsuń zasłony  
w pojeździe, abym mógł błogosławić.





## CZĘŚĆ DRUGA

# Uczta w Rouen



### I

## Dyspensy i beneficja

**O**ch! ten wielebny biskup Bourges w czasie trzech dni naszego pobytu w jego pałacu wielce mi rozjątrzył humory. Jakaż kłopotliwa i prawdziwie żebracza gościnność tego prałata! Coraz pociąga was za szaty, żeby coś wyżebrać. A iluż ten człowiek ma protegowanych i podopiecznych, którym Bóg wie co naobiecywał, a później wam ich podrzuca: „Czy mogę przedstawić Waszej Wielebnej Eminencji tego kleryka wielkich zasług... Czy Wasza Wielebna Eminencja zechciałby spojrzeć życzliwym okiem na kanonika nie wiedzieć skąd... Śmiem polecić względem Waszej Wielebnej Eminencji...” Wczoraj wieczorem zaprawdę ledwie strzymał, aby mu nie rzucić: „Weź na przeczyszczenie biskupie i zechciej się... tak, a odczep się od mojej Wielebnej Eminencji”.

Zaprosiłem was dziś rano, Calvo... mam nadzieję, że już zaczynacie lepiej znosić kolebanie mego pojazdu, zresztą będę się streszczał... żebyśmy bardzo dokładnie zestawili wszystkie dyspensy, jakich mu udzieliłem, i nic ponadto. Bo teraz, kiedy z nami jedzie, nie omieszka was nagabywać o rzekome zezwolenia, jakich ponoć udzieliłem w odpowiedzi na jego supliki. Już mi powiedział: „Nie będę nużyć Waszej Przewielebnej Eminencji dyspensami mniejszej wagi, przedłożę je panu Francesco Calvo, mężowi zaiste wielkiej wiedzy, lub panu de Bousquet...” Hejże! nie po to ze sobą zabrałem papieskiego audytora, dwóch doktorów, dwóch magistrów praw oraz czterech starszych giermków, aby zmasać nieślubne pochodzenie wszystkich księzowskich synów, którzy w tej diecezji odprawiają msze albo posiadają tu beneficja. Zresztą prawdziwy cud, że po tylu dyspensach udzielonych przez mego świątobliwego protektora, papieża Jana XXII - niemal pięciu tysiącach, w tym przeszło połowa proboszczowskim bastardom, oczywiście za opłatą penitencjarną, co wielce się przyczyniło do zasilenia skarbcza Stolicy Apostolskiej - jeszcze dzisiaj mamy tylu tonsuratów, będących owocem grzechu.

Jako legat papieski mocen jestem udzielić podczas mej misji dziesięciu dyspens, nie więcej. Dwie scedowałem biskupowi Bourges, i to już za

wiele. Mam prawo udzielenia dwudziestu pięciu za usługi notarialne oraz klerykom, którzy mi oddadzą osobiste usługi, ale nie ludziom, których imiona wśliznęły się do papierów biskupa Bourges. Dajcie mu jedną wybierając najgłupszego i najmniej zasłużonego, aby mu przyczynił li tylko kłopotów. Jeśli to wzbudzi zdziwienie, odpowiedzcie: „Wielebny biskup umyślnie mi go polecił...” Natomiast nie nadamy żadnych beneficjów bez obowiązków komendatoryjnych, czyli duszpasterskich, ani duchownym, ani świeckim... „Wielebny biskup Bourges za wiele żądał. Jego Eminencja nie chce wzbudzać zazdrości...” Ja zaś dorzucę jedno czy dwa biskupowi Limoges, okazał się bowiem bardziej powściągliwy. Czyżby nie pogadywano, że umyślnie przybyłem z Awinionu, żeby obsypywać przywilejami i obdarzać dobrodziejstwami podopiecznych biskupa Bourges? Mało cenię ludzi, którzy się pchają popisując wielu dłużnikami, i ludzi się ów biskup, sądząc, że wstawię się do papieża, aby uzyskać kapelusze.

Poza tym zauważyłem, że jest zbyt pobłażliwy dla braciszków, widziałem, że niemało ich wałęsa się po jego pałacu. Musiałem mu przypomnieć pismo Ojca Świętego skierowane przeciw tym zbłąkanym franciszkanom... tym lepiej je znam, iż sam je redagowałem... którzy sobie przypisują służbę kaznodziejską, czarują prostaczków udaną pokorą i wygłaszają niebezpieczne przemowy sprzeczne z wiarą i szacunkiem należnym Stolicy Apostolskiej. Wbiłem mu do głowy, że ma obowiązek napominać i karać tych złoczyńców wedle prawa kanonicznego, a w razie potrzeby prosić o pomoc władzę świecką, jak to w ubiegłym roku uczynił Innocenty VI wydając na stos Jana de Chastillon i Franciszka d'Arquate, podtrzymujących herezje... „Herezje, herezje... zapewne błędy, ale trzeba ich zrozumieć. Nie we wszystkim błędzą. A i czasy się zmieniają...” Oto, co mi odpowiedział wielebny biskup Bourges. Wcale mi się nie podobają prałaci z ich nadmierną wyrozumiałością dla niecnych grzeszników, miast ich zwalczać, gonią za popularnością i żeglują tam, dokąd byle wiatr zawieje.

Będę wam wdzięczny, dom Calvo, jeśli pobaczycie na tego pocziwca w czasie podróży i nie dopuścicie, by przekabacał moich giermków i nazbyt się zwierzał biskupowi Limoges albo innym prałatom, których po drodze zabierzemy.

Dołóżcie starań, by podróż miał w miarę niedogodną, zwłaszcza że dnie stały się krótsze, chłód dotkliwszy i będziemy przebywać krótkie odcinki. Dziesięć do dwunastu mil, nie więcej. Nie lubię podróżować nocą. Dlatego dziś dojedziemy tylko do Sancerre. Czeka nas tam długi wieczór. Strzeżcie się wina, jakie tam pijają. Pachnie świeżym owocem i miodem spływa w gardło, ale jest bardziej tęgie, niż się wydaje. Zawiadomcie o tym La Rue, niech uważa na poczet. Nie chcę widzieć pijusów w papieskiej liberii... Lecz wy, Calvo, błędnie. Stanowczo moja koleba wam nie służy... Nie, proszę was, wysiadajcie, szybko wysiadajcie.





## II

### Gniew królewski

Wyprawa do Niemiec spaliła na panewce i Nawarczyk doznał zawodu. Wróciwszy do Evreux nie omieszkał tam wicherzyć. Upłynęły trzy miesiące; dobiegamy końca marca ubiegłego roku... Tak, ubiegłego roku, dobrze powiedziałem... albo bieżącego roku, jeśli wolisz... ale Wielkanoc wypada w tym roku 24 kwietnia, zatem był to jeszcze rok ubiegły...

Tak, wiem, bratanku, głupawy to zwyczaj, obowiązujący dotąd we Francji, że świętuje się Nowy Rok pierwszego stycznia, a we wszystkich rejestrach, traktatach i notatkach osobistych zmienia się rok począwszy od Wielkanocy. Bzdura, która wprowadza wiele zamętu, uzależniać początek roku prawnego od ruchomego święta. Tym sposobem niektóre lata posiadają dwa marce, inne zaś pozbawione są kwietnia... Oczywiście, trzeba by to zmienić, zupełnie z tobą się zgadzam.

Już od dawna o tym się mówi, lecz nic nie postanawia. Ojciec Święty powinien by raz wreszcie wprowadzić zmianę obowiązującą cały świat chrześcijański. Wierz mi, że najgorszy zamęt mamy właśnie my w Awinionie, bo w Hiszpanii, jak i Niemczech, nowy rok rozpoczyna się w dniu Bożego Narodzenia, w Wenecji -1 marca, w Anglii zaś - 25 marca. Jeśli więc kilka krajów powołuje się na pakt zawarty na wiosnę, nikt nie wie, o jakim roku mowa. Założmy, że zawieszenie broni między Francją i Anglią byłoby podpisane na kilka dni przed Wielkanocą; dla króla Jana byłby to rok 1355, a dla Anglików -1356. Och! chętnie przyznaję ci rację, rzecz to najgłupsza pod słońcem, lecz nikt nie chce wyrzekać się swych nawyków, nawet niedogodnych, i rzekłoby się, iż notariusze, pisarze sądowi, przewoci i cała administracja lubią się zasklepić w niejasnościach, które mylą zwykłych ludzi.

Dobiegamy więc, jak ci powiedziałem, końca marca, kiedy król Jan wpadł w straszliwy gniew... Na zięcia, oczywiście. Och! przyznajmy, że mu powodów do niezadowolenia nie brakowało. Podczas obrad Stanów Normandii zgromadzonych w Vaudreuil, w obecności jego syna świeżo mianowanego diukiem padły pod adresem króla brutalne słowa, jakich nigdy ongi się nie słyszało, a wypowiedzieli je deputowani szlachty, podjudzeni przez braci z Evreux-Nawarry. Opowiadano mi, że najgwałtowniejsi byli obaj panowie d'Harcourt, stryj i bratanek. Bratanek, gruby hrabia Jan, posunął się aż do krzyku: „Rany Boskie, ten król to łotr, żaden z niego król, będę się go wystrzeżał!” Zapewne domyślasz się, że te słowa doszły do uszu Jana II. Po czym na obradach Stanów Północnego Dialektu, w następstwie zwołanych, deputowani Normandii wcale się nie pojawili. Po prostu odmowa stawiennictwa. Nie chcieli już przyłączać się do uchwalania nowych podatków i danin ani ich płacić. Zresztą zgromadzenie musiało stwierdzić, że podatki od soli i od sprzedaży nie przyniosły oczekiwanych korzyści. Wobec tego postanowiono zamienić je

na podatek od bieżących wpływów pobieranych pod koniec roku.

Sam pomyśl, jak życzliwie przyjęto ustawę, by płacić królowi część tego, co się otrzymało, pobrało czy zarobiło w ciągu roku, a często już przejadło... Nie, tego podatku nie pobierano w Perigord ani gdziekolwiek w Langwedocji. Ale wiem, że poniektórzy przeszli od nas do Anglików, po prostu w obawie, aby ten dekret ich nie objął. Podatek od bieżącego przychodu w połączeniu ze zwyczajną ceną na żywność wywołał rozruchy w różnych miejscowościach, a zwłaszcza w Arras, gdzie się zbuntowało pospólstwo i król Jan musiał wysłać konetabla z kilkunastu zastępami zbrojnych, by zaatakować prowodyrów... Nie, z pewnością ten stan rzeczy nie dawał powodów do uciechy. Lecz jakiegokolwiek by król miał kłopoty, winien zachować panowanie nad sobą. A tego nie uczynił w sytuacji, o której ci zaraz opowiem.

Przebywał właśnie w opactwie Beaupre-en-Beauvaisis na chrzcinach pierworodnego Dostojnego Pana Jana d'Artois, hrabiego d'Eu, odkąd ten dostał w darze dobra i tytuły po Raulu de Brienne, świętym konetablu... Tak, ten sam, syn hrabiego Roberta d'Artois, którego postawą zresztą bardzo przypomina. Podobieństwo wprost zaskakujące - wykapany ojciec w młodym wieku. Olbrzym, ruchoma wieża. Włosy czerwone, nos krótki, policzki porośnięte niczym świńską szczecią, a mięśnie jednym ciągiem łączą szczękę z ramieniem. Pod wierzch trzeba mu kupować konie do wozów ładownych, a kiedy podczas bitwy atakuje w pełnej zbroi, czyni ci wyłom w szeregach. Lecz na tym koniec z podobieństwem. Pod względem rozumu całkowite przeciwieństwo. Ojciec był szczwany, żwawy, bystry, złośliwy, nazbyt złośliwy. Syn ma mózg niczym zaprawa murarska, i to dobrze stężała. Hrabia Robert to świetny znawca kruczków sądowych - spiskowiec, fałszerz, krzywoprzysięzca, zabójca. Hrabia Jan, chcąc odkupić ojcowskie winy, pragnie być wzorem honoru, uczciwości, wierności. Widział upadek i banicję ojca. Sam w dzieciństwie przebywał krótko w więzieniu razem z matką i braćmi. Myślę, że jeszcze się nie przyzwyczył do myśli, że uzyskał przebaczenie i wrócił do łask. Patrzy na króla Jana niczym na Odkupiciela we własnej osobie. Poza tym zachwyca go fakt, że jest jego imiennikiem. „Mój kuzyn Jan... mój kuzyn Jan...”

Częstują się tym „kuzynem Janem” co trzy słowa. Moi rówieśnicy, którzy znali Roberta d'Artois, nawet jeśli cierpieli z powodu jego poczynań, nie mogą się obronić przed niejakim żalem, widząc ten nudny wizerunek, jaki nam pozostawił. Ach! hrabia Robert to dopiero był chwyt! Współczesne mu czasy wrzały od wyprawianych przezeń hałasów. Kiedy umarł, jakby świat cały popadł w milczenie. Nawet jakby zgiełk wojenny przycichł. Ile miałby teraz lat? Obliczmy... ba... około siedemdziesiątki. Starczyłoby mu sił, aby dożyć, gdyby zabląkana strzała nie powaliła go w angielskim obozie pod Vannes... Wszystko razem wzięwszy: wszelkie dowody wierności okazywane przez syna nie przynoszą większego pożytku koronie niż zdrady ojca.

Bo właśnie Jan d'Artois tuż przed chrztem, jakby w podzięce królowi za wielki zaszczyt kumostwa, wyjawiał mu spisek w Conches czy też to, co uważał za spisek.

Conches to... już ci mówiłem... jeden z zamków ongi skonfiskowany

Robertowi d'Artois, a który Pan Nawarry kazał sobie ofiarować w traktacie z Valognes. Lecz pozostało tam jeszcze trochę ze służby rodu d'Artois nadal mu oddanej.

Tym sposobem Jan d'Artois mógł szepnąć królowi... szept ten było słyhać na drugim krańcu okręgu... że w Conches król Nawarry spotkał się z bratem Filipem, obu panami d'Harcourt, biskupem Le Coq, Wróblem z Fricamps, kilku od dawna mu znanymi panami normandzkimi, a także Wilhelmem Marcelem... czy Janem... w końcu jednym z bratanków Marcela... oraz Michałem d'Espelette, wielmożą, który przybył z Pampeluny, i wspólnie jakoby spiskowali, aby zniecka napaść na króla Jana przy pierwszej sposobności, kiedy ów będzie jechał do Normandii, a następnie go ubić. Prawda li to była, czy kłamstwo? Skłaniam się do mniemania, że jakieś źdźbło prawdy w tym tkwiło, że nie posuwając się aż do tworzenia spisku, rzecz tę rozważali. Była ona bowiem całkiem w stylu Karola Złego: gdy nie udał mu się manewr na wielką skalę - podróż, by uzyskać poparcie Cesarza Niemiec - z pewnością nie brzydziłby się łotrostwem powtarzając zamach spod „Czmychającej Świni”. Trzeba zaczekać na Sąd Boży, by poznać sedno prawdy.

Z pewnością natomiast wiele rozprawiano w Conches, aby ustalić, czy należy za tydzień we wtorek przed półpościem udać się do Rouen na ucztę, na którą Delfin, diuk Normandii, zaprosił najznacniejszych normandzkich rycerzy, aby dojść z nimi do pojednania. Filip Nawarry, doradzał odmowę; natomiast Karol skłonny był przyjąć zaproszenie. Stary Gotfryd d'Harcourt, kulawiec, sprzeciwiał się i mocno podkreślał swe racje. Zresztą swego czasu pokłócił się ze zmarłym królem Filipem VI w materii małżeństwa, kiedy to stawiano sprzeciw jego miłośnikom, i już nie uważał, by go obowiązywała wobec korony więź lenna. „Anglik mym królem” powiadał.

Bratanek jego, otyły hrabia Jan, którego miła woń ucztę zawiodłaby na drugi kraniec królestwa, skłonny był przyjąć zaproszenie. Wreszcie Karol Nawarry rzekł, by każdy postąpił wedle własnej woli. On wraz z tymi, którzy zechcą, uda się do Rouen, ale również pochwała tych, którzy nie stawiają się u Delfina, rozsądniej byłoby bowiem, gdyby część rycerzy pozostała w odwodzie, bo nigdy nie należy puszczać wszystkich psów do tej samej nory.

Jeszcze jedną wiadomość przyniesiono królowi, która mogła wzmóc podejrzenie o spisek. Karol Nawarry miał oświadczyć, że gdyby król Jan umarł, to on natychmiast ujawni zawarty z królem Anglii traktat, w którym go uznał za króla Francji, on zaś będzie występował w królestwie jako jego namiestnik.

Król Jan już nie żądał dalszych dowodów. Przede wszystkim władca winien zawsze sprawdzić denuncjację, zarówno najbardziej zbliżoną do prawdy, jak i niewiarygodną. Ale naszemu królowi całkowicie brak tej przezorności. Spija niczym świeże jaja wszystko, co syci jego urazę. Książę o bardziej statecznym umyśle wysłuchałby, a później kazał zebrać informacje i świadectwa w materii świeżo mu ujawnionego tajemnego paktu. I gdyby z tych domniemywań mógł wydobyć prawdę, wtedy miałby silne argumenty przeciw zięciowi.

Lecz on zaraz wiadomość uznał za pewną i ogarnięty gniewem wszedł do kościoła. Opowiadano mi, że zachowywał się dziwacznie, wcale nie słuchał modłów, na opak wypowiadał responsy, spoglądał na wszystkich z wściekłą miną i zrzucił na komżę diakona żar z kadzielnicy, którą potracił. Nie wiem zbyt dobrze, jak ochrzczono potomka rodu Artois, lecz sądzę, że przy takim ojcu chrzestnym trzeba będzie bardzo szybko powtórzyć śluby tego małego chrześcijanina, jeśli pragnie się, by Bóg miał go w swej pieczy.

Po zakończeniu obrzędów nastąpił huragan. Zakonnicy z Beaupre nigdy nie słyszeli tylu straszliwych przekleństw, jakby sam diabeł zagnieździł się w królewskim gardle. Padał deszcz, ale Jan II nań nie zważał. Przez dobrą godzinę, nawet wówczas gdy róg zwoływał na umycie rąk przed obiadem, moknął chodząc po klasztornym ogrodzie. Rozchlapywał kałuże swymi ciżmami o zakrzywionych do góry nosach... tymi śmiesznymi trzewikami, które wprowadził w modę wspólnie z Karolem Hiszpańskim... i zmuszał, by wraz z nim mokła cała jego świta: pan Mikołaj Braque - marszałek dworu, i pan de Lorris oraz inni szambelani, i marszałek d'Audrehem, i wielce zdumiony i zatroskany zwalisty Jan d'Artois. Na tysiące liwrów uległo zniszczeniu aksamitów, haftów i futer.

„Nie masz poza mną pana Francji - wrzeszczał król. - Każe poćwiartować tego łotra, padalca, ścierwo borsucze, które wspólnie ze wszystkimi moimi wrogami dybie na moją śmierć. Sam go zabiję. Własnymi rękoma wyrwę mu serce, a cuchnące jego ciało porozrywam na tyle kawałków, słyszycie mnie?, że wystarczy, by zawiesić po jednym na bramie każdego z zamków, którymi w mej słabości go obdarzyłem. I niech nikt się za nim nigdy nie wstawia i niech żaden z was nie śmie mi doradzać, żebym się z nim pojednał. Zresztą nie będzie już potrzeby bronić tego zdrajcy, a Blanka i Joanna będą mogły wypłakać wszystkie swoje łzy; świat się dowie, że nie masz poza mną pana Francji.” I wciąż powtarzał: „Nie masz poza mną pana Francji”, jakby sam chciał siebie przekonać, że jest królem.

Na poły się uspokoił, żeby zapytać, kiedy odbędzie się ta uczta, na którą ten osioł, jego syn, dwornie zaprosił tego gada, jego zięcia... „Na świętą Irenę, 5 kwietnia”... „5 kwietnia, na świętą Irenę” powtórzył, jakby z trudem wbijał sobie do głowy tak prostą wiadomość. Przez chwilę stał potrząsając głową niczym koń, żeby ściekła woda z żółtych włosów zlepionych deszczem. „Tego dnia będę na łowach w Gisors” - wyrzekł.

Dwór przywykł do wyskoków jego humoru, każdy myślał, że gniew króla wyczerpał się w słowach i na tym się zakończy. A później wydarzyło się to, co nastąpiło podczas uczty w Rouen... Tak, lecz nie znasz szczegółów. Opowiem ci o tym, lecz jutro, bo dzisiaj późna godzina i musimy być blisko postojów.

Widzisz, podczas takiej pogawędki droga wydaje się krótsza. Dziś wieczorem pozostanie nam tylko zjeść wieczerzę i zasnąć. Jutro będziemy w Auxerre, tam otrzymam wiadomości z Awinionu i Paryża. Jeszcze słówko, Archibaldzie. Jeśliby cię zagabnął biskup Bourges, który nam towarzyszy, bądź z nim ostrożny. Wcale mi się on nie podoba, nie wiem dlaczego, wpadło mi na myśl, że ten człowiek ma konszachty z Capoccim.



Rzuć mimochodem to imię i powiesz mi, co wyczujesz.





### III

## Do Rouen

**K**ról Jan istotnie zajechał do Gisors, lecz zabawił tam ledwo tyle czasu, by z załogi wziąć stu włóczników. Po czym ostentacyjnie skierował się drogą na Chaumont i Pontoise, aby każdy pomyślał, że wraca do Paryża. Zabrał ze sobą drugiego syna - diuka d'Anjou, a także własnego brata - diuka Orleanu, ten wyglądał raczej na któregoś z jego synów, bo Dostojny Pan na Orleanie ma dwadzieścia lat i dzieli go od króla aż siedemnaście, a od Delfina tylko dwa lata różnicy.

Król rozkazał, by towarzyszył mu marszałek d'Audrehem, a z młodszych szambelanów Jan d'Andrisel i Guy de la Roche, gdyż przed kilku dniami wysłał do Rouen Lorrisa i Mikołaja Braque pod pretekstem, że użycza ich Delfinowi, by czuwali nad przygotowaniem uczty.

Któż jeszcze był w królewskim poczcie? Och! starannie dobrał sobie świtę. Zabrał ze sobą braci d'Artois, Karola i tamtego... „mego kuzyna Jana”... który trzymał się prawie zadu królewskiego wierzchowca i przerastał o głowę całą kawalkadę. Zabrał również Ludwika d'Harcourt, pokłóconego z bratem i stryjcem Gotfrydem; był on z tego powodu stronnikiem króla. Daruję ci naganiaczy i łowczych Corquillerayów, Huetów des Ventes oraz innych Maudetourów! Panno Święta! Król jechał na łowy i chciał przybrać wszelkie tego pozory: dosiadł myśliwskiego konia, swego ulubieńca, chynego, dzielnego i dobrze wytrenowanego neapolitańczyka. Nikogo nie mogło dziwić, że jechali tuż za nim sierżanci z osobistej straży pod wodzą dwóch znanych chwatów: Enguerranda Lalemanta i Perrineta Bawoła. Ci dwaj powalą człowieka, ledwo chwyciwszy go za rękę... Słusznie, żeby straż zawsze blisko otaczała króla. Ojciec Święty ma swoją straż. Także i ja mam chroniących mnie ludzi, którzy - jak widziałeś - jadą tuż przy mojej kolebie. Tak do nich przywykłem, że już ich nie zauważam, ale oni nie spuszczają ze mnie wzroku.

Natomiast, kto bystro patrzył, zadziwiłby się, że pokojowcy, niewątpliwie Tassin i Poupart Brodac, wieźli przytroczone do siodeł: hełm, misiurkę, wielki miecz i cały bojowy rynsztunek króla. A także obecność króla rozpustników, pocziwca, który się zowie... Wilhelm... Wilhelm, już nie pamiętam jak... w miastach, gdzie król przebywa, czuwa on nie tylko nad strażą od burdeli, ale wykonuje wydane przez króla osobiście wyroki. Ma więcej pracy na tym stanowisku, odkąd Jan II zasiadł na tronie.

Razem z giermkami diuków, pachołkami, służbą wszystkich tych panów i włócznikami zabranymi z Gisors było dobre dwie setki jeźdźców, w tym wielu z nastawionymi włócznikami; nader liczna kawalkada, by gonić po krzakach sarnę.

Król skierował się na Chaumont-en-Vexin, lecz w tym gródkiem nikt go

nie zobaczył. Zastęp po drodze rozwinął się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Przeleciał na przełaj pola, by zawrócić wprost na północ, ku Gournay-en-Bray, lecz i tam wcale nie zwłóczył, jedynie zabrał hrabiego de Tancarville, jednego z nielicznych normandzkich wielmożów, który pozostał mu wierny, ponieważ drze koty z panami d'Harcourt. Tancarville osłupiał, otoczony bowiem dwudziestką rycerzy ze swej chorągwi oczekiwał marszałka d'Audrehem, lecz nigdy króla.

- Czy syn mój, Delfin, nie zaprosił was na jutro do Rouen, panie hrabio?

- Tak, Sire, ale polecenie pana marszałka, który lustrował okoliczne warownie, zwalniało mnie od pojawienia się w towarzystwie, gdzie bardzo wiele twarzy by mi się nie spodobało.

- A więc pojedziecie jednak do Rouen, Tancarville, a ja was pouczę, co będziemy tam robili.

Po czym cała kawalkada rusza na południe. Noc zapadła, jechali drobnym kłusem jakieś trzy, cztery mile, ale już po osiemnastu przejechanych rankiem. Przystanęli na nocleg w zamku położonym daleko na uboczu, na skraju lasu Lyons.

Jeśli król Nawarry miał tu swych szpiegów, w niemałym byli oni kłopotcie, by mu powiedzieć, dokąd zdąży król Francji... widziano króla jadącego na łowy... król lustruje warownie...

Król zerwał się przed świtem, śpieszno mu było i rozgorączkowany, już na siodle, popędzał swiętę, by ruszała tym razem na wprost przez las Lyons. Kto chciał zjeść pajdę chleba z kawałkiem słoniny, musiał to czynić podczas kłusa, zarzucić uzdę na przedramię i posługiwać się jedną ręką, bo w drugiej trzymał dzidę.

Gęsty i długi las Lyons ciągnie się na przeszło siedem mil, jednak starczyły dwie godziny, aby go niemal w całości przebyć. Marszałek d'Audrehem myśli, że przy tym tempie na pewno przyjadą za wcześnie. Można by na chwilę przystanąć, żeby choć konie się wysikały. Nie biorąc już pod uwagę własnej osoby... Sam marszałek mi to opowiedział: „Niech Wasza Eminencja mi przebaczy, ale gwałtowna potrzeba ścisła mi trzewia. Zaś marszałek koronny nie może sobie ulżyć z wysokości siodła, jak to czynią prości łucznicy, kiedy ich przyciśnie, choćby nawet mieli zmoczyć łęk. Tedy powiadam królowi: «Sire, na nic zda się tak śpieszyć, od naszego pośpiechu słońce szybciej się nie przesunie... Ponadto konie muszą się wysikać...» A na to król odpowiada: «Oto jaki list napiszę do papieża, aby uzasadnić mój wyrok i uprzedzić podłe gadki, które mogą doń dotrzeć... Wasza Świątobliwość, pobłażanie, jakie zbyt długo okazywałem temu niecnemu krewniakowi, układy, na które się godziłem ze względu na wyrozumiałość chrześcijańską, zachęcały go do przestępstw; z jego powodu spadły na królestwo klęski i nieszczęścia. Przygotowywał jeszcze groźniejsze, pragnąc pozbawić mnie życia. Aby zapobiec popełnieniu tej zbrodni...»“

I spina konia wcale nie bacząc, że już wyjechał z lasu Lyons, że już jest na polu, że wjeżdża do następnego lasu. Audrehem mi mówił, że nigdy go takim nie oglądał, wzrok miał błędny, ciężka szczeka drżała pod skąpą bródką.

Nagle Tancarville podjeżdża na swym wierzchowcu aż do króla, by go

bardzo grzecznie zapytać, czy zamierza udać się do Pont-de-l'Arche. „Nie - krzyczy król - jadę do Rouen!” „Zatem, Sire, obawiam się, że tędy nie dojdziecie. Należało przy ostatnim skrzyżowaniu skrócić na prawo.” Król z miejsca zawraca swego neapolitańskiego konia i puszcza się w cwał, wrzeszcząc, aby cała kawalkada pędziła w ślad za nim, co nie bez zamętu nastąpiło, lecz nadal bez możliwości wysiusiania się, ku wielkiemu zmartwieniu marszałka...

Powiedz, bratanku, czy nie odczuwasz, że coś się dzieje z naszym pojazdem... Bo ja tak.

Brunet, hejże, Brunet! Jeden z mych koni przy zaprzęgu kuleje... Nie mów mi: „Nie, Wasza Eminencjo”, i popatrz. Na tego z tyłu. Myślę, że kuleje na tylną prawą nogę, każ zatrzymać... A więc? Aha! traci podkowę? A z którego kopyta... kto więc miał rację? Mam czujniejsze lędźwie niż ty oczy.

Nuże, Archibaldzie, wysiadamy. Przejdziemy kilka kroków, podczas gdy będą nam zmieniać konie... Powietrze jest chłodne, lecz znośne. Co stąd widzimy? Czy wiesz, Brunet? Saint-Amand-en-Puisaye... To stąd, Archibaldzie, król Jan rankiem 5 kwietnia musiał zobaczyć Rouen.





## IV

### Uczta

Nie znasz, Archibaldzie, Rouen ani zamku Gila. Och, to potężny zamek o sześciu czy siedmiu wieżach stojących kręgiem wokół głównego podwórca. Przed stu pięćdziesięciu laty Filip August zbudował ten zamek, by czuwał nad miastem, portem i strzegł ujścia Sekwany. Rouen to potężna warownia, na wybrzeżu baza wypadowa ku Anglii, a zatem kluczowa pozycja broniąca królestwa. W czasie przyływu morze dosięga kamiennego mostu łączącego obie części księstwa Normandii.

Donżon nie znajduje się pośrodku zamku. Jest to jedna z wież, wyższa i o grubszych murach niż pozostałe. W Perigord mamy podobne zamki, lecz o bardziej malowniczej konstrukcji.

Przybył tu kwiat normandzkiego rycerstwa, sześćdziesięciu wielmożów przyodziających tak bogato, jak było ich na to stać. Każdemu towarzyszył co najmniej jeden giermek. Właśnie trębacze zadęli w rogi, by zwołać na mycie rąk, kiedy wpadł spocony od długiego cwału giermek pana Gotfryda d'Harcourt, by uprzedzić hrabiego Jana, że stryj śpiesznie go wzywa do niezwłocznego stawienia. Polecenie było kategoryczne, jakby pan Gotfryd coś był zwęszył. Jan d'Harcourt czuł się w obowiązku go posłuchać; wymknął się z reszty towarzyszy i już był u stóp schodów donżonu, niemal je zatarasował, taki był gruby, prawdziwa baryła, kiedy się natknął na Roberta de Lorris, który z wielce uprzejmą miną zagroził mu drogę. „Panie hrabio, już pan odjeżdża? Ależ Jego Dostojność Delfin tylko na was czeka z rozpoczęciem biesiady! Wasze miejsce jest po jego lewej stronie.” D'Harcourt, nie śmiąc obrazić Delfina, postanowił odłożyć wyjazd. Odjedzie po uczcie. I wszedł na schody zbytnio nie żałując. Bo stół Delfina cieszył się wielką sławą; wiadomo było, że podają tam delicje, a Jan d'Harcourt nie nabył swego sadła ssąc jedynie ździebełka trawy.

W istocie, co za uczta! Nie próżno Mikołaj Braque pomagał ją przygotować Delfinowi. Ci, co tam byli i ocalili, nie mogą jej zapomnieć. W wielkiej okrągłej sali rozstawiono sześć stołów. Ściany umajono zielenią tak świeżą, iż sądziłbyś, że ucztujesz w lesie. Przy oknach pęki świec, by wzmocnić dzienne światło wnikające przez skośne szczeliny niczym słońce poprzez drzewa. Za każdym biesiadnikiem giermek-krajczy, przy znamienitych panach ich własny, przy pozostałych któryś z dworu Delfina. Podano noże złożone o trzonkach hebanowych, z herbem Francji na emalii, specjalnie przeznaczone na okres Wielkiego Postu. Bo dworski obyczaj zezwala na używanie noży o rękojeściach z kości słoniowej dopiero od Wielkanocy.

Uszanowano bowiem Wielki Post. Pasztety z ryb, rybne potrawki, karpie, szczupaki, liny, leszcze, łososie i umbryny, jajeczne dania, drób, dzikie ptactwo; wyłowiono ryby z rzek, ogołocono stawy rybne i kurniki. Kuchcikowie ustawieni nieprzerwanym rzędem podawali z rąk do rąk

półmiski ze srebra zwykłego i złożonego, na których kucharze oraz mistrzowie od pieczeni i sosów kładli stosem, wznosili i skrapiali potrawy przygotowane w kominkach wieży kuchennej. Sześciu podczaszych nalewało wina z Beaune, Meursault, Arbois i Turenii... Widzę, że i tobie, Archibaldzie, cieknie ślinka! Mam nadzieję, że wyśmienite jadlo podadzą nam niebawem u Świętego Zbawiciela...

Delfin u szczytu głównego stołu miał po swej prawej stronie Karola Nawarry, a po lewej - Jana d'Harcourt. Przyodziany był w brukselskie błękitne prążkowane sukno i w kaptur z tejsze tkaniny, haftowany perłami we wzory z liści. Jeszcze ci nigdy nie opisałem, jak wygląda Dostojny Delfin... Jest wysoki o szerokich i chudych ramionach, twarz ma podłużną, duży nos z lekkim garbem, spojrzenie, nie wiadomo, poważne czy zamyślane, górną wargę ma wąską, dolną pełniejszą, podbródek cofnięty.

Powiadają, o ile można wiedzieć, że nader przypomina swego praszczura, Ludwika Świętego, który był również bardzo wysoki i przygarbiony. W dynastii francuskiej pojawia się od czasu do czasu taka budowa obok mężczyzn bardzo krwistych i śmigłych.

Kuchcikowie, idąc ciężkim krokiem, pokazywali półmiski Delfinowi, ten zaś wskazywał stół, na którym należało je postawić. Tym sposobem czynił honory domu gościom, hrabiemu d'Etampes, panu de la Ferte, merowi Rouen. Wielce godny i dworny uśmiech towarzyszył ruchowi ręki, oczywiście ręki lewej. Bo, jak ci już mówiłem, prawa opuchnięta i zaczerwieniona sprawia mu ból; posługuje się nią jak najrzadziej. Ledwie może grać w piłkę; po półgodzinie ręka mu puchnie. Ach! wielka to ułomność dla księcia... Ani łowów, ani wojaczki. Z tego powodu ojciec nie kryje dlań pogardy. Jakżeż biedny Delfin musiał zazdrościć tym wszystkim panom, których gościł, panom: de Cleres, de Graville, du Bec Thomas, de Mainemares, de Braquemont, de Sainte-Beuve czy d'Houedot, rycerzom krzepkim, pewnym siebie, hałaśliwym, dumnym ze swych wojennych czynów. Zapewne zazdrościł nawet grubemu panu d'Harcourt, któremu kwintal sadła nie przeszkadzał okiełznać konia ani być groźnym turniejowcem, a już szczególnie panu de Biville, sławnemu mężowi, którego wszyscy otaczali kupą, ledwo się pojawił w towarzystwie, i prosili, aby opowiedział o swym wyczynie... Tak, ten sam... widzisz i do ciebie dotarło jego imię... tak na oczach króla Cypru jednym ciosem miecza rozplątał Turka. Przy każdym opowiadaniu cięcie pogłębia się o cal. Któregoś dnia rozpląta także konia.

Lecz powracam do Delfina Karola. Chłopiec ten wie, do czego zobowiązuje go ród i stanowisko; wie, po co Bóg go stworzył, jakie miejsce Opatrzność mu wyznaczyła na najwyższym ludzkim szczeblu i jeśli nie umrze przed ojcem, to zostanie królem. Wie, że wszechwładnie będzie rządził królestwem, wie, że będzie uosabiał Francję. A jeśli w głębi duszy martwi się, że Bóg, obarczając go obowiązkami, nie obdarzył go jednocześnie krzepą, która by mu pomogła je dźwigać, to jednak wie, że winien zamaskować cielesne niedostatki wdziękiem, uprzejmością wobec bliźnich, kontrolą twarzy i słowa, miną życzliwą, a zarazem pewną siebie, która by nie zezwoliła, by ktokolwiek zapomniał, kim on jest, i tym sposobem tworzy wokół siebie pewien rodzaj majestatu. Niełatwa to

sprawa, kiedy ma się osiemnaście lat i broda ledwo ci się sypie.

Trzeba rzec, że wcześniej jał się ćwiczyć. Miał jedenaście lat, kiedy dziad jego król Filip VI zdołał odkupić Delfinat od Humberta II z Vienne. Fakt ten nieco zatarł wspomnienie klęski pod Crécy i utraty Calais. Mówiłem ci po jakich rokowaniach... Ach! myślałem... Chcesz więc wiedzieć dokładnie?

Delfin Humbert równie był nadęty pychą, jak naszpikowany długami. Pragnął sprzedać Delfinat, lecz rządzić nadal częścią tego, co ustąpił, i pragnął, by po jego śmierci państwo pozostało niezależne. Najpierw chciał pertraktować z hrabią Prowansji, królem Sycylii, lecz podał za wysoką cenę. Wówczas zwrócił się ku Francji i wtedy właśnie powołano mnie do prowadzenia rokowań. W pierwszym traktacie dopiero po swej śmierci cedował swą koronę... stracił syna - jedynaka... częściowo za gotówkę, sto dwadzieścia tysięcy dukatów, proszę cię, a częściowo za rentę dożywotnią. Mając to mógłby żyć dostatnio. Lecz zamiast spłacić długi, wszystko, co otrzymał, roztrwonił, goniąc za sławą w walce z Turkami. Nękany przez wierzycieli musiał tedy sprzedać resztki, innymi słowy, swe prawa dożywotnie. Na co wreszcie przystał za dodatkowe dwieście tysięcy dukatów i dwadzieścia cztery tysiące liwrów renty, nadal zresztą wynosząc się ponad wszystkich. Szczęściem dla nas brakło mu przyjaciół.

Mówiąc skromnie, to ja znalazłem ten sposób, który mógł zadowolić Humberta oraz jego poddanych. Tytuł Delfina na Vienne miał nosić nie król Francji, ale najstarszy z jego wnuków, a po śmierci tegoż jego pierworodny. Przeto mieszkańcy Delfinatu zachowali złudzenie, iż rządzi nimi udzielny książę. Z tych powodów młodziutki Karol Francuski po przekazaniu mu w Lyonie władzy miał zimą roku 1349 i na wiosnę 1350 zwiedzić świeżo otrzymane państwo. Pochody, przyjęcia, uroczystości. Miał wówczas - powtarzam ci - zaledwie jedenaście lat. Ale z łatwością, z jaką dzieci wczuwają się w swą rolę, przywykł, iż miasta witały go wiwatami, przyzwyczał się do kroczenia między pochylonymi głowami, zasiadania na tronie, podczas gdy śpiesznie podsuwano jedwabne kobierczyki, by nogi mu nie zwisały; przyjmując hołd wielmożów ścisłał im dłonie, z powagą wysłuchiwał ubolewań mieszczan. Zadziwiał godną postawą, uprzejmością, rozsądnymi zapytaniami. Ludzie rozczulali się nad jego powagą; łzy napływały do oczu sędziwych rycerzy oraz ich starych małżonek, kiedy ten dzieciak zapewniał o swej życzliwości i przyjaźni, wychwalał zasługi i mówił im, że liczy na ich wierność. Najmniejsze słówko każdego księcia jest zaopatrywane w mnóstwo komentarzy, za pomocą których jego rozmówca przydaje sobie znaczenia. Lecz ileż tkliwych opowieści wywoływały zwykle zdania wypowiedziane przez tak młodziutkiego chłopca, tej miniaturki księcia!... „W tym wieku nie można udawać...” Ależ tak, udawał; a nawet, jak każdy wyrostek, lubował się w udawaniu. Udawał zainteresowanie każdym, kogo widział, nawet jeśli zobaczył zezowate oko i bezzębne usta, udawał zadowolenie z upominku, który mu ofiarowano, jeśli nawet otrzymał cztery podobne dary, udawał powagę, kiedy rada miejska uskarżała się na jakąś sprawę o myto albo na spór w samorządzie. „Zostaną wam przywrócone wasze prawa, jeśli ktoś wam wyrządził krzywdę. Chcę, aby pilnie zostało przeprowadzone

śledztwo.” Szybko pojął, że wydany stanowczym głosem rozkaz przeprowadzenia śledztwa wywołuje wielkie wrażenie, a do niczego nie zobowiązuje.

Nie wiedział jeszcze, że będzie słabowitego zdrowia, choć przez kilka tygodni chorował w Grenoble. Podczas tej podróży dowiedział się o śmierci swej matki, później babki, a niebawem o powtórny ożenku swego dziadka i ojca, wreszcie mu oznajmiono, że wkrótce on sam poślubi swą kuzynkę i rówieśnicę Panią Joannę de Bourbon. Ślub wielce wystawny z mnóstwem gości duchownych i szlachty odbył się na początku kwietnia w Tain l’Hermitage... Przed ledwo sześciu laty.

Prawdziwy cud, że te wszystkie uroczystości nie przewróciły czy nie pomieszały mu w głowie. Ujawnił tylko cechę wspólną wszystkim książętom jego rodu - skłonność do marnotrawstwa i zbytku. Dziurawe ręce. Mieć wszystko, co im się podoba. Ja chcę tego, chcę owego. Kupować, posiadać rzeczy arcypiękne i arcyrzadkie, budzące największe zaciekawienie, a przede wszystkim arcykosztowne, zwierzęta z menażerii, wspaniałe wyroby złotnicze, iluminowane księgi, wydawać pieniądze, mieszkać w komnatach o ścianach obitych jedwabiem lub cypryjskim złotogłowiem, rozkazywać, by naszywano na odzież majątek w cennych kamieniach, błyszczeć - oto dla Delfina, jak i całej jego paranteli, oznaka władzy i we własnych oczach dowód majestatu. Naiwność odziedziczona po pradziadku, pierwszym Karolu, bracie Filipa Pięknego, tytularnym cesarzu Konstantynopola, tym grubym trzmielcu, który tak się miotał i podburzał Europę, a nawet przez chwilę rozmyślał o niemieckim Cesarstwie; marnotrawca, jakiego świat nie widział... Wszyscy oni mają tę cechę we krwi. Kiedy zamawiają trzewiki dla rodziny, to od razu dwadzieścia cztery, czterdzieści, pięćdziesiąt par; dla króla, dla Delfina, dla Dostojnego Pana na Orleanie. Prawda, że ich głupie ciżmy nie wytrzymują błota; zniekształcają się zakrzywione długie czuby, czernieją hafty i w ciągu trzech dni niszczy się to, co kosztowało miesiąc pracy najlepszych rzemieślników w paryskim kramie Wilhelma Loisela. Wiem o tym, ponieważ sam stamtąd sprowadzam swoje czerwone pantofle; ale mnie wystarcza osiem par na rok. I spójrz, czyż nie jestem zawsze czysto obuty?

Ponieważ dwór nadaje ton, wielmoże i mieszczanie rujną się na pasmanterię, futra, klejnoty, na wydatki służące próżności. Współzawodniczą w przepychu. Pomyśl, że dla ozdobienia kaptura Dostojnego Delfina, który miał na głowie w Rouen w tym pamiętnym dniu, zużyto jedną markę<sup>1</sup> dużych pereł i jedną markę drobnych, zamówionych u Belhommeta Thurel za trzysta czy trzysta dwadzieścia dukatów! Czyż będziesz się dziwił, że skrzynie świecą pustkami, skoro każdy wydaje więcej, niż go na to stać?

Ach! oto wraca moja koleba. Zmieniono zaprzęg. Więc wsiadajmy...

Był w każdym razie ktoś, kto korzystał z finansowych trudności i dobrze zarabiał na ubóstwie królewskiej szkatuły, a mianowicie pan Mikołaj Braque, marszałek pałacowy, a jednocześnie skarbnik i zarządca mennic. Założył on niewielką kompanię bankową, właściwie mówiąc pozorną kompanię, która wykupywała długi króla oraz jego paranteli niekiedy za

---

<sup>1</sup> 244 gramy



dwie trzecie, niekiedy za połowę, a czasem nawet za jedną trzecią wartości. Procedura nader prosta. Dostawca dworu ma nóż na gardle, ponieważ od dwóch lat, a nawet i dłużej, nic mu się nie wypłaca, i nie wie, w jaki sposób opłacić czeladników i za co ma kupić towar. Przychodzi do pana Braque i podsuwa mu pod nos rachunki. Pan Braque ma wielkopański wygląd, piękny to mężczyzna, przyodziany w godne szaty i nigdy nie wypowie zbędnego słówka. Nikt mu nie dorówna w zamykaniu ludziom gęby. Ktoś doń przychodzi grząc: „Tym razem on mnie usłyszy, mam mu dużo do powiedzenia i słów szczerzyć nie będę”, i w okamgnieniu pokornieje i bełkoce. Pan Braque zrasza go zimnymi i sztywnymi słowami niczym wodą z rynny: „Wasze ceny są zawyżone jak zawsze przy dostawach na rzecz króla... dworska klientela ściąga do was wielu nabywców, na których wiele zarabiacie... jeśli król ma trudności z wypłatą, oznacza to, że wszystkie pieniądze ze Skarbcza idą na pokrycie wojennych kosztów... wszelką odpowiedzialność ponoszą mieszczanie, jak mistrz Marcel, którzy wykrcęją się od uchwalenia daniny... ponieważ tak wam trudno zaopatrywać króla, cofnie się wam zamówienia...” Kiedy zaś skarżący się zostanie należycie poskromiony, kiedy się martwi i dygoce, wtedy Braque mu rzecze: „Jeśli naprawdę jesteście w trudnej sytuacji, postaram się przyjść wam z pomocą. Mogę wpłynąć na kompanię maklerów, gdzie mam przyjaciół, aby odkupiła wasze wierzytelności. Postaram się, mówię wyraźnie, że się postaram, aby wykupiła od was za cztery szóstki, a wy dacie pokwitowanie na całość. Kompania odzyska te należności, gdy Bóg zechce znów napełnić Skarbiec... jeśli kiedykolwiek zechce. Lecz nie mówcie o tym nikomu, bo inaczej każdy w królestwie przyszedłby i tyleż samo żądał. Tym sposobem darzę was wielką łaską”.

Po czym, gdy ledwo trzy sody brzęczą w szkatule, Braque czyha na sposobność, by szepnąć królowi: „Miłościwy Panie, ze względu na wasz honor i sławę, nie chciałem, aby ten rażący dług jeszcze się włókl, zwłaszcza że wierzyciel był wielce wzburzony i groził skandalem. W imię miłości do was spłaciłem dług własnymi denarami”. A mając pierwszeństwo do łask, każe sobie zwrócić wszystko. Z drugiej strony ponieważ to on rządzi wydatkami dworu, za każde zamówienie każe, by go obsypywano pięknymi upominkami. Na dwa boki zarabia nieposzlakowany człowiek.

W dniu biesiady nie tyle krzątał się wokół rokowań o wpłatę danin odrzuconych przez Stany Normandii, ile wokół pertraktacji z merem Rouen, mistrzem Mustelem, o wykup wierzytelności od miejscowych kupców. Bo nie zapłacono rachunków z ostatniej podróży króla, a nawet jeszcze wcześniejszych. Delfin zaś, odkąd został namiestnikiem króla w Normandii, a nawet zanim otrzymał tytuł diuka, zamawiał i zamawiał różne przedmioty, lecz nigdy nie zapłacił żadnej należności. I pan Braque oddawał się swym zwykłym transakcjom, zapewniając mera, że w imię przyjaźni do niego i szacunku, jaki żywi do zacnych mieszkańców Rouen, sprzątnie im jedną trzecią ich zarobku. Nawet więcej, bo płacił je gotówką na stół, to znaczy monetą o wartości obniżonej, a przez kogo? A przez niego samego, bo on to stanowił o pogarszaniu pieniądza. Przyznajmy, że gdy Stany uskarżają się na wysokich urzędników królewskich, mają po

temu pewne powody. Kiedy myślę, że powieszono pana Enguerranda de Marigny, gdyż po dziesięciu latach wytknięto mu, że raz obrzezał monety! Ależ to był święty w porównaniu z dzisiejszymi skarbnikami.

Któż jeszcze był w Rouen, kogo należy wymienić, poza zwykłą służbą i Mittonem Swawolnisiem, karłem Delfina, harującym między stołami i również przyodzianym w kaptur naszywany perłami... perły dla karła, powiedz mi, proszę, czy to właściwy sposób wydawania dukatów, których się nie posiada? Delfin każe go odziewać w pasiaste sukna specjalnie dlań tkane w Gandawie... Nie pochwalam tego zatrudniania karłów, jakie weszło w modę. Zmusza się ich do błaznowania, kopie, wystawia na pośmiewisko. Mimo wszystko to stworzenie Boże, choć można rzec, że niezbyt Panu Bogu się udało. Jeszcze jeden powód, aby im okazać trochę miłosierdzia. Ale rodziny, zda się, uważają za błogosławieństwo przyście na świat karzełka... „Jakiż malutki! Oby nigdy nie wyrósł. Można go będzie sprzedać diukowi lub może królowi...”

Nie, chyba wymieniałem wszystkich znamienitszych biesiadników panów: Wróbla z Fricamps, Graville, Mainemares, tak, wszystkich... a później oczywiście był najświetniejszy ze wszystkich - król Nawarry.

Delfin poświęcił mu całą swą uwagę. Nie potrzebował zresztą zadawać sobie wysiłku, mając po drugiej stronie grubasa, pana d'Harcourt. Ten zajmował się wyłącznie półmiskami i próżno byłoby doń skierować słówko, kiedy pochłaniał całe góry.

Lecz obaj Karolowie, ten z Normandii i ten z Nawarry, obaj szwagrowie wiele ze sobą rozmawiali. Lub raczej mówił Nawarczyk. Nie widzieli się od czasu chybionej wyprawy do Niemiec. Nawarczyk swoim obyczajem starał się odzyskać wpływ na młodego krewniaka za pomocą pochlebstw, zapewnień o wiernej przyjaźni, uciechowych wspominków i zabawnych dykteryjek.

Podczas gdy giermek Colin Doublel stawiał przed królem Nawarry potrawy, ten roześmiany, czarujący, pełen werwy i swobody gawędził: „Toż święto naszego ponownego spotkania; wielkie dzięki, Karolu, żeś mi pozwolił okazać przywiązanie, jakie do ciebie żywię; nudziłem się, odkąd oddaliłeś się ode mnie...” Przypominał mu ich uciechne igraszki podczas ubiegłej zimy i przymilne mieszczanki, o które grał w kości: komu blondynka, komu brunetka? „...ta Cassinel jest teraz w ciąży i nikt nie wątpi, że to twoja sprawka...” i od tego przechodził do serdecznych wymówek: „Ach! po co opowiedziałeś ojcu o wszystkich naszych zamierzeniach! Uzyskałeś w zamian księstwo Normandii, przyznaję, że dobrze zagrałeś. Ale przy mnie mógłbyś mieć teraz całe królestwo...”, a wreszcie mu szepnął podejmując starą śpiewkę: „Przyznaj, że byłbyś lepszym niżli on królem”.

Dowiadywał się mimochodem o przyszłe spotkanie Delfina z królem Janem, czy data już została wyznaczona, czy odbędzie się ono w Normandii. „Słyszałem gadki, że był na łowach w okolicach Gisors.”

Natomiast Delfin wobec Nawarczyka był bardziej powściągliwy i skryty niż ongiś: Oczywiście uprzejmy, lecz na baczności, na tyle żarliwości odpowiadał li tylko uśmiechem lub pochyleniem głowy.

Nagle rozległ się wielki trzask naczyń, który przygłuszył głosy

biesiadników. Mitton Swywolnić, małpując kucharzy i sam podając jedyne kosa na największym srebrnym półmisku, jaki zdołał znaleźć, wypuścił z rąk półmisek. I szeroko otwierając usta wskazał drzwi.

Zacni normandzcy rycerze, dobrze już podchmieleni, bawili się figlem, uważając go za nader ucieszny. Lecz natychmiast śmiech utkwiał im w gardle.

Bo w drzwiach pojawił się w pełnej zbroi marszałek d'Audreham, obnażony miecz trzymał skierowany ostrzem przed siebie i wołał do rycerzy niczym na polu bitwy: „Niech nikt się nie rusza, cokolwiek zobaczy, jeśli nie chce zginąć od tego miecza”.

Ach! Ale koleba już się zatrzymała... Tak, już przybyliśmy, wcale się nie spostrzegłem. Ciąg dalszy opowiem ci po wieczerzy.





## V

### Aresztowanie

Wielkie dzięki, wielebny opacie, jestem wam wdzięczny. Nie, nie, zapewniam was, że niczego nie potrzebuję... niech tylko podłożą do ognia kilka polan... Bratanek mi dotrzyma towarzystwa, muszę z nim porozmawiać. Tak, tak, wielebny opacie, dobrej nocy. Dzięki za modlitwy, które odmówicie za Ojca Świętego i za moją skromną osobę... tak, i całej waszej pobożnej wspólnoty... Cały zaszczyt dla mnie. Tak, błogosławię was; niech Bóg ma was w Swej świętej pieczy...

Uf, ten opat przytrzymałby nas aż do północy, gdybym mu na to pozwolił. Zapewne się urodził w dniu świętego Gaduły...

Na czym więc stanęliśmy? Nie chcę dopuścić, abyś usychał z ciekawości. Ach tak... marszałek ze wzniesionym mieczem...

A za marszałkiem pojawiło się dwunastu łuczników, którzy grubiańsko odepchnęli pod ściany podczaszych i pachółków, później zaś Lalemant i Perrinet Bawół i następując im na pięty, król Jan II we własnej osobie, w pełnej zbroi, w hełmie na głowie, a spod podniesionej przyłbicy oczy jego rzucały skry. Tuż za nimi szli Chaillousel i Crespi, dwaj inni sierzanci ze ścisłej straży.

- Jestem w potrzasku - wyrzekł Karol Nawarry.

Z drzwi wywalała się nadal królewska eskorta, wśród której rozpoznał kilku najgorszych swych wrogów: braci d'Artois, Tancarville'a...

Król podszedł wprost do głównego stołu. Normandzcy panowie drgnęli, by złożyć mu ukłon. Ruchem obu rąk przykazał im siedzieć.

Chwycił zięcia za futrzany kołnierz od jego szaty, potrząsnął nim i podniósł go krzycząc z czeluści swego hełmu:

- Podły zdrajco! Niegodnyś siedzieć obok mego syna. Na duszę mego ojca, nie pomyślę o napoju ni jadle, póki ty będziesz żył!

Giermek Karola Nawarry, Colin Doublel, widząc swego pana w takiej opresji, zamachnął się nożem do krajania, by ugodzić nim króla. Ale ruch jego uprzędził Perrinet Bawół, który wykręcił mu ramię.

Król puścił Nawarczyka i tracąc na chwilę pewność siebie, spojrzał ze zdziwieniem na zwykłego giermka, który ważył się podnieść nań rękę.

- Zabrać mi tego chłopca i jego pana także - rozkazał.

Świta królewska szparko wysunęła się naprzód. Pierwsi bracia d'Artois otoczyli Nawarczyka jakby leszczynę wciśniętą między dwa dęby. Zbrojni całkowicie wypełnili salę, umajone ściany były jakby naszpikowane włóczniami. Kuchcikowie chcieli zapaść się pod podłogę.

Delfin powstał i wyrzekł:

- Panie ojcze, miłościwy panie ojcze...

Karol Nawarry usiłował tłumaczyć się, bronić:

- Dostojny Panie, pojąć nie mogę! Kto wam o mnie tak nakłamał? Niech Bóg mnie wspomóż, przecież nigdy, darujcie, nie myślałem, aby zdradzić

was czy Dostojnego Waszego Syna. Jeśli ktokolwiek istnieje na świecie, kto by zechciał mnie oskarżyć, niech to uczyni wobec waszych parów, a przysięgam, że się oczyszczę z jego zarzutów i go pognębię.

Nawet w tak groźnej sytuacji mówił głosem wyraźnym, a słowa swobodnie płynęły mu z ust. Zaprawdę był bardzo mały, bardzo wątły wśród tych wojaków, ale nie zapomniał języka w gębie.

- Jestem królem, Dostojny Panie, mniejszego niż wasze królestwa, oczywiście, lecz zasługuję, by traktowano mnie jako króla.

- Jesteś hrabią d'Evreux, jesteś moim wasalem, a jesteś zdrajcą!

- Jestem wiernym wam kuzynem, mężem Pani Waszej Córki i nigdy nie popełniłem przestępstwa. Istotnie kazałem zabić Pana z Hiszpanii. Ale był moim wrogiem i mnie obraził. Pokajałem się. Pojednaliśmy się i wyście wszystkim wydali listy ułaskawiające...

- Do więzienia, zdrajco! Dość się zabawiałeś łgarstwem. Nuże, zamknąć go, zamknąć ich obu! - krzyknął król wskazując Nawarczyka i jego giermka. - A tego również - dodał pokazując rękawicą Wróbla z Fricamps, którego rozpoznał, a wiedział, że to on przygotował zamach w gospodzie „Pod Czmychającą Świnia”.

Kiedy sierżanci i łucznicy ciągnęli trzech mężczyzn do sąsiedniej komnaty, Delfin rzucił się do kolan króla. Jeśli go przeraził obłądny gniew króla, zachował dość przytomności umysłu, aby dostrzec następstwa choćby dla własnej osoby.

- Ach, Miłościwy Panie Ojczy, na litość boską, pozbawiacie mnie czci! Co o mnie powiedzą? Zaprosiłem króla Nawarry i jego baronów na biesiadę, a wy ich tak znieważacie. Powiedzą, że ich zdradziłem. Błagam was, na Boga, uspokójcie się i zmieńcie swe postanowienie.

- Sami uspokójcie się, Karolu! Nie znacie tego, co mnie wiadomo. To są podli zdrajcy, a ich przestępstwa wkrótce się ujawnią. Nie, wcale nie wiecie tego, co ja wiem.

Po czym nasz Jan II chwycił buławę jednego z sierżantów i zadał nią cios tak straszliwy hrabiemu d'Harcourt, że złamałby obojczyk każdemu nie tak jak ów tęgiemu.

- Wstawaj, zdrajco! Ty także pójdziesz do więzienia. Nie lada będziesz Chrystusem, jeśli mi się wymkniesz.

A ponieważ gruby d'Harcourt, oszołomiony, nie powstał dość szybko, król chwycił garścią białą jego szatę i rozerwał ją, aż trzasnęła cała odzież po koszulę.

Jan d'Harcourt, rozchełstany, popychany przez łuczników, mijając swego młodszego brata Ludwika, coś mu szepnął, czego nikt nie zrozumiał, ale na pewno coś złośliwego, na co tamten odpowiedział ruchem wieloznacznym... nie mogłem nic zrobić... jestem szambelanem króla... sam chciałeś. Tym gorzej dla ciebie.

- Panie ojczy - nalegał diuk Normandii - niedobrze czynicie, tak traktując tych mężnych rycerzy...

Ale Jan II już go nie słuchał. Wymieniał spojrzenia z Mikołajem Braque i Robertem de Lorris, ci w milczeniu wskazywali mu niektórych biesiadników.

- A tego do więzienia!... I tego też... - rozkazywał poszturchując pana de

Graville i uderzając kulakiem pana Maubue de Mainemares, dwóch rycerzy, którzy maczali palce w zabójstwie pięknego Hiszpana, ale już od dwóch lat mieli listy ułaskawiające własnoręcznie podpisane przez króla. Jak widzisz, była to nienawiść mocno zapieczona.

Mitton Swawolnić wdrapał się na kamienną ławę w okiennej wnęce i dawał swemu panu znaki wskazując półmiski postawione na kredensie, a później króla, po czym poruszał palcami przed swymi ustami... jeść...

- Mój ojciec - odezwał się Delfin - czy chcecie, by wam coś podano do zjedzenia? - Pomysł to był szczęśliwy, przeszkodził wysłaniu całej Normandii do ciemnicy.

- Na Boga, tak! Zaprawdę jestem głodny. Czy wiecie, Karolu, że wyjechałem hen, aż zza lasu Lyons i od świtu pędzę, by ukarać tych łotrów? Niech mi podają.

Ręką dał znak, by rozpięto mu rzemienie przy hełmie. Pojawiły się pozlepiane włosy, zaczerwieniona twarz, pot ściekał na brodę. Zasiadając na miejscu syna, już zapomniał o swej przysiędze, że nie tknie jadła ni napoju, póki zięć żyw.

Podczas gdy śpiesznie stawiano przed nim misy, gdy nalewano mu wino, gdy guzdrał się przy trochę napoczętym pasztecie ze szczupaka, gdy podawano mu łabędzia nienaruszonego i jeszcze ciepłego, nastąpiło zamieszanie w sali i na schodach między uprowadzanymi więźniami a pacholkami, którzy znów biegli do kuchni; skorzystali z tego panowie normandzcy, aby się wymknąć, między innymi pan de Cleres, który również należał do zabójców pięknego Hiszpana i w samą porę znikł. Ponieważ nie wyglądało, iż król chce kogoś aresztować, łucznicy pozwolili im przejść.

Głód i pragnienie ścisnęły trzewia również eskorcie. Jan d'Artois, Tancarville, sierzanci zerkali ku półmiskom. Czekali na gest króla, który by ich upoważnił do posilania się. Ponieważ ruch ten nie nastąpił, marszałek d'Audrehem wyrwał udko kapłonowi leżącemu na stole i począł stojąc zajadać. Ludwik Orleański wykrzywił ironicznie usta. Brat jego zaprawdę niewiele troszczył się o swe sługi. Usiadł na miejscu, które przed chwilą zajmował Nawarczyk, i wyrzekł:

- Obowiązek mi nakazuje dotrzymać wam towarzystwa, bracie.

Tedy król z łaskawą obojętnością raczył zezwolić, aby zasiedli krewniacy i baronowie. Wszyscy ochoczo zajęli miejsca za stołem przy poplamionych obrusach, aby dokończyć napoczętą biesiadę. Nikt się nie zatroskał o zmianę srebrnych misek, każdy chwycił, co miał pod ręką, ciasto na mleku przed smażoną kaczką, tłustą gąskę przed zupą ze ślimaków. Zajadano resztki wystygłego tłuszczu. Łucznicy opychali się chlebem czy też przemykali, by pożywić się w kuchniach. Sierzanci chleptali wino z pozostawionych kubków.

Krół rozkraczył nogi pod stołem, zatonął w złowrogim rozmyślaniu. Gniew jego nie zagaśł, a jadło, zda się, nawet go podsycało. Chociaż mógłby mieć pewne powody do zadowolenia. Wystąpił jako miłujący sprawiedliwość dobry król! Nareszcie odniósł zwycięstwo; czyn bohaterski każe zapisać skrybom na zgromadzeniu rycerzy Orderu Gwiazdy: „Jako to Miłościwy król Jan stawiał czoło zdrajcom, których pojmał w Gilowym

Zamku...” Nagle jakby się zadziwił, nie widząc już normandzkich rycerzy, i tym się zaniepokoił. Nie ufał im. Jeśli zorganizują bunt, podburzą miasto, uwolnią więźniów?... Tu ujawnił się cały charakter tego spryciarza. Najpierw powodowany długo trawioną wściekłością wybuchał na nic nie zważając; później poniechał dalszych działań, wreszcie puszczał wodze fantazji, w oderwaniu od rzeczywistości, a trudno go było wyrwać z własnych jego wyobrażeń. Teraz widział zbuntowane Rouen jak przed miesiącem Arras. Kazał wezwać mera. Lecz mistrz Mustel znikł. „Ależ był tu przed chwilą” - rzekł Mikołaj Braque. Przyłapano mera na zamkowym podwórku. Stawił się, sam poblady od wydarzeń przy biesiadzie, przed obżerającym się królem. Usłyszał rozkaz: zamknąć bramy miasta, ogłosić na ulicach, aby każdy pozostał w domu. Bezwzględny zakaz, aby ktokolwiek chodził po mieście, czy to mieszczanin, czy wieśniak. Był to stan oblężenia, godzina policyjna w biały dzień. Nieprzyjacielska armia, zdobywając miasto, inaczej by nie postąpiła.

Mustel miał odwagę okazać, iż jest tym dotknięty. Mieszkańcy Rouen nic takiego nie uczynili, co by usprawiedliwiało stosowanie takich rygorów... „Tak! odmówiliście płacenia daniny za namową tych nicponiów, których właśnie pokonałem. Lecz na świętego Dionizego, już nie będą was dłużej podburzać.”

Delfin widząc odchodzącego mera musiał ze smutkiem pomyśleć, że obróciły się wniwecz wszystkie jego żmudne wysiłki trwające już kilka miesięcy, by się pojednać z Normandami. Obecnie będzie miał wszystkich przeciw sobie: szlachtę i mieszczaństwo. Kto zaiste zdoła uwierzyć, że nie był współwinny tej zasadzki? Zaprawdę ojciec mu przydzielił nader niewdzięczną rolę.

Następnie król zażądał, by posłano po Wilhelma... ach! Wilhelma, jakże mu tam... wymknęło mi się z pamięci nazwisko, a przecie je znałem... zatem po króla rozpustników. I każdy pojął, że Jan II postanowił przystąpić do niezwłocznej egzekucji więźniów.

- Nie ma powodu, by darować życie temu, kto nie potrafił zachować cnót rycerskich - powiedział król.

- Na pewno tak, kuzynie Janie - przytwierdził Jan d'Artois, ów obraz głupoty.

Pytam cię, Archibaldzie, czy to po rycersku przyodziewać się w pełną zbroję, by pojmać bezbronnych ludzi, posługując się własnym synem jako przynętą? Niewątpliwie Nawarczyk miał na sumieniu dostatecznie wiele popełnionych łotrstw, ale czy król Jan pod wspaniałymi pozorami krył w duszy więcej czci rycerskiej?





## VI

### Przygotowania

**W**ilhelm a la Cauche... Już sobie przypomniałem! Nazwisko, którym zapomniał, króla rozpustników... Interesujący urząd powstały w wyniku zarządzeń Filipa Augusta. Król ów utworzył straż osobistą, zastęp złożony z sierzantów-olbrzymów, zwano ich *ribaldi regis* - rozpustnikami króla. Zmiana dopełniacza czy też gra słów spowodowała, że dowódca tej straży otrzymał tytuł: *rex ribaldorum* - król rozpustników. Z urzędu przewodzi sierzantom, takim jak Perrinet Bawół oraz jemu podobnym; w porze wieczery to on obchodzi pałac króla, aby sprawdzić, czy opuścili go ci wszyscy, którzy za dnia weszli, lecz nie powinni tam nocować. Ale przede wszystkim - chyba już ci o tym mówiłem - jest zobowiązany nadzorować podejrzanym domy w mieście, w którym król właśnie przebywa. Innymi słowy, w pierwszym rzędzie lustruje burdele i ustala w nich porządek. A w Paryżu jest ich niemało, nie mówiąc już o ladacznicach pracujących na własny rachunek na przydzielonych im ulicach. Tak samo nadzoruje domy gier hazardowych. We wszystkich tych spelunkach najłatwiej wyśledzić złodziei, rzezimieszków i płatnych zabójców, a także poznać ułomności ludzi nieraz na wysokich stanowiskach i o wyglądzie najzupełniej czcigodnym.

Tym sposobem król rozpustników został dowódcą policji nader osobliwego rodzaju. Wszędzie po trosze ma swoich szpiegów. Nadzoruje i utrzymuje cały karczemny motłoch, który mu dostarcza sprawozdań i wskazówek. Do niego należy się zwracać, jeśli chce się śledzić jakiegoś podróżnika, dowiedzieć się, z kim się on spotyka czy zbadać zawartość jego tobołka. Król rozpustników nie jest lubiany, lecz wzbudza lęk. Mówię ci o tym na wszelki wypadek, gdy się znajdziesz na dworze. Lepiej nie być z nim w złych stosunkach.

Wiele zarabia, bo urząd temu sprzyja. Nadzorowanie ladacznicy, kontrola spelunek przynoszą duży zysk. Oprócz pensji w gotówce i w naturze z dworu królewskiego, pobiera dwa soldy daniny tygodniowo od każdego burdelu i każdej w nich ladacznicy. Oto piękny podatek - nieprawdaż? - którego pobór nastęrcza mniej trudności niż opłata od beczki soli. Tak samo bierze pięć soldów od kobiet cudzołożnych... przynajmniej od tych, które są znane. Lecz jednocześnie właśnie on ściąga rozpustniczki na dworski użytek. Płaci mu się, by miał oczy otwarte, ale często się płaci, by je zamykał. Następnie, kiedy król jest na wyprawie, to on wykonuje wyroki królewskie lub sądu marszałkowskiego. Ustanawia porządek kaźni, a w tym wypadku do niego należy spuścizna po skazańcach - wszystko, co mieli na sobie w chwili aresztowania. Ponieważ zazwyczaj nie przestępca płotka, ale potężni i bogaci panowie wywołują gniew królewski, odzież i klejnoty, które po nich zbiera niebłaha mają wartość.

Dzień uczyty w Rouen był prawdziwą gratką. Za jednym zamachem



ścięcie głowy królowi i czterem wielmożom! Nigdy od czasów Filipa Augusta nie spotkało takie szczęście króla rozpustników. Nieporównywalna sposobność, aby król go docenił. Przeto nie szczędził trudu. Każdą to widowisko... Za pośrednictwem mera musiał znaleźć sześć wózków, ponieważ król żądał osobnego wózka dla każdego skazańca. Aby wydłużyć pochód. Na zamkowym podwórzu czekały wózki zaprzężone w perszerony o masywnych nogach. Musiał znaleźć kata... ponieważ w mieście kata nie było czy też chwilowo go nie opłacono, Król rozpustników musiał więc wyciągnąć z więzienia niecnego łajdaka zwanego Betrouve, Piotr Betrouve... a więc widzisz, że pamiętam to nazwisko, powiem ci dlaczego... miał on na sumieniu cztery morderstwa, co zda się było niezłą zaprawą do pracy, jaką miano mu powierzyć w zamian za list ułaskawiający wydany przez króla. Udało się temu Betrouve. Gdyby w mieście był kat...

Trzeba było także znaleźć księdza; lecz to mniej rzadki towar, nie zadano sobie trudu, by dokonać wyboru... pierwszy z brzegu kapucyn z najbliższego klasztoru.

Podczas tych przygotowań w uprzątniętej z grubsza biesiadnej sali król Jan przewodniczył małej radzie...

Stanowczo mamy słotną pogodę. Zaniósł się na cały dzień. Ba! mamy ciepłe futra, żar w naszych podgrzewaczach, konfekty, korzenne wino sił nam doda i ochroni przed wilgocią; starczy nam aż do Auxerre. Jestem bardzo rad, że znów zobaczę Auxerre, odświeży mi ono wspomnienia.

Król więc przewodniczył radzie, radzie, na której przemawiał prawie sam. Milczał jego brat z Orleanu, milczał syn z Anjou. Audrehem był posepny.

Król czytał wyraźnie w twarzach doradców, że nawet najbardziej skorzy do zguby króla Nawarry nie pochwalają, by ścięto go w ten sposób, bez procesu i jakby po kryjomu. Taki proceder nazbyt przypominał egzekucję Raula de Brienne, byłego konetabla, nakazaną w porywie gniewu i z nie wyjaśnionych nigdy powodów, co niepomyślnie wpłynęło na początek królewskich rządów.

Jedynie Robert de Lorris, pierwszy szambelan, jakby popierał monarchę w jego chęci niezwłocznej pomsty; lecz było to lizusostwo raczej niż przekonanie. De Lorris w ciągu kilku miesięcy był w niełasce, w oczach króla bowiem zbyt się zbliżył do stronnictwa nawarskiego podczas negocjacji w Mantes. Teraz musiał dowieść swej wierności.

Mikołaj Braque, spryciarz, umiejący kierować królem, usiłował odwrócić uwagę rozprawiając o Wróblu z Fricamps. Wypowiadał swój sąd, iż należy go na razie zachować przy życiu, a następnie poddać przesłuchaniu w należytej i prawnej formie. Niewątpliwie dowódca Caen, odpowiednio potraktowany, wydałby tajemnice nader interesujące. W jaki sposób poznać wszystkie rozgałęzienia spisku, jeśli się nie zachowa żadnego z więźniów?

- Tak, to rozsądny pomysł - rzekł król. - Zachować Wróbla.

Wtedy Audrehem otworzył okno i krzyknął na podwórze do króla rozpustników: „Pięć wózków starczy”. Rozkaz potwierdził szeroko rozstawiwszy palce: pięć. Przeto jeden wózek odesłano merowi.

- Jeśli rozsądnym jest zachować przy życiu pana Fricamps - odezwał się wtedy Delfin - jeszcze roztropniej byłoby zachować jego pana.

Gdy minęło pierwsze wzburzenie, odzyskał dawny spokój i równowagę. W sprawę tę uwikłany był jego honor. Na wszelkie sposoby usiłował ocalić szwagra. Jan II zażądał, by Jan d'Artois powtórzył wszystkim ku wiadomości, co wie o spisku. Lecz „kuzyn Jan” okazał się mniej pewny siebie w obliczu rady niż wobec samego króla. Wyszeptany do ucha donos nabiera pozorów całkowitej prawdy. Powtórzony na głos wobec dziesięciu osób traci na wadze. Mimo wszystko chodziło tylko o plotki. Były sługa widział... inny postąpił...

Jeśli diuk Normandii nawet w głębi duszy dawał wiarę złożonym oskarżeniom, poszlaki nie wydawały mu się dostatecznie uzasadnione.

- Zdaje mi się, że dosyć wiemy o moim podłym zięciu - rzekł król.

- Nie, ojcze, nic nie wiemy - odparł Delfin.

- Karolu, czyż aż tak jesteście uparci - powiedział król w złości. - Czyż nie słyszeliście, że ten niecny krewniak bez czci i wiary, ta szkodliwa bestia, chciał nas obu wkrótce zarżnąć, mnie, a później was? Bo i was chciał także zabić. Czy myślicie, że po mnie bylibyście wielką przeszkodą dla tego zacnego brata, który chciał niedawno was wyprawić do Niemiec na wojowanie ze mną? Bo ma chrapkę na nasze miejsce i nasz tron, ni mniej, ni więcej. Czyście tak w nim zadurzeni nadal, że odrzucacie moje wywody?

Lecz Delfin już nabrał pewności siebie i wyrzekł zdecydowany:

- Bardzo dobrze słyszałem, ojcze, lecz nie ma ani dowodu, ni zeznań.

- A jakiegoż dowodu wam trzeba, Karolu? Nie wystarcza wam słowo lojalnego kuzyna? Czy żeby zdobyć dowód czekacie, aż będziecie leżeć pławiąc się we własnej krwi, pokłuty jak mój biedny Karol Hiszpański?

Delfin upierał się:

- Są bardzo mocne poszlaki, ojcze, nie zaprzeczam, ale na razie nic ponadto. Domniemanie to nie zbrodnia.

- Domniemanie już jest zbrodnią w stosunku do króla, bo winien on siebie strzec - powiedział Jan II, zaczerwieniony po uszy. - Nie mówicie jak król, Karolu, ale jak kleryk z uniwersytetu z za sterty grubych ksiąg.

Lecz młody Karol dzielnie się trzymał:

- Jeśli winniśmy sobie strzec, my królowie, nie ścinajmy sobie wzajem głów. Karol d'Evreux został namaszczony i koronowany na króla Nawarry. Jest waszym zięciem, niewątpliwie zdrajcą, lecz waszym zięciem. Któż będzie szanował osobę króla, jeśli królowie siebie nawzajem katom posyłać będą?

- Nie powinien był zaczynać - wrzasnął król.

Wówczas wdał się marszałek Audrehem, by przedłożyć swe zdanie:

- Sire, w tych okolicznościach w oczach świata będzie wyglądało, że to wy rozpoczęliście.

Marszałkiem, Archibaldzie, tak samo jak konetabblem trudno jest kierować. Osadzasz go na wysokim stanowisku, a on nagle je wykorzystuje, by się tobie sprzeciwić. Audrehem to stary wojak... nie tak stary w gruncie rzeczy, młodszy ode mnie... ale w końcu to człowiek, który długo słuchał milcząco i widział wiele popełnianych głupstw, nie mogąc

rzec słówka. Teraz się odegrał.

- Gdybyśmy chociaż złapali wszystkie lisy w ten sam potrzask - ciągnął.  
- Ale Filip Nawarry jest wolny i również zawzięty. Ściąć starszego, młodszy go zastąpi; równie dobrze podburzy swoje stronnictwo i tak samo będzie prowadził rokowania z Anglikami. Zwłaszcza że jest lepszym rycerzem i dzielniejszym w boju.

Wówczas Delfina i marszałka poparł Ludwik Orleański przedkładając królowi, że dopóki będzie więził Nawarczyka, dopóty będzie trzymał w garści jego wasali.

- Rozkażcie wytoczyć przeciw niemu długi proces, ujawnijcie całą jego nikczemność, każcie, by go osadzili parowie królestwa, wówczas nikt wam nie wytknie waszego wyroku. Kiedy ojciec naszego kuzyna Jana popełnił wiadome przestępstwa, ojciec nasz nie postąpił inaczej, a potępił go na jawnym i uroczystym sądzie. Kiedy nasz stryjeczny dziad Filip Piękny wykrył wiarołomstwo synowych, choć szybko wydał wyrok, oparł go na przesłuchaniach i ogłosił na uroczystej audiencji.

Przemówienia te nie przypadły do smaku królowi Janowi, który ponownie się uniósł:

- Co za piękne i pouczające przykłady dostarczacie mi, bracie! Wielki sąd w Maubuisson zniesławił ród królewski i wprowadził weń zamęt. Roberta d'Artois zaś - choć może to sprawić przykrość kuzynowi Janowi - skazano tylko na banicję, zamiast go pojmać i ściąć, a on sprowadził na nas wojnę z Anglią.

Pan na Orleanie niezbyt miłuje starszego brata i lubi stawić mu czoło, przeto miał mu odpowiedzieć... zapewniano mnie, że tak odpowiedział:

- Panie bracie, czy mam wam przypomnieć, że Maubuisson nie najgorzej nam się przysłużyło? Gdyby nie Maubuisson, gdzie świętej pamięci dziad nasz Valois odegrał swą rolę, niewątpliwie kuzyn z Nawarry zasiadłby teraz zamiast was na tronie. Co zaś do wojny z Anglią, hrabia Robert może i do niej skłonił, lecz dostarczył tylko jednej włóczni, własnej. Wojna z Anglią zaś trwa od osiemnastu lat...

Napaść ta zachwiała królem. Obrócił się do Delfina i spojrzał nań surowo mówiąc:

- To prawda, osiemnaście lat; akurat wasze lata, Karolu - jakby miał żal do niego za ten zbieg okoliczności.

Po czym Audrehem burknął:

- Łatwiej by nam było wyprzeć Anglika z naszego kraju, gdybyśmy, my Francuzi, wciąż ze sobą nie walczyli.

Król, bardzo rozgniewany, przez chwilę milczał. Należy być bardzo pewnym swego, by utrzymać własną decyzję, kiedy nikt z podwładnych jej nie pochwała. Po tym można osądzić charakter władcy. Ale król Jan nie jest stanowczy, jest uparty.

Mikołaj Braque, nauczywszy się na radach wykorzystywać milczenie, wskazał królowi furtkę wyjścia, która zarazem oszczędzała jego dumę i nie naruszała urazy.

- Miłościwy Panie, czy śmierć natychmiastowa to nie za krótka pokuta? Oto przeszło dwa lata Pan Nawarry sprawia wam zmartwienia. A was by zadowolili tak krótka kara? Więząc go w ciemnicy, możecie sprawić, by

czuł, że umiera każdego dnia. Poza tym ręczę, że jego zwolennicy nie omieszkają podjąć starania, by go uwolnić. Wówczas zdołacie pojmać tych wszystkich, którzy dziś kpią z waszych sideł. I będziecie mieli słuszny powód do stłumienia sprawiedliwym wyrokiem tak jawnej rebelii.

Król poszedł za tą radą, mówiąc, że istotnie zdrajca-zięć zasłużył na dłuższą pokutę.

- Odkładam egzekucję. Obym tego nie pożałował. Lecz teraz śpiesznie karzmy pozostałych. Dość już słów, za wiele straciliśmy czasu.

Zda się obawiał, czy nie utraci jeszcze jednej głowy.

Audrehem wezwał przez okno króla rozpustników i pokazał mu cztery palce. Jednak nie będąc pewny, czy ów go właściwie zrozumiał, wysłał łucznika, aby mu ustnie przekazał ten rozkaz.

- Pośpieszać! - powtarzał król. - Uwolnić tych zdrajców.

Uwolnić... zaiste dziwne słowo, które może zaskoczyć ludzi nie znających tego dziwnego księcia! Zwykle w taki sposób nakazuje egzekucję. Nie mówi: „Uwolnić nas od tych zdrajców”, co miałyby sens, lecz „uwolnić zdrajców” co dlań oznacza: Uwolnić od śmierci? Uwolnić od życia? Czy po prostu zwykle przejęzyczenie, przy którym się upiera, ponieważ w gniewie myśli mu się płaczą i przestaje kontrolować słowa?

Opowiadam ci to wszystko, Archibaldzie, jakbym tam był. Otóż w lipcu, w trzy miesiące po tym zajściu, kiedy pamięć była jeszcze świeża, opowiadali mi tę historię Audrehem i Pan na Orleanie, i sam Dostojny Delfin, a także Mikołaj Braque. Każdy oczywiście wspominał to, co sam powiedział. Tym sposobem odtworzyłem, sądę, że dość bezstronnie i dokładnie, całą tę sprawę, a opisałem ją papieżowi, do którego dotarły wersje nieco krótsze i nieco rozbieżne. Szczegóły w tego rodzaju historiach mają więcej znaczenia, niż się sądzi, bo informują o ludzkich charakterach. Lorris i Braque obaj są nader łasi na pieniądze i nieuczciwi w swej zaciętej chciwości, by je zdobyć, lecz Lorris ma charakter marny, a Braque jest politykiem rozważnym.

Wciąż pada... Brunet, gdzie jesteście? Fontenoy... Ach! przypominam sobie, należało do mojej diecezji. Tu się odbyła ta słynna bitwa, która za sobą pociągnęła tak wielkie konsekwencje dla Francji; Fontanetum - dawna nazwa. Około roku 840 czy 841 Karol i Ludwik Niemiecki pokonali tu własnego brata Lotara, po czym podpisali traktat w Verdun. Odtąd królestwo Francji na zawsze się odłączyło od Cesarstwa... Przy tym deszczu nic nie widać. Zresztą nie ma nic do zobaczenia. Od czasu do czasu wieśniak orząc znajdzie głownię miecza, stary przeżarty rdzą hełm sprzed pięciuset lat... Jedźmy dalej, Brunet, jedźmy.





## VII

### Pole Przebaczenia

**K**ról ponownie w hełmie na głowie, na koniach jedynie on i marszałek, który przywdział zwykłą misiurkę. Nie groziło mu tak wielkie niebezpieczeństwo, aby musiał stroić się jak do bitwy. Audrehem nie należy do ludzi, którzy popisują się wojennym rynsztunkiem, gdy nie zachodzi potrzeba. Jeśli podoba się królowi prezentować hełm z koroną, kiedy ma asystować przy ścięciu czterech głów, to jego sprawa.

Cała reszta orszaku, począwszy od najznamienitszego wielmoży po ostatniego łucznika, miała iść pieszo aż na miejsce kaźni. Król tak postanowił, bo traci on wiele czasu na drobiazgowo ustalanie porządku na paradach, lub wprowadzać zmiany, zamiast pozwolić, by postępowano wedle przyjętych zwyczajów.

Były tylko trzy wózki, gdyż nie pojęto odwołanych rozkazów i odesłano o jeden wózek za wiele.

Tuż przy królu stał Wilhelm... nie, to nie był Wilhelm a la Cauche, spletałem nazwiska. Wilhelm a la Cuche to pokojowiec, ale nazwisko podobne... la Gauche, la Tanche, la Planche... Nawet nie pamiętam, czy miał na imię Wilhelm, zresztą to nie ma znaczenia. Więc stali: król rozpustników i przygodny kat, blady jak chusta na skutek pobytu w ciemnicy, chudzielec - tak mi opowiadano - i wcale nie wyglądający, jak można było oczekiwać, na łotra winnego czterem morderstwom, a następnie kapucyn, kręcący - wedle ich zwyczaju - konopnym sznurem.

Z baszty wyszli skazańcy, głowy mieli obnażone, ręce z tyłu skrępowane. Pierwszy szedł hrabia d'Harcourt w białej sukni, którą król rozerwał aż po rękaw wraz z koszulą. Widniało różowe ramię, różowe jak świńska skóra, a także tłusta pierś. W kącie podwórca kończono ostrzyć o kamień topory.

Nikt nie patrzył na skazańców, nikt nie śmiał na nich spojrzeć. Każdy wbił wzrok w bruk albo w mury. Kto by się ważył pod okiem króla rzucić przyjazne lub tylko współczujące spojrzenie na tych czterech idących na śmierć? Nawet ci, co stali w ostatnich szeregach, pospuszczali nosy ze strachu, aby sąsiedzi nie mogli powiedzieć, co wyczytali w ich twarzach. Wielu ganiłoby króla, ale żeby to okazać... Wielu z nich było w zażyłej komitywie z hrabią d'Harcourt, kruszyło z nim kopie, jeździło na łowy, jadało w jego domu przy obficie zastawionym stole. Na razie nikt, zda się, o tym nie pamiętał, bardziej wzrok przyciągały dachy zamkowe czy kwietniowe obłoki. Przeto Jan d'Harcourt, rozglądając się spod pofałdowanych tłuszczem powiek, nie mógł znaleźć ani jednej twarzy, której by mógł zawierzyć swe nieszczęście. Nawet bratu, zwłaszcza bratu! Panno Święta! Gdy starszy brat zostanie skrócony o głowę, co król postanowi zrobić z jego tytułami i całym majątkiem.

Kazano wsiąść do pierwszego wózka człowiekowi, który na razie był

jeszcze hrabią d'Harcourt. Nie obyło się bez trudu. Półtora kwintala i związane ręce. Potrzeba było czterech sierzantów, aby go wesprzeć i podsadzić. Na wózku leżała słoma i stał pień.

Jan d'Harcourt, wysoko usadowiony, rozchelstany, obrócił się ku królowi, jakby chciał mu coś powiedzieć. Król, znieruchomiały na siodle, przyodziany w kolczugę, uwieńczony stalą i złotem, król, sprawiedliwy sędzia, pragnął okazać, iż życie każdej w królestwie istoty zależy od jego zarządzenia, że nawet najbogatszy w prowincji wielmoża w jednej chwili przestanie istnieć, jeśli taka będzie królewska wola. I d'Harcourt nie wyrzekł słowa.

Pana de Graville wsadzono do drugiego wózka, a do trzeciego kazano się wdrapać panu Maubue de Mainemares i Colinowi Doublel, giermkowi, który targnął się z nożem na króla. Colin zdawał się mówić każdemu wokoło: „Wspomnij zabójstwo Pana z Hiszpanii, wspomnij gospodę «Pod Czmychającą Świnia»“. Wszyscy obecni bowiem pojmowali, że wyjąwszy pana d'Harcourt, pomsta była motywem krótkiego i wielce pokrętnego wyroku na trzech pozostałych. Karać ludzi, których się publicznie ułaskawiło... Aby tak postąpić należałoby wysunąć nowe i jawne zarzuty. Cały ten sąd zasługiwał na jak najsurowszą naganę ze strony papieża, gdyby papież nie był taki słaby...

W baszcie złośliwie popchnięto jak najbliżej okna króla Nawarry, aby nic nie stracił z widowiska.

Wilhelm, który nie nazywał się La Cauche, obrócił się ku marszałkowi d'Audrehem... wszystko gotowe. Marszałek obrócił się ku królowi... wszystko gotowe. Król dłonią dał znak. Pochód ruszył.

Na czele drużyna łuczników w żelaznych kapeluszach i skórzanych kubrakach szła krokiem ociężałym od grubych nagolenników. Następnie, konno, marszałek wyraźnie w złym humorze. Dalej znów łucznicy. A potem trzy wózki. Za nimi król rozpustników, chuderlawy kat i zarosły brudem kapucyn.

A później król otoczony sierzantami z osobistej straży i wreszcie cała procesja panów w kapturach lub myśliwskich kapeluszach, w futrach albo rycerskich wierzchnich sukniach.

Opustoszałe miasto milczy. Mieszkańcy Rouen przezornie usłuchali rozkazu królewskiego, aby pozostać w domu. Lecz głowy skupiają się za zielonawymi szybkami wydętymi jak dna butelek. Zza uchylonych okien, pociągniętych ołowiem w kwadraciki, wyzierają ciekawe oczy. Mieszczanie nie mogą uwierzyć, że widzą w wózku hrabiego d'Harcourt, przecie jeszcze dziś rano oglądali go we wspaniałym pojeździe, jadącego ulicą. Jednakże wyraźnie nań wskazuje jego tusza... „To on, mówię ci, że to on.” Nie mają wątpliwości co do króla, hełm jego sięga niemal pierwszego piętra. Długo był ich diukiem... „To on, to na pewno król.” Ale nie doznaliby większego lęku, gdyby zobaczyli pod przyłbicą hełmu czaszkę kościotrupa. Niezadowoleni byli mieszkańcy Rouen, przerażeni, lecz niezadowoleni. Bo hrabia d'Harcourt zawsze ich popierał i bardzo go kochali. Przeto szeptali: „Nie, to nie jest sprawiedliwość. W nas godzi ten wyrok.”

Trzęsły się wózki. Słoma wyślizgiwała się spod nóg skazańców, którzy z

trudem zachowywali równowagę. Mówiono mi, że podczas całej jazdy głowa Jana d'Harcourt zwisała odchylona, a włosy rozdzieliły się na karku z grubą fałdą. Co mógł myśleć taki jak on człowiek, jadący na kaźń i wpatrzony w obłoki sunące między szczytami domów. Rozważam zawsze, co w takich ostatnich chwilach może dziać się w głowie skazanego na śmierć... Czy żałuje, że nie dość podziwiał całe piękno, jakie Bóg dzień w dzień podsuwa nam przed oczy? Czy też myśli o bezsensie tego wszystkiego, co nam przeszkadza korzystać z jego dobrodziejstw? Wczoraj rozprawiał o daninach i podatku od beczki soli... Czy też rozważał, jak bardzo nie przemyślane było jego postępowanie. Był bowiem uprzedzony, uprzedził go stryj Gotfryd: „Wracaj natychmiast...” Gotfryd d'Harcourt wcześniej zwęszył potrzask... „Ta uczta w czasie postu trąci zasadzką”. Gdybyż tylko jego posłaniec przybył chwilę wcześniej, gdyby Robert Lorris nie stanął u stóp schodów... gdyby... gdyby... Lecz nie los zawinił, ale on sam. Wystarczyło, by skrewił Delfinowi, wystarczyło by nie szukał niesłusznych racji, żeby ulec łakomstwu. „Wyjadę po uczcie, to będzie to samo...”

Widzisz, Archibaldzie, wielkie nieszczęścia spotykają często ludzi z powodu błahych przyczyn, z powodu mylnego osądu albo decyzji powziętych w okolicznościach, zda się, bez znaczenia, albo gdy człowiek ulega swym słabostkom. Błahostka zaważyła na decyzji, i już katastrofa.

Ach! jak by łaknęli mieć władzę, wymazać swe czyny, cofnąć się aż do czasu, gdy obierali mylną drogę. Jan d'Harcourt odtrąca Roberta de Lorris i krzyczy do niego: „Żegnajcie, panie”. Dosiada swego tęgiego konia i wszystko dzieje się inaczej. Odnajduje stryja, wraca do swego zamku, spotyka swą żonę oraz dziewięcioro dzieci i przez resztę życia pochlebia sobie, że wymknął się podstępnie królowi spod miecza... Chyba że, chyba że byłby to dzień wyznaczony przez los i odjeżdżając rozbiłby sobie głowę o konar w lesie. Spróbujże przeniknąć wolę Boga! Nie trzeba jednak zapominać, że ten niecny wyrok w końcu zatarł w pamięci to... że d'Harcourt istotnie spiskował przeciw koronie. Król Jan nie był więc bohaterem dnia, a Bóg w zanadrzu chował dla Francji dalsze klęski, których narzędziem będzie sam król.

Pochód wspiał się na zbocze wiodące ku szubienicy i w pół drogi przystanął na wielkim placu otoczonym niskimi domami, na którym co jesień odbywał się jarmark koński. Plac ten zwano Polem Przebaczenia. Tak, miał taką nazwę. Po obu stronach drogi wiodącej przez plac zbrojni stanęli w dwu szeregach oddalonych od siebie o długość trzech włóczy.

Król, wciąż na koniu, stał pośrodku tych szeregów o rzut kamieniem od pnia, który sierzanci wytoczyli z pierwszego wózka i szukali równego gruntu.

Marszałek d'Audrehem zsiadł z konia, a nad świtą górowały głowy obu braci d'Artois... co mogli myśleć ci dwaj? Starszy ponosił główną odpowiedzialność za tę egzekucję. Och! nie myśleli o niczym... „mój kuzyn Jan, mój kuzyn Jan”. Orszak ustawił się półkolem. Spoglądano na Ludwika d'Harcourt, ani drgnął, gdy wyprowadzono z wózka jego brata.

W nieskończoność ciągnęły się przygotowania do egzekucji wyznaczonej na jarmarcznym placu. Wokół zza okien patrzyło mnóstwo

oczu.

Delfin-diuk, w kapturze naszywanym perłami, dreptał wraz z młodym stryjem z Orleanu; szedł kilka kroków, zawracał, znów odchodził, jakby chciał od siebie odpędzić przykrą myśl. Naraz gruby hrabia d'Harcourt zwrócił się do niego, do niego i do Audrehema, krzycząc ze wszystkich sił:

- Na Boga, panie diuku, i wy, szlachetny marszałku, sprawcie, bym mógł przemówić do króla, potrafię uniewinnić się, opowiem mu o takich sprawach, z których wyciągnie korzyści dla królestwa.

Nie ma nikogo, kto słysząc to wołanie, nie odczułby, że serce mu pęka od tego głosu, krzyku ostatecznej rozpaczy, a zarazem przekleństwa.

Diuk i marszałek jednocześnie podeszli do króla, który przecie równie dobrze, jak oni, mógł usłyszeć. Niemal dotknęli jego konia:

- Na Boga, panie ojczy, pozwólcie, niech wam powie!

- Tak. Sire, niech wam powie, tylko na dobre wam wyjdzie - nalega marszałek.

Ale Jan II jest naśladowcą. W sprawach rycerskich naśladuje swego dziada Karola de Valois albo legendarnego króla Artura. Dowiedział się, że Filip Piękny był niezłomny, kiedy nakazał wykonanie wyroku. Więc naśladuje, wiemy, że naśladuje króla z żelaza. Ale Filip Piękny nie wkładał hełmu, gdy nie zachodziła potrzeba. I nie skazywał na prawo i na lewo, opierając swój wyrok na trawionej w głębi nienawiści.

- Każcie wydać tych zdrajców - powtarza przez uchyloną przyłbicę Jan II.

Ach! musi odczuwać swój majestat, musi odczuwać, że jest wszechwładny. Królestwo i potomne wieki będą wspominać jego surowość. Przede wszystkim stracił wspaniałą sposobność, by rozważyć swe postanowienie.

- A zatem spowiadajmy się - wyrzekł wtedy hrabia d'Harcourt obracając się ku brudnemu kapucynowi.

Zaś król Jan zakrzyknął:

- Nie ma spowiedzi dla zdrajców!

Tu już nie naśladuje, tu już tworzy. Traktuje zbrodnię... ale jaką właściwie zbrodnię? Poszlaki o zbrodnię, zbrodnię, że padło kilka niegodnych słów następnie powtórzonych... powiedzmy zbrodnię obrazy majestatu... jako zbrodnię heretyków czy odszczepieńców. Bo Jan II został namaszczonej, nieprawdaż? *Tu es sacerdos in aeternum...*<sup>2</sup> Więc ma się za Boga we własnej osobie i stanowi o miejscu dusz po śmierci. Za to również Ojciec Święty powinien by, moim zdaniem, udzielić mu surowej nagany.

- Ten tylko, giermek... - dorzuca wskazując na Colina Doublel.

Spróbujcie się dowiedzieć, co się dzieje w tym mózgu dziurawym niczym ser? Po co ta dyskryminacja? Dlaczego pozwala wyspowiadać się giermkowi-krajczemu, który się z nożem na niego targnął? Ci, którzy byli przytomni egzekucji, dziś jeszcze rozmawiając między sobą, rozważają to dziwne postępowanie króla. Czy chciał ustalić stopień winy zależnie od szczebla feudalnej hierarchii, zaznaczyć, że giermek, który popełnił przestępstwo, jest mniej winny niżli rycerz? Czy też dlatego, że nóż skierowany w jego pierś kazał mu zapomnieć, że Colin Doublel był także

---

<sup>2</sup> Jesteś kapłanem po wieczne czasy.



jednym z zabójców Karola Hiszpańskiego, jak Mainemares i Graville; wielki i wychudły Mainemares szamoce się w więzach i toczy wokół oszalałym wzrokiem.

Graville nie może się przeżegnać, ale bardzo wyraźnie szeptem modlitwy... jeśli Bóg zechce wysłuchać jego skruchy, wysłucha go i bez pośrednika.

Kapucyn poczyna rozważać, co on ma tu do roboty, łapie pozostawioną mu duszę i szeptem po łacinie do ucha Colinowi Doublel.

Król rozpustników popycha przed pień hrabiego d'Harcourt:

- Klękajcie, panie.

Tęgi mężczyzna pada jak wór. Porusza kolanami niewątpliwie dlatego, że rani go żwir. Król rozpustników staje za nim i zniemacka zawiązuje mu oczy, pozbawiając go widoków sęków w drzewie, ostatek na ziemi rzeczy, jaką ma przed oczyma.

Innym raczej powinien by założyć opaski, aby im oszczędzić widowiska, jakie za chwilę nastąpi.

Król rozpustników... ciekawe jednakże, że nie mogę sobie przypomnieć jego imienia; kilkakrotnie widywałem go przy królu; bardzo dobrze pamiętam, jak wyglądał, wysoki i silny drab o gęstej czarnej brodzie... król rozpustników oburącz ujmuje głowę skazańca niby jakiś przedmiot, aby ją położył jak należy; rozgarnia włosy, aby całkowicie obnażyć kark.

Hrabia d'Harcourt wierci się nadal na kolanach z powodu żwiru.

- Nuże, tnij! - mówi król rozpustników.

A widzi on i wszyscy wokół widzą, że kat drży. Wciąż waży w dłoniach wielki topór, przekłada dłonie na rękojeści, szuka właściwej odległości od pnia. Boi się. Och! czułby się pewniej, mając sztylet w jakimś ciemnym zaułku. Lecz topór w ręku tego chudzielca, i to w obecności króla i wszystkich tych jaśniepanów, i wszystkich tych żołnierzy! Po kilku miesiącach więzienia nie czuje, aby miał krzepkie mięśnie, nawet jeśli mu dali pożywną zupę i kubek wina na wzmocnienie. Następnie zaś nie nałożono mu na głowę kaptura z otworami na oczy, jak to się zwykle czyni, ponieważ nie było go pod ręką. Tym sposobem wszyscy się dowiedzą, kto był katem. Zbrodniarz i kat. Obrzydzenie i postrach dla wszystkich. Wiadomo, co się działo w głowie także i tego Betrouve'a, który zdobędzie wolność popełniając ten sam czyn, za który wtrącono go do więzienia. Widział głowę, którą miał uciąć, na tym samym miejscu, gdzie nieco później znalazłaby się jego własna, gdyby król nie zjechał do Rouen. Może ten łotr miał więcej miłosierdzia, więcej poczucia wspólnoty, bliższą więź z bliźnim niżli sam król.

- Tnij! - musiał powtórzyć król rozpustników.

Betrouve uniósł topór, lecz nie ponad swą głowę jak kat, lecz jak drwal, który ma ściąć drzewo, i dopuścił, by topór opadł własnym ciężarem. Nie trafił.

Są kaci, którzy ścinają głowę od razu, jednym, celnym ciosem. Ale nie ten, o nie! Hrabia d'Harcourt musiał być ogłuszony, bo nie poruszał już kolanami, ale jeszcze żył, bo topór uwiązał w warstwie tłuszczu, okrywającej mu kark.

Trzeba było rozpocząć od nowa. Jeszcze gorzej. Tym razem żelazo

drasnęło tylko z boku kark. Krew trysnęła z szeroko otwartej rany, w której widniał pokład żółtego tłuszczu. Betrouve szamotał się z toporem, który utkwiał w pniu, i nie mógł go stamtąd wydobyć. Pot mu ściekał po twarzy.

Król rozpustników, z miną niby proszącą o przebaczenie, zwrócił się w stronę króla, jakby chciał rzec: „Nie moja to wina”.

Betrouve wpada w rozdrażnienie, nie słyszy, co doń mówią sierżanci, znów uderza; każdy by sądził, iż ostrze zagłębia się w bryłę masła. Raz po raz! Krew ścieka z pnia, tryska pod ostrzem, plami porwany strój skazańca. Obecni odwracają się, mają mdłości. Na twarzy Delfina widnieje groza i gniew; zaciska pięści, co powoduje, że prawa ręka staje się całkiem fioletowa. Ludwik d’Harcourt, bardzo blady, zmusza się, by stać w pierwszym rzędzie w obliczu masakrowanego brata. Marszałek odsuwa się, by nie wdepnąć w krew, która krętą strugą ścieka ku niemu.

Nareszcie, po szóstym razie, wielka głowa hrabiego d’Harcourt odłącza się od tułowia i owiązana czarną opaską stacza z pnia.

Król ani drgnął. Spod uchylonej przyłbicy przypatruje się, nie objawiając zmieszania, obrzydzenia ani złego samopoczucia na widok tej krwawej miazgi między olbrzymimi ramionami akurat naprzeciw niego i tej odciętej poplamionej głowy pośrodku lepkiej kałuży. Jeśli coś pojawiło się na tej twarzy otoczonej metalem, to był jedynie uśmiech. Z chrzęstem żelastwa upadł jakiś łucznik. Dopiero wówczas król raczył odwrócić wzrok. Ten cherlak nie popasie długo w jego straży. Perrinet Bawół odprężył się podnosząc za kołnierz łucznika i policzkując z całym rozmachem. Ale cherlak oddał przysługę swym omdleniem. Wszyscy się trochę opanowali, odezwały się nawet szydercze śmiechy.

Potrzeba było aż trzech mężczyzn, by odciągnąć zwłoki ściętego. „Na suche miejsce, na suche” - krzyczał król rozpustników. Nie zapominajmy, że odzież przypadała mu z tytułu prawa. Wystarczy, że była podarta, gdyby ponadto była zbyt poplamiona, nic za nią nie dostałby. Już było i tak o dwóch skazańców mniej, niż przypuszczał...

Po czym napominał spoconego i zdyszanego kata, udzielał mu rad niczym zapaśnikowi, który opadł z sił: „Podnosisz wprost nad swoją głową, nie patrzysz na topór, patrzysz, gdzie masz uderzyć, w pół karku. I hop!” I każe rozesłać słomę wokół pnia, zawiązuje oczy panu de Graville, poczciwemu Normandowi, raczej zażywnemu, każe mu uklęknąć i kładzie głowę w krwawej miazdze: „Tnij”. Tu, jednym ciosem... o dziwo... Betrouve odcina mu szyję; głowa stacza się w przód, całe zaś ciało zwala się na bok, czerwoną strugą zraszając ziemię. Ludzie czują jakby ulgę. Mało brakuje, a składaliby gratulacje Betrouve’owi, ten zaś osłupiały rozgląda się, jakby pytając, w jaki sposób mu się tak udało.

Przychodzi kolej na wielkiego wykrzywionego pana Maubue de Mainemares, który rzuca królowi wyzywające spojrzenie: „Każdy wie... każdy wie...”, woła. Lecz przed nim stoi brodacz i nakłada mu opaskę, która tłumi głos, przeto nikt nie pojął, co ów chciał wypowiedzieć.

Marszałek odsuwa się jeszcze dalej, bo krew płynie ku jego butom... „Tnij!” Znów cios toporem, jedyny, dobrze wymierzony. I dosyć.

Ciało pana de Mainemares pacholkowo odciągają ku dwóm pozostałym. Rozwiązują im ręce, by łatwiej ująć za kończyny, i rozkołysawszy, hop,

rzucają na pierwszy wózek, który je dowiezie aż do szubienicy, aby potem je zawiesić nad rowem ze zwłokami. Tam na górze zdejmują z nich odzież, król rozpustników daje znak, żeby zgarnąć także głowy.

Betrouve wsparty o rękojeść topora nabiera tchu. Bola go krzyże; już nie ma sił. Mało brakuje, a ludzie litowaliby się nad nim. Ach! dobrze zarobił na swój list ułaskawiający! Nie trzeba mu będzie się dziwić, jeśli aż do końca swych dni śnił koszmary i krzyczał przez sen.

Colin Doublel, odważny giermek, był wzburzony, choć otrzymał rozgrzeszenie. Zrobił ruch, jakby chciał uwolnić się od rąk popychających go w kierunku pnia; sam chciał iść. Lecz opaskę nakłada się w tym celu, aby tego właśnie uniknąć, uniknąć bezładnych ruchów skazańca.

Jednakowoż nie można było przeszkodzić, by Doublel nie podniósł głowy w niewłaściwej chwili i by Betrouve... zaiste nie było to z jego winy... nie otwarł ukosem czaszki. Dalejże, jeszcze jeden cios. Oto już koniec.

Ach! mieszkańcy Rouen spoglądający zza otaczających plac okien będą mieli co opowiadać! Wieść się poniesie z grodu do grodu aż w głąb księstwa. Zewsząd przybędą ludzie, by oglądać ten plac, który tak nasiąkł krwią. Nikt by nie uwierzył, że cztery ludzkie ciała mogą jej tyle zawierać i że tak wielkie piętno pozostawi na ziemi.

Z osobliwym ukontentowaniem król Jan spogląda na swe otoczenie. Groza, jaką w tej chwili wzbudza, nawet w swych najwierniejszych sługach, zda się nie sprawiać mu przykrości; jest nader z siebie dumny. Przede wszystkim patrzy na swego najstarszego syna... „Oto, chłopcze, jak należy postępować, skoro jest się królem...”

Kto śmiałyby mu powiedzieć, że pobłądził ulegając swej mściwej naturze? Również i on się znalazł w tym dniu na rozwidleniu dróg. Droga na prawo czy na lewo. Jak hrabia d'Harcourt u stóp schodów poszedł w złym kierunku. Po sześciu latach uciążliwego panowania, pełnego zamieszek, trudności i zmiennych losów, dał królestwu, aż nazbyt skłonnemu go naśladować, przykład nienawiści i gwałtu. Nie minie sześć miesięcy, a zstąpi na drogę prawdziwych nieszczęść, a wraz z nim i Francja.





## CZĘŚĆ TRZECIA

# Stracona wiosna



### I

## Pies i lisek

Ach! wielcem rad, zaprawdę bardzo rad, że znów zobaczyłem Auxerre. Nie myślałem, że Bóg mi udzieli tej łaski ani że będę się nią tak delectował. Widok stron, gdzie się kiedyś mieszkało w okresie młodości, szczerze wzrusza serce. Zaznasz tego uczucia, Archibaldzie, gdy ci lata zacieją na karku. Jeśli wówczas ci się zdarzy mijać Auxerre, a dożyjesz mych lat... oby Bóg raczył zachować cię przy życiu po ten wiek... wówczas powiesz: „Byłem tu z moim stryjem kardynałem, który tu biskupował, była to druga jego diecezja, nim otrzymał kapelusz kardynalski... Towarzyszyłem mu do Metz, dokąd zdążył na spotkanie z Cesarzem...”

Trzy lata tu spędziłem, trzy lata... O! nie sądz, iż żałuję tych czasów, odczuwałem większą radość życia, kiedy byłem biskupem Auxerre, niżli dzisiaj. Wyznam ci prawdę, niecierpliwiłem się, by stąd wyjechać. Zerkąłem w stronę Awinionu, choć wiedziałem, że jestem za młody, ale ostatecznie czułem, że Bóg mnie obdarzył i charakterem, i zaletami umysłu, które mogą Mu posłużyć na papieskim dworze. Aby się nauczyć cierpliwości, pogłębiałem mą wiedzę astrologiczną, i właśnie doskonałość w tej dziedzinie skłoniła mego dobroczyńcę Jana XXII do ofiarowania mi kapelusza, choć miałem zaledwie trzynaście lat. Lecz o tym już ci opowiadałem... Ach, bratanku, mając do czynienia z człowiekiem, który dużo przeżył, należy przywyknąć do wysłuchiwania wiele razy tych samych rzeczy. Nie dlatego, byśmy mieli rozmiękczenie mózgu na stare lata, ale dlatego że głowa pełna jest wspomnień, które budzą się w przeróżnych okolicznościach. Młodość wypełnia czas snując obrazy przyszłości, starość odtwarza czas za pomocą pamięci. To się wyrównuje. Nie, nie żałuję. Gdy porównam, kim byłem, a kim jestem, mogę tylko chwalić Pana, a trochę i siebie, zachowując należyłą skromność. Po prostu to czas, który spłynął z ręki Bożej i nie będzie istniał, skoro przestanę go wspominać. Poza Zmartwychwstaniem, kiedy w okamgnieniu staną nam przed oczyma wszystkie minione chwile. Ale to przekracza moje pojmowanie. Wierzę w Zmartwychwstanie, nauczam w nie wiary, lecz nie

potrafię go sobie wyobrazić, i powiadam, że zarozumialcami są ci wszyscy, co w Zmartwychwstanie powątpiewają... ależ tak, ależ tak, więcej jest takich ludzi, niż sądzisz... ponieważ są ułomni i nie mogą go sobie wyobrazić. Człowiek podobny jest do ślepego zaprzeczającego, iż istnieje światło, ponieważ go nie widzi. Światło jest wielką tajemnicą dla ślepego!

Hm... będę mógł przemawiać o tym w niedzielę w Sens. Bo powinienem wygłosić tam homilię. Jestem archidiakonem przy katedrze. Z tego powodu muszę zboczyć z drogi. Byłoby nam bliżej jechać wprost na Troyes, lecz muszę skontrolować kapitułę w Sens.

Jednak byłoby mi miło przedłużyć nieco pobyt w Auxerre. Dwa dni mijają tak szybko... Święty Stefan, Święty German, Święty Euzebiusz, wszystkie te piękne kościoły, gdzie odprawiałem msze, udzielałem ślubów i komunii. Wiesz, że Auxerre, Autissidurum, jest jednym z najstarszych chrześcijańskich miast w królestwie, było ono siedzibą biskupstwa na dwa wieki przed Klodwigiem, który je splądrował nie gorzej jak Attyła, a przed rokiem 600 obradowało tam koncylium. Przez cały czas, jaki spędziłem w tej diecezji, największą moją troską było oczyszczenie jej z długów pozostawionych przez mego poprzednika, biskupa Piotra. A nie mogłem nic odeń żądać: został akurat mianowany kardynałem. Tak, tak, piękna siedziba stanowi przedsiónek do kurii... Różne moje beneficja, a także rodzinny majątek pomogły mi zatkać dziury. Następcy moi zastali lepszą sytuację. A obecny biskup teraz nam towarzyszy. Wielebny biskup Auxerre jest bardzo dobrym gospodarzem... Ale biskupa Bourges odesłałem... do Bourges. Jeszcze pociągał mnie za szaty, żebym mu przydzielił trzeciego notariusza. Och! prędko się z nim załatwiłem. Powiedziałem: „Wasza Wielebność, jeśli wam potrzeba tylu pisarzy sądowych, oznacza to, że sprawy waszego biskupstwa są wielce zagmatwane. Zobowiązuję was do natychmiastowego powrotu i rozplątania ich osobiście. Z moim błogosławieństwem”. Obejdziemy się w Metz bez jego pomocy. Biskup Auxerre doskonale go zastąpi... Zresztą zawiadomiłem o tym Delfina. Goniec, którego wczoraj wysłałem, powinien by wrócić jutro, najdalej pojutrze. Nim opuścimy Sens, otrzymamy wiadomości z Paryża... Delfin nie ulega, mimo wszystkich manewrów i nacisków, jakie nań wywierają, trzyma nadal w więzieniu króla Nawarry.

Co zrobili nasi Francuzi po osobliwym zdarzeniu w Rouen? Ano, król zabawił kilka dni na miejscu, mieszkał w Gilowej Baszcie, syna wysłał do drugiej zamkowej wieży, a w trzeciej kazał pilnować Nawarczyka. Różne sprawy musiał pilnie załatwić. W pierwszym rzędzie poddać badaniu pana de Fricamps. „Podsmaży się tego Wróbelka” Żarcik ten, zdaje się, wymyślił Mitton Swawolnić. Nie trzeba było rozpalać wielkiego ognia ani brać dziwnych kleszczy. Wnet gdy Perrinet Bawół i czterej sierżanci zaciągnęli go do lochu i pomachali przed nim kilku narzędziami, rządca Caen dał dowód krańcowej dobrej woli. Mówił a mówił, wyrzucił swą sakwę na nice, by ją wytrząsnąć po najdrobniejszą okruszynkę. Lecz jakżeby wątpić, skoro wszystko wypowiedział i tak mocno szczekał zębami, i okazywał tyle żarliwości w wyjaśnieniu prawdy.

A co właściwie wyznał? Nazwiska uczestników zabójstwa Karola z Hiszpanii? Ależ od dawna były znane, nie dorzucił ani jednego winnego do

tych, co po traktacie w Mantes otrzymali listy ułaskawiające. Lecz jego opowieść zajęła cały ranek. Sekretne rokowania we Flandrii i Awinionie między Karolem Nawarry a diukiem Lancastrem? Nie było w Europie dworu, który by o nich nie wiedział, on zaś, Fricamps, choć brał w nich udział, mało wyjawiał nowego. Wzajemna wojskowa pomoc, jaką sobie przyobiecali król Anglii i król Nawarry? Ludzie nawet tępi mogli się o tym przekonać ubiegłego lata, widząc lądujące niemal jednocześnie oddziały Karola Złego w Cotentin, a księcia Walii w okręgu Bordeaux... Ach, oczywiście był tajny traktat, w którym Nawarczyk uznał króla Edwarda za króla Francji i obaj podzielili między siebie królestwo! Fricamps wyraźnie przyznał, że taki traktat został przygotowany, co nadawało realne kształty oskarżeniu Jana d'Artois. Lecz pakt nie został podpisany, a tylko preliminarze. Gdy królowi Janowi złożono sprawozdanie z tej części zeznań, ów wrzasnął:

- Zdrajca, zdrajca. Czyżem nie miał racji?

Wówczas Delfin zauważył:

- Ojczy, ten projekt powstał jeszcze przed traktatem w Valognes, który Karol z wami zawarł, a mówił on coś całkiem innego. Karol zdradził raczej króla Anglii aniżeli was.

Ponieważ król wykrzykiwał, że zięć wszystkich zdradza, Delfin mu odpowiedział:

- Oczywiście, ojczy, sam się o tym przekonuję. Lecz wy byście nieszczególnie wyglądali, oskarżając go, iż zdradził akurat na waszą korzyść”.

O nieudanej wyprawie do Niemiec Nawarry i Delfina Wróbel z Fricamps nie zmilczał. Imiona spiskowców, gdzie mieli się spotkać, i kto komu co miał powiedzieć i co zrobić... Lecz z tym wszystkim Delfin ojca zaznajomił dawniej...

O nowym spisku uknutym przez władcę Nawarry w celu pojmania i zabicia króla Francji? O nie, o tym Wróbel ani słyszał, ani nic nie zwęszył. Oczywiście hrabia d'Harcourt... obciążając zmarłego, podejrzany niczym nie ryzykuje, rzecz znana w sądownictwie... był bardzo w ostatnim czasie rozgniewany i wypowiadał pogroźki, ale tylko on, i to na własny rachunek.

Powtarzam, jakże nie uwierzyć człowiekowi, który tak idzie na rękę przesłuchującym, gada sześć godzin z rzędu, nie dając czasu sekretarzom, by zaostrzyli pióra? Szczwana sztuka ten Wróbel, godny wychowanek swego mistrza, zalewał swe otoczenie potokiem słów i udawał gadułę, by snadniej ukryć to, na czym mu zależało i o czym chciał zmilczeć! W każdym razie, by mieć pożytek na procesie z jego wypowiedzi, należało rozpocząć ponowne przesłuchanie w Paryżu przed prawnie powołaną komisją, bo taką owa nie była. Jednym słowem zarzucono olbrzymią sieć, by złowić garstkę ryb.

W tym czasie król Jan miał inne zajęcia: kazał skonfiskować dobra i warownie zdrajców; wysłał wicehrabiego Rouen Tomasza Coupeverge, by zagarnął posiadłości hrabiów d'Harcourt, a równocześnie wysłał marszałka d'Audrehem, aby przejął Evreux. Ale Coupeverge wszędy spotykał niezycziwe załogi, sekwestr był tylko nominalny. Musiałby w każdym zamku pozostawić własną załogę, a przywiódł zbyt mało zbrojnych.

Natomiast tęgie ciało Jana d'Harcourt niedługo było wystawione na pokaz na szubienicy w Rouen. Następnej nocy poczciwi Normandowie ukradkiem je odczepili i po chrześcijańsku pogrzebali, jednocześnie sprawiając sobie przyjemność zadrwienia z króla.

Aby zająć miasto Evreux, należało wszcząć oblężenie. Lecz nie było to jedyne lenno braci Evreux-Nawarry. Od Valognes do Meulan, od Longueville do Conches, od Pontoise do Coutances gródki rozbrzmiewały groźnym pomrukiem, wzdłuż dróg drżały żywopełoty.

Król Jan nie czuł się bezpieczny w Rouen. Przybył z zastępem dość silnym, by osaczyć biesiadników przy stole, ale stawić czoło rebelii? Unikał wychodzenia z zamku. Najwierniejsi słudzy, a wśród nich Jan d'Artois, doradzali mu wyjazd. Obecność króla wzmagała ogólny gniew.

Król, który poczyna bać się własnego ludu, jest marnym władcą i grozi mu, że zostaną skrócone dni jego panowania.

Jan II postanowił więc wrócić do Paryża, lecz chciał, by towarzyszył mu Delfin: „Nie zdzierzysz, Karolu, jeśli bunt wybuchnie w twoim księstwie”. Obawiał się zwłaszcza, że syn okaże się zbyt pojednawczy wobec nawarskiego stronnictwa.

Delfin uległ żądając jedynie podróży drogą wodną: „Przywykłem, ojcze, płynąć Sekwaną z Rouen do Paryża. Poza tym, gdy wolniej będziemy się oddalać, łatwiej wieści nas dosięgną, a jeśli będą dość ważkie, by nakazać mi powrót, łatwiej mi będzie to wykonać”.

I oto król wsiada na wielką nawę, umyślnie przez diuka Normandii zbudowaną na własny użytek, bo jak ci mówiłem, nie lubi on jeździć konno. Wielki, płaskodenny statek, cały przystrojony, pełen ozdób i złocień, uwieńczony chorągwiami Francji, Normandii i Delfinatu, poruszany żaglem i wiosłami. Kasztel na nim jest urządzony jak prawdziwe mieszkanie, piękną komnatę wyściełają kobierce, stoją w niej skrzynie. Delfin lubi tam rozprawiać ze swymi doradcami, grać w kości czy warcaby lub oglądać francuski krajobraz wzdłuż tej szerokiej, a bardzo pięknej rzeki. Lecz król aż wrzał, jadąc tak spokojnie. Co za pomysł płynąć każdym zakolem Sekwany, trzykrotnie dłuższą drogą, kiedy istnieją drogi wprost wiodące! Nieznośna dlań była ograniczona przestrzeń, po której chodził dyktując list, jedyne, wciąż ten sam, który bez ustanku rozpoczynał i zmieniał. I co chwila kazał przybijać do brzegu, by brodzić po błotnistym nabrzeżu, wycierać stokrotkami skórnie, kazał przyprowadzać konia idącego wraz z poczem wzdłuż brzegu, aby bez żadnego powodu odwiedzić zamek dostrzeżony wśród topoli. „Niech list będzie przepisany po moim powrocie”. Do papieża list, w którym wyjaśniał przyczyny i powody aresztowania króla Nawarry. Czy istniały dlań inne w królestwie sprawy? Nie wyglądało na to. W każdym razie żadna nie wymagała jego troski. Skąpo wpływające daniny, konieczność ponownego obniżenia wartości pieniądza, podatek od sukna wzbudzający gniew wśród kupców, naprawa twierdz zagrożonych przez Anglików - wszystkie te troski od siebie odganiał. Czyż nie miał kanclerza, przełożonego nad mennicami, marszałka królewskiego dworu, przewodniczących Parlamentu, aby się o to troszczyli? Niech się trują: Mikołaj Braque, który wyjechał do Paryża, Szymon de Bucy czy Robert de Lorris w istocie tym się zajmowali,

powiększając swe majątki, wykorzystując zmianę wartości pieniądza, tuszując niepomysłny wyrok w procesie krewniaka, protegując przyjaciela ku wiecznemu niezadowoleniu takiej to gildii, takiego to miasta, takiej to diecezji, które tego nigdy królowi nie wybaczą.

Monarcha, który zamierza czuwać nad wszystkim po najdrobniejsze szczegóły jakiejś parady, a jednocześnie o nic więcej nie dba, nawet o najważniejsze sprawy, nie jest człowiekiem zdolnym, by powieść swój lud ku wysokiemu przeznaczeniu.

Na drugi dzień nawa Delfina zakotwiczyła w Pont-de-l'Arche król zaś zoczył, że przybywa prewot paryskich kupców, mistrz Stefan Marcel; jechał on konno na czele oddziału liczącego pięćdziesięciu do stu włóczników, powiewała nad nimi czerwono-niebieska chorągiew Paryża. Ci mieszczanie byli lepiej wyposażeni niż wielu rycerzy.

Król nie wysiadł ani też nie zaprosił prewota, aby ten wszedł na pokład. Rozmawiali ze sobą jeden na pomoście, drugi na brzegu, obaj zaskoczeni, że tak stoją naprzeciw siebie, twarzą w twarz. Prewot wyraźnie nie spodziewał się spotkania w tym miejscu z królem, a król rozważał, co prewot może robić w Normandii otoczony taką eskortą. Na pewno były w tym jakieś nawarskie konszachty. Czy była to próba uwolnienia Karola Złego? Chyba za szybka, ledwo tydzień upłynął od aresztowania. Ostatecznie i to było możliwe. Czy też prewot należał do spisku ujawnionego przez Jana d'Artois? Knowania nabierały tedy cech prawdopodobieństwa.

- Przybyliśmy, by was powitać, Sire - wyrzekł jedynie prewot.

Król, zamiast go zmusić do powiedzenia czegoś więcej, odpowiedział ni w pięć, ni w dziewięć groźnym tonem, że musiał pojmać króla Nawarry, mając przeciw niemu poważne zarzuty, a wszystko dokładnie wyjaśni w liście, który wysyła do papieża. Król Jan dodał jeszcze, że spodziewa się przy swym wjeździe do Paryża zastać go w ładzie, spokoju i przy pracy... a teraz, panie prewocie, możecie wracać.

Długa droga na krótką i czężą wymianę zdań. Stefan Marcel odjechał, zadzierając czarną bródkę. Król zaś, ledwo zobaczył paryską chorągiew oddalającą się między wierzbami, zawezwał sekretarza, by raz jeszcze zmienić list do papieża... Hm, w samą porę... Brunet? Brunet! Brunet, wezwij do mej okiennej zasłony dom Calva - tak, proszę cię... dyktując coś w tym rodzaju: „A również, Wasza Świątobliwość, mamy niezbity dowód, że dostojny król Nawarry usiłował podburzyć przeciw mnie paryskich kupców, wchodząc w porozumienie z ich prewotem, który otoczony tak ogromnym oddziałem zbrojnych, iż nie można ich było zliczyć, zmierzał w stronę Normandii, aby pomóc przestępcom w ich łajdactwie, to jest pojmaniu mnie we własnej osobie i Delfina, mego pierworodnego...”

Zastęp Marcela urastał w wyobraźni króla z godziny na godzinę i wkrótce miał liczyć pięćset włóczni.

Później postanowił natychmiast oddalić się od przystani, wyprowadzić Nawarczyka i Wróbla z zamku w Pont-de-l'Arche oraz rozkazał żeglarzom wiosłować do Andelys. Bo król Nawarry jechał za nim konno od postoju do postoju otoczony ze wszech stron liczną eskortą sierzantów, którzy mieli nakaz zasztyletować go w razie próby ucieczki albo gdyby się



spotkali z jakimś usiłowaniem uwolnienia. Cały czas miał być widoczny dla jadących statkiem. Wieczorem zamykano go w najbliższej wieży. Zamknięto w Elbeuf, zamknięto w Pont-de-l'Arche. A teraz miano uwięzić w zamku Gaillard, tak, w zamku Gaillard, tam, gdzie jego burgundzka babka tak młodo zakończyła swój żywot... tak, mniej więcej w tym samym wieku.

Jak władca Nawarry znosił to wszystko? Prawdę rzekłszy marnie. Niewątpliwie teraz się przyzwyczaił do więziennego życia, w każdym razie odkąd wie, że sam król Francji jest jeńcem króla Anglii, już się nie lęka o swe życie. Ale na początku...

Ach! oto i wy, dom Calvo. Przypomnijcie mi, czy w Ewangelii na przyszłą niedzielę jest słowo „światło” lub jakieś inne, które do tego pojęcia nawiązuje - tak, na drugą niedzielę adwentu. Byłoby nader dziwne, gdyby się tam nie znajdowało... albo w listach apostołskich... Oczywiście na ostatnią niedzielę... *Abiciamus ergo opera tenebrarum, et induamur arma lucis...* Odrzucmy więc dzieła ciemności i przyodziejmy świetlane zbroje... Ale to było na ubiegłą niedzielę. Wy również tego nie pamiętacie. Dobrze, powiecie mi niebawem, będę wam wdzięczny...

Lisek schwyty w potrzask, oszalały, miotający się w klatce, oczy rozgorączkowane, pyszczek zalękniony, ciało wychudłe, i popiskujący, i piszczący... tak wyglądał nasz władca Nawarry. Ale trzeba rzec, że robiono wszystko, aby go straszyć.

Mikołaj Brague uzyskał zawieszenie wykonania wyroku, mówiąc, że król Nawarry winien czuć, iż co dzień umiera; ta rada wpadła w chętnie ucho.

Król Jan nie tylko rozkazał, aby zamknięto zięcia w tej samej komnacie, w której zmarła pani Małgorzata Burgundzka i aby wyraźnie mu o tym powiedziano: „Łajdaczenie się jego rozpustnej babki wydało na świat ten podły plód; jest on potomkiem córki ładaczniczy; niech myśli, że skończy jak i ona...”, ale w ciągu kilku dni, podczas których tam go więził, kazał wiele razy, nawet w nocy, mu oświadczać, że czeka go nieuchronna śmierć.

Karol Nawarry widywał wchodzącego do swej ponurej siedziby to króla rozpustników, to Bawoła albo jeszcze innego sierżanta, który mówił: „Przygotujcie się, Jaśnie Panie. Król kazał ustawić dla was szafot na zamkowym podwórzu. Wkrótce po was przyjdziemy”. Po chwili pojawiał się dla odmiany sierżant Lalemant i widząc, że Nawarczyk przyłgnał plecami do muru i ciężko dysząc, toczy oszalałym wzrokiem, z kolei oświadczał: „Król postanowił wstrzymać wykonanie wyroku, nie zetną was przed jutrem”. Nawarczyk odetchnąwszy głęboko opadał na stołek. Po godzinie czy dwóch powracał Perrinet Bawół: „Król nie kazał was ścinać, Dostojny Panie. Nie... Chce was powiesić. Kazał wznieść szubienicę”.

Później zaś, gdy biły dzwony na Anioł Pański, przychodził z kolei komendant zamku, Gautier Riveau.

- Czy po mnie przychodzicie, panie komendancie?
- Nie, Dostojny Panie, przynoszę wam wieczerzę.
- Czy postawiono szubienicę?
- Jaka szubienicę? Nie, Dostojny Panie, nie przygotowano żadnej szubienicy.

- Ani szafotu?

- Nie, Dostojny Panie, nic takiego nie widziałem.

Już po sześćkroć ścinano tak Pana Nawarry, tyleż razy zawisał na szubienicy czy też rozdzierały go cztery konie. Najgorszy może był pewien wieczór, gdy położono w jego komnacie wielki konopny wór, oświadczając mu, że w nocy tam go wpakują, aby wrzucić do Sekwany. Następnego ranka król rozpustników przyszedł po wór, wywrócił go i zobaczywszy, że Pan Nawarry przedziurawił wór, odszedł uśmiechnięty.

Król Jan bez ustanku żądał wiadomości o więźniu. Dopomagały mu one czekać cierpliwie podczas cyzelowania listu do papieża. Czy król Nawarry zjada posiłki? Nie. Ledwo skubnie przynoszone mu potrawy, a często wynoszą miskę przezeń nie tkniętą. Na pewno obawia się trucizny. Czy schudł? Świetnie, wspaniale. Przyprawcie mu tak potrawy, aby były gorzkie i cuchnące, niech myśli, że chce go otruć. Czy sypia? Żle. W dzień widuje się go niekiedy wpołężącego na stole, głowę ma wtuloną w ramiona i wzdryga się, jak człowiek z nagła obudzony ze snu. Lecz nocą słyhać bez ustanku jego kroki, biega w kółko po okrągłej komnacie... „jak lisek, Miłościwy Panie, jak lisek”. Na pewno się lęka, że przyjdą go zadusić, jak w tej samej izbie jego babkę. Niekiedy rankiem można się domyślić, że płakał. „O, dobrze, bardzo dobrze - pogadywał król. - Czy rozmawia z wami?” O, tak, pewnie, że rozmawia! Starał się nawiązać rozmowę z każdym, kto wchodził do izby. Usiłował podejść od jego słabej strony. Królowi rozpustników obiecywał góry złota, jeśli mu pomoże uciec czy choćby przemycić list na zewnątrz. Sierżantowi Perrinet przyrzekał, że zabierze go ze sobą i mianuje królem rozpustników w Evreux i Nawarze; zauważył bowiem, że Bawół zazdrości swemu przełożonemu. Uważając komendanta twierdzy za wiernego żołnierza, dowodził mu, że jest niewinny, i uskarżał się na niesprawiedliwość: „Nie wiem, co mi się zarzuca, bo klnę się na Boga, że nie żywiłem żadnych wrogich intencji wobec króla, drogiego mego ojca. Przewrotni ludzie go zwiedli. Chcieli mnie zgubić w jego oczach, ale zniosę każdą karę, jaką mu się spodoba mi wyznaczyć, bo dobrze wiem, że w gruncie rzeczy nie jest ona wynikiem jego złej woli. O wielu sprawach mógłbym go pouczyć z korzyścią dla ochrony jego osoby, wiele usług mogę mu oddać, a nie oddam ich, jeśli skaże mnie na śmierć. Idźcie do niego, panie komendancie, idźcie i powiedzcie, że wielką korzyść by odniósł, gdyby mnie wysłuchał. A jeśli Bóg zechce, by los się mój odmienił, bądźcie pewni, że się o was zatroszczę, bo widzę, że mi współczujecie, tak samo jak rzetelnie dbacie o dobro waszego suzerena...”

O tym wszystkim oczywiście składano raporty królowi, ten zaś poburkiwał: „Widzicie przeniewiercę, widzicie zdrajcę!” Jakby nie było w zwyczaju, że każdy więzień usiłuje wzbudzić litość w swym dozorczy lub go przekupić. Może sierżanci cokolwiek wyolbrzymiali propozycje króla Nawarry, chcąc podkreślić własną wartość. Król Jan w podziękę za wierność rzucał im trzos złota. „Dziś wieczorem udajcie, że rozkazałem napalić w jego celi i zatknąwszy komin zapalicie słomę i mokre drewno, aby go dobrze podwędzić.”

Zaiste król Nawarry to lisek w potrzasku. Ale sam król Francji

przypominał wściekłego ogromnego psa krążącego wokół klatki, kudłatego samca ze zjeżoną sierścią, który warczy, wyje, obnaża kły i drapie pazurami ziemię nie mogąc przez kraty dosięgnąć swej zdobyczy.

Tak trwało aż do 20 kwietnia, kiedy to pojawili się w Andelys dwaj normandzcy rycerze w dość licznej eskorcie z herbami Evreux i Nawarry na proporcach. Przywieźli królowi Janowi list Filipa Nawarry datowany w Conches. List bardzo oschły. Filip pisał, że jest wielce rozgniewany ogromną krzywdą i zniewagą, jaka spotkała jego seniora i starszego brata... „któregoście uprowadzili bezzasadnie z pogwałceniem prawa i obyczajów. Jednak wiedzcie, że nawet niech się wam nie marzy jego dziedzictwo ani nasze, jeśli w swym okrucieństwie chcecie go zgładzić, bo nie ustąpimy wam ani piędzi ziemi. Odtąd wyzywamy was i całą waszą potęgę, od dziś wydajemy wam wojnę na śmierć i życie, tak zaciętą, jak tylko nas stać”. Jeśli nie są to dokładne słowa listu, to w każdym razie taką zawierał on treść. Z całą surowością sprawa została opisana oraz zawarta była w liście intencja wyzwania do walki. A tym bardziej list był nie do przyjęcia, iż został skierowany do „Jana de Valois mieniącego się królem Francji”.

Obaj rycerze pokłonili się i bez długiej rozmowy zawrócili konie i odjechali tak, jak przybyli.

Oczywiście król nie odpowiedział na pismo. Było ono nie do przyjęcia choćby ze względu na tytuł. Lecz wojna została wypowiedziana i jeden z najmożniejszych wasali nie uznawał już króla Jana za prawdziwego monarchę. Co oznaczało, że nie zwlekając uzna Anglika za króla.

Spodziewano się, że na tak wielką obelgę król odpowie wściekłą furją. Zadziwił swe otoczenie wybuchając śmiechem. Śmiechem nieco przymuszonym. Ojciec jego również roześmiał się serdecznie przed dwudziestu laty, kiedy biskup Burghersh, kanclerz Anglii, podał mu wyzwanie młodego Edwarda III...

Król Jan rozkazał wysłać natychmiast do papieża pismo bez żadnych poprawek, ale ponieważ tyle razy było przerabiane, nie miało ono ani wielkiego sensu, ani też o niczym nie przekonywało. Jednocześnie kazał wyprowadzić zięcia z twierdzy. „Zamknę go w Luwrze”. I pozostawiwszy Delfina, by ten na swej złoconej nawie płynął dalej Sekwaną, sam puścił się w cwał do Paryża. Nie zdziałał tam nic wielkiego, podczas gdy klan nawarski prowadził nader ożywioną działalność.

Ach! Nie spostrzegłem, że już wróciliście, dom Calvo, więc znaleźliście... W Ewangelii... Jezus im odpowiedział... więc co? „Idźcie i powiedzcie Janowi, coście usłyszeli i coście widzieli.” Mówcie głośnie, dom Calvo. Przy tym hałasie... Ślepi widzą, kulawi chodzą... tak, tak, już wiem. Święty Mateusz. Caeci vident, claudi ambulant, surdi audiunt, mortui resurgunt<sup>3</sup> et caetera... Ślepi widzą. Niewiele to, ale mi wystarczy. Bylebym mógł zahaczyć moje kazanie. Wiecie, jak pracuję.



---

<sup>3</sup> Ślepi widzą, kulawi chodzą, głusi słyszą, martwi zmartwychwstają.



## II

### Angielska nacja

Mówiłem ci przed chwilą, Archibaldzie, że stronnictwo nawarskie rozwinęło żywą działalność. Już nazajutrz po uczcie w Rouen wysłannicy pędzili na wsze strony. Przede wszystkim do stryjny i siostry, Pań Joanny i Blanki. Zamek królowych wdów jął terkotać niczym warsztat tkacki. A później do szwagra Febusa... Trzeba żebym ci o nim opowiedział, osobliwy to książę, lecz nie należy go lekceważyć. A ponieważ nasze Perigord leży bliżej jego Bearn niż Paryża, nieźle byłoby, gdyby kiedyś... Pomówimy o tym. Następnie Filip d' Evreux, wzięwszy wszystkie sprawy w garść, godnie zastąpił brata: wysłał do Nawarry rozkaz: zgromadzić wojska i jak można najszybciej wysłać je morzem, a Gotfryd d'Harcourt zwoływał już w Normandii ludzi ze swego stronnictwa. Przede wszystkim Filip Nawarry wysłał do Anglii panów de Morbecque i de Brevand, którzy już uczestniczyli w dawnych rokowaniach, aby prosili o pomoc.

Król Edward przyjął ich chłodno: „Cenię w ugodach uczciwość lubię, aby słowom odpowiadały czyny. Bez wzajemnego zaufania między królami zawierającymi sojusz nie uda się żadne przedsięwzięcie. W ubiegłym roku otwarłem moje bramy przed wasalami władcy Nawarry; wyszykowałem zastępy pod rozkazy i na wsparcie wojsk diuka Lancastra. Bardzo się posunęliśmy w przygotowaniu traktatu między nami, mieliśmy podpisać wieczny sojusz i zobowiązać się do niezawierania, bez obopólnego porozumienia, żadnego pokoju, żadnego zawieszenia broni, żadnej ugody. A władca Nawarry natychmiast po wylądowaniu w Cotentin zgadza się na pertraktacje z królem Janem, przysięga mu wierną miłość i składa hołd. Jeśli teraz przebywa w ciemnicy, jeśli teść zdradziecko schwytał go w sidła, nie moja to wina. Zanim przyjdę z pomocą, chciałbym wiedzieć, czy moi krewniacy d'Evreux wyłącznie w niebezpieczeństwie do mnie przychodzą, a zwracają się ku innym wnet, gdy ich wybawię z kłopotu”.

Jednakże podjął przygotowania: zawezwał diuka Lancastra i począł szykować nową wyprawę; jednocześnie wysłał instrukcje księciu Walii do Bordeaux. Ponieważ dowiedział się od wysłanników z Nawarry, że Jan II, oskarżając zięcia, kwestionuje dobre jego imię, wysłał listy do Ojca Świętego, Cesarza i różnych chrześcijańskich książąt. Zaprzeczał w tych pismach, jakoby istniała zmowa między nim a Karolem Nawarry, lecz z drugiej strony mocno ganił Jana II za brak wiary i działalność, której ze względu „na honor rycerski” wolałby nigdy nie spotkać u króla.

List jego do papieża zabrał mu mniej czasu niżli królowi Janowi i wierzę mi, że został całkiem inaczej załatwiony.

Nie lubimy się z królem Edwardem, uważa on, że stale i zbyt mocno popieram interesy Francji, ja zaś uważam, że zbyt mało szanuje on prymat Kościoła. Ścieraliśmy się, ilekroć zdarzyło się nam spotkać. Edward

chciałby, aby Anglik był papieżem albo żeby papieża w ogóle nie było. Ale przyznaję, że dla swego narodu jest świetnym, zdolnym władcą, przezornym, gdy musi, zuchwałym, gdy może. Anglia wiele mu zawdzięcza. Następnie, choć ma dopiero czterdzieści cztery lata, cieszy się szacunkiem, jaki otacza starego króla, jeśli ów był dobrym monarchą. Wiek monarchów liczy się nie od daty urodzenia, lecz od wstąpienia na tron.

Pod tym względem król Edward jest nestorem wśród książąt Zachodu. Papież Innocenty jest najwyższym kapłanem dopiero od czterech lat, Cesarz Karol został wybrany przed dziesięciu, a ukoronowany przed dwoma laty. Jan de Valois właśnie świętował... smutne świętowanie w niewoli... szóstą rocznicę swej sakry. Edward III zasiada na tronie od dwudziestu dziewięciu, niebawem trzydziestu lat.

Maż to o pięknej i okazałej postawie, dość tęgi. Ma długie jasne włosy, jedwabistą wypielegnowaną brodę, błękitne, nieco wypukłe oczy: prawdziwy Kapetyng. Bardzo przypomina swego dziada Filipa Pięknego, po którym niejedną odziedziczył cechę. Szkoda, że krew naszych królów wydała tak znakomity owoc w Anglii, a tak marny we Francji! Z wiekiem coraz bardziej staje się milkliwy, jak i jego dziadek. Czego chcesz! Od trzydziestu lat widzi ludzi składających mu pokłony. Poznaje po ich kroku, spojrzeniu, głosie, czego się po nim spodziewają, o co będą go prosić, jakie żywią ambicje i jaką mają wartość dla państwa. Wydaje lakoniczne rozkazy. Zwykł mawiać: „Im mniej człowiek wypowiada słów, tym mniej się je powtarza i mniej wypacza”.

Potrafił zdobyć sobie wielki rozgłos w Europie. Bitwa pod Ecluse, oblężenie Calais, zwycięstwo pod Crécy... Po przeszło stu latach on pierwszy pokonał Francję, czy raczej swego francuskiego rywala, ponieważ rozpoczął wojnę - tak powiadał - li tylko po to, by stwierdzić swe prawo do korony Ludwika Świętego... Także by zagarnąć kwitnące prowincje.

Nie mija rok, by wojska nie lądowały raz w okręgu Boulogne, raz w Bretanii, czy też by nie rozkazał wysłać oddziałów ze swego księstwa Gujeny, jak się to działo w ciągu ostatnich dwu lat.

Ongiś sam wiódł swe armie i zdobył sławę znakomitego wojownika. Teraz już nie towarzyszy swym oddziałom. Oddał je pod rozkazy doskonałych dowódców, którzy nabywali doświadczenia kampania po kampanii. Ale myślę, że swe zwycięstwa zawdzięcza armii stałej, złożonej w większości z piechurów, będącej zawsze do dyspozycji, nie kosztuje go ona w końcu drożej niż te ciężkie chorągwie, które z wielkim nakładem kosztów się zwołuje, rozpuszcza i znów zwołuje, a nigdy nie stawia się one na czas, różnicie są uzbrojone, a poszczególne oddziały nie potrafią nawet ustawić się w szyku bojowym.

Łatwo powiedzieć: „Ojczyzna w niebezpieczeństwie. Król nas wzywa. Każdy niech śpieszy!” Z czym? Z kijami? Nadchodzi czas, gdy każdy król zapragnie wzorować się na Anglii i będzie wojował przy pomocy zawodowych żołnierzy, dobrze opłaconych, którzy idą, dokąd się im rozkaże, nie tracąc czasu ani też deliberując.

Widzisz, Archibaldzie, wcale nie potrzeba królestwu rozległych obszarów ani też licznego narodu, aby się stało potężne. Potrzebny mu

jedynie naród dumny i zdolny do wysiłku, dostatecznie długo kierowany przez doświadczonego władcę, który potrafi mu ukazać wielkie cele.

Z kraju liczącego łącznie z Walią sześć milionów dusz przed wielką zarazą, a po tej pladze tylko cztery miliony, Edward III uczynił bogate i groźne państwo, które jak równy z równym pertraktuje z Francją i Cesarstwem. Handel wełną, handel morski, posiadanie Irlandii, dobra gospodarka w żyznej Akwitanii, władza królewska wszędzie wykonywana i mająca posłuch, armia zawsze gotowa do czynu i zawsze w ruchu, oto co powoduje, że Anglia jest tak silna i bogata. Sam król ma olbrzymie osobiste dobra. Powiadają, że nie potrafili by ich zliczyć, ale ja wiem, że je liczy, bo inaczej by ich nie posiadał. Obejmując rządy przed trzydziestu laty, odziedziczył pusty Skarb i długi w całej Europie. Dziś do niego przychodzą, aby pożyczać. Odbudował Windsor; upiększył Westminster... tak Westmoutiers, jeśli wolisz; jeżdżąc tam, przywykłem wymawiać z angielska, bo rzecz ciekawa, w miarę jak Anglicy usiłują podbić Francję, coraz częściej, nawet na dworze, rozmawiają we własnym saksońskim języku, a coraz rzadziej po francusku... W każdej rezydencji król Edward gromadzi prawdziwe cuda. Wiele rzeczy nabywa u lombardzkich kupców i cypryjskich żeglarzy, nie tylko wschodnie korzenie, ale także różnorodne misterne cacka, które służą za wzór jego rzemieślnikom.

Przy sposobności muszę z tobą porozmawiać o pieprzu, bratanku. To świetna lokata. Pieprz się nie psuje, jego wartość handlowa w ostatnich latach wciąż wzrasta i wszystko wskazuje, że i nadal tak będzie. Mam go na dziesięć tysięcy dukatów w składach w Montpellier, dostałem ten pieprz jako wyrównanie połowy długu od tamtejszego kupca; zwał się on Piotr de Rambert i nie mógł spłacić swych cypryjskich dostawców. Ponieważ jestem w Nikozji kanonikiem... choć nigdy tam nie byłem, szkoda, bo wyspa ta słynie z wielkiej piękności... udało mi się załatwić tę sprawę... Lecz wracajmy do naszego Jaśnie Pana Edwarda.

Stół królewski na jego dworze to nie czcze słowa, kto przy nim po raz pierwszy zasiądzie, temu oddech zapiera obfitość złota, jakie tam jest wystawione. Środek stołu zdobi szczerozłoty jeleni prawie naturalnej wielkości. Puchary, dzbany, półmiski, noże, solniczki - wszystko ze złota. Pokojowcy niosą z kuchni przy każdej potrawie tyle złota, że starczyłoby na wybicie dukatów dla całego hrabstwa. „Jeśli przypadkiem znajdziemy się w potrzebie - powiada król - będziemy mogli to wszystko sprzedać”. Lecz w chwilach kłopotliwych... jakież Skarb ich nie zaznał?... Edward zawsze jest pewien, że znajdzie kredyt, ponieważ wiadomo, iż posiada takie bogactwa. Pokazuje się poddanym zawsze wspaniale przystrojony, w cennych futrach, haftowanych szatach, skrzących od klejnotów i ze złotymi ostrogami przy butach.

Przy tym popisie bogactwem nie zapomina o Bogu. Samą kaplicę w Westminster obsługuje czternastu wikariuszy, a do nich dołącz kleryków, chórzystów i całą służbę w zakrystii. Aby spłatać figla papieżowi, o którym powiada, że jest w garści Francuzów, mnoży stanowiska kościelne, pragnąc, by je powierzano wyłącznie Anglikom, nie dzieląc się przy tym beneficjami ze Stolicą Apostolską. W tej materii zawsze się ścieraliśmy.

Po obsłudze Boga - rodzina. Edward III ma dziesięcioro żyjących dzieci.

Znasz najstarszego syna, księcia Walii i diuka Akwitanii; ma on dwadzieścia sześć lat. Najmłodszego hrabiego Buckingham niedawno odstawiono od piersi mamki. Wszystkich synów król Edward zaopatrzył we wspaniałe dwory; dla córek szuka dostojnych mężów, którzy by mogli posłużyć jego planom.

Ręczę, iż król Edward bardzo by się w życiu nudził, gdyby Opatrzność nie przeznaczyła go do czynności, do których jest najbardziej zdolny: do rządów. Tak mało by go interesowało trwać, posuwać się w latach, patrzeć na zbliżającą się śmierć, gdyby nie musiał godzić waśni innych ludzi, wytyczać im celów, które pomagają zapomnieć o sobie. Ludzie bowiem tylko wówczas odczuwają chwałę i cenę życia, gdy poświęcają swe czyny i myśli jakiemuś wielkiemu dziełu, z którym się mogą zjednoczyć.

Zaiste to go natchnęło do ustanowienia w Calais Orderu Podwiązki, Orderu, który owocuje, podczas gdy biedny Jan II ze swą Gwiazdą stworzył tylko najpierw okazałe, a później żalosne naśladownictwo.

W odpowiedzi na tę wolę wielkości Edward snuje plan nie ujawniony, lecz widoczny: stworzenia angielskiej Europy. Nie dlatego, by zamyślał poddać bezpośrednio swej władzy cały Zachód czy też zdobyć wszystkie królestwa i je ujarzmić. Nie, myśli on raczej o wolnym związku królestw lub rządów, wśród których miałby pierwszy głos oraz przywództwo i nie tylko wewnątrz tego porozumienia doprowadziłby do królowania pokoju, lecz niczego by się nie obawiał ze strony Cesarstwa, nawet gdyby go nie wchłonął. Także nie chciałby mieć żadnych obowiązków wobec Stolicy Apostolskiej. Podejrzewam, że w cichości ducha żywi on te zamiary... Udało mu się już z Flandrią, oderwał ją bowiem od Francji, wkracza w sprawy Hiszpanii, wysuwa swe macki na Morze Śródziemne. Ach! gdyby miał Francję, wyobraź sobie, czego by nie dokonał, czego by, poczynając od niej, nie zrobił! Pomysł jego nie jest całkiem nowy. Już król Filip Piękny, jego dziadek, rozmyślał o wiecznym pokoju jednoczącym Europę.

Edward chętnie rozmawia z Francuzami po francusku, z Anglikami po angielsku. Może zwracać się do Flamandów w ich macierzystym języku, co im bardzo pochlebia i czemu zawdzięcza niejedną u nich sukces. Do innych przemawia po łacinie.

Powiesz mi, dlaczego więc nie pogodzić się z królem tak utalentowanym, tak zdolnym, któremu sprzyja szczęście? Dlaczego nie poprzeć jego pretensji do francuskiej korony? Po co tyle zabiegów, by utrzymać na tronie tego bezczelnego mydłka urodzonego pod złowieszczymi gwiazdami, a którym obdarzyła nas Opatrzność, niewątpliwie dlatego, by doświadczyć to nieszczęsne królestwo?

Ech, bratanku! My również pragniemy pięknego związku królestw zachodnich, lecz chcemy, aby był on francuski, chcę powiedzieć, aby był on pod kierownictwem i pod wpływami Francji. Jesteśmy przekonani, że Anglia zbyt potężna szybko oddaliłaby się od praw Kościoła. Francja jest królestwem przez Boga wyznaczonym. Król Jan zaś nie jest wieczny.

Lecz teraz rozumiesz, Archibaldzie, dlaczego król Edward tak uporczywie popiera Karola Złego, choć ten wielokrotnie zdradził. Mała Nawarra i duże hrabstwo Evreux to części układanki nie tylko w jego sprawach z Francją, ale i łączeniu królestw, co mu się kręci w umyśle.

Trzeba, żeby i królowie mieli o czym pomarzyć!

Wkrótce po poselstwie zacnych panów Morbecque'a i Brevanda z kolei przybył do Anglii Dostojny Pan Filip z Evreux-Nawarry, hrabia de Longueville.

Jasnowłosa Filip Nawarry, słusznego wzrostu i o dumnym charakterze, jest równie wierny, jak łotrowski jest jego brat; to zaś powoduje, że włącza się we wszystkie jego łotrostwa, lecz czyni to z głębokiego przekonania. Nie ma oratorskiego talentu starszego brata, ale oczarowuje serdecznością. Wielce się spodobał królowej Filipie, która orzekła, iż bardzo przypomina jej małżonka, gdy miał te same lata. Nic w tym dziwnego, są po kilkakroć wzajem skuzynowani.

Pocziwa królowa Filipa! Była ongiś pulchną, różową panną i zapowiadała się na tęga, jak wiele kobiet z rodu Hainaut. Obietnicy dotzymała.

Król szczerze ją kochał. Lecz z biegiem lat miewał inne porywy serca, rzadkie, lecz gwałtowne. Była hrabina Salisbury, a teraz jest pani Alicja Perrere czy Perrieres, dama dworu królowej. Aby ukoić swe rozżalenie, Filipa pojada i staje się coraz grubsza.

Królowa Izabela? Ależ tak, ależ tak, żyje dotąd, przynajmniej żyła jeszcze w ubiegłym miesiącu... W Castle Rising, wielkim ponurym zamczysku, gdzie syn ją zamknął po egzekucji przed dwudziestu ośmiu laty jej kochanka, lorda Mortimera. Zażywając swobody sprawiałaby mu za wiele kłopotów. Wilczyca z Francji... Odwiedza ją raz na rok w czasie Bożego Narodzenia. Właśnie po niej dziedziczy on swe prawa do Francji. Lecz to ona wywołała kryzys dynastyczny, ujawniając wiarołomstwo Małgorzaty Burgundzkiej, i dostarczyła mocnych podstaw, by usunąć od sukcesji potomstwo Ludwika Kłótliwego. Zabawne, przyznasz, że po czterdziestu latach wnuk Małgorzaty Burgundzkiej i syn Izabeli zawierają sojusz. Ach! wystarczy pożyć, żeby wszystko dostrzec.

I oto w Windsorze Edward i Filip Nawarry znów biorą na warsztat nie dokończony traktat, którego pierwszy szkic zarysowano w czasie spotkania w Awinionie. Traktat nadal tajny. W przygotowawczej redakcji imiona zawierających go władców nie powinny były figurować wyraźnie, król Anglii zwany jest starszym, a król Nawarry - młodszym. Jakby to mogło wystarczyć do ich zamaskowania i nie wskazywało na nich całkiem oczywście! Zwykle kruczki dworskich kancelarii; nie zwiodą one wcale tych, którym się nie dowierza. Kiedy chce się jakąś sprawę zachować w tajemnicy, wystarczy nie zapisywać i basta.

Młodszy uznał starszego za prawowitego króla Francji. Wciąż to samo; początek i zasadnicza treść; koronne ugody. Starszy przyznał młodszemu księstwo Normandii, hrabstwa Szampanii; Brie, wicehrabstwo Chartres i całą Langwedocję z Tulużą, Beziers, Montpellier... Zdaje się, że Edward nie odstąpił prowincji Angoumois - zbyt blisko Gujenny, chyba dlatego. Gdyby traktat miał wejść w życie - oby to się Bogu nie spodobało - nie pozostawiłby mu Nawarry, nie pozwoliłby osiąść między Akwitanią a Poitou. Natomiast miał przyznać mu krainę Bigorre, co wcale nie poszłoby w smak Febusowi, gdyby to doszło do jego uszu. Jak widzisz, wszystko razem wzięwszy to spory kawał, ogromny kawał Francji. Może zdumiewać



fakt, że człowiek, który zamierza tu panować, wszystko odstępuje jednemu wasalowi. Ale, po pierwsze, ten rodzaj wicekrólestwa powierzonego Nawarczykowi wspaniale pasuje do pomysłu utworzenia leżącego mu na sercu nowego imperium; po drugie, im bardziej rozszerza posiadłości księcia, który go uznał za króla, tym bardziej poszerza obszary, gdzie go uznają za prawowitego króla. Zamiast zdążyć do przyłączenia kawałek po kawałku, może twierdzić, że za jednym zamachem uznały go królem wszystkie te prowincje.

Co do reszty: kosztów wojennych, zobowiązań, by nie zawierać odrębnego zawieszenia broni - to zwykle klauzule zwyczajowe i powtórzenie pierwotnego szkicu. Lecz sojusz jest określony jako „sojusz wieczny”.

Pozwolę sobie nadmienić, że zabawny incydent miał miejsce między Edwardem a Filipem Nawarry, bo ów zażądał wpisania do traktatu wpłaty stu tysięcy dukatów, nigdy nie zapłaconych, a figurujących w umowie ślubnej zawartej między Karolem Nawarry a Joanną de Valois.

Król Edward zdumiał się:

- Dlaczego bym miał płacić długi króla Jana?

- Ależ rzecz oczywista. Zastępujcie go na tronie, a więc także w jego zobowiązaniach.

Nie brakowało zuchwałości młodemu Filipowi. Trzeba mieć jego lata, aby ważyć się na coś podobnego. Rozśmieszył króla Edwarda, choć ten śmiać się nie zwykł.

- Zgoda. Ale po koronacji w Reims. Nie przed sakrą.

Filip powrócił do Normandii. Zanim spisano na welinie uzgodnione punkty umowy, zanim wystylizowano artykuł po artykule, zanim nastąpiła wymiana not po obu stronach kanału La Manche... „od starszego do młodszego”, a wreszcie kłopoty wojenne, to wszystko zajęło tyle czasu, że traktat, nadal tajny, nadal znany tym, którym zależało na poznaniu jego treści, został podpisany ostatecznie w zamku Clarendon, w początkach września, zaledwie przed trzema miesiącami, tuż przed bitwą pod Poitiers. Kto go podpisał? Filip Nawarry, który w tym celu po raz drugi pojechał do Anglii.

Teraz rozumiesz, Archibaldzie, dlaczego Delfin, który tak mocno przeciwstawiał się - jak słyszałeś - aresztowaniu króla Nawarry, wciąż go więzi, chociaż rządząc obecnie królestwem i pod naciskiem z wielu stron miałby pełną swobodę go uwolnić. Póki pod traktatem widnieje tylko podpis Filipa Nawarry, można pakt uważać za niebyły. Gdyby go ratyfikował Karol, sprawa byłaby całkiem inna.

Obecnie zaś, ponieważ w Pikardii syn króla Francji trzyma w więzieniu króla Nawarry, ów nie wie jeszcze... na pewno jedyny... że uznał króla Anglii królem Francji. Lecz to uznanie nie ma mocy prawnej, ponieważ nie może go podpisać.

Oto komplikacje, w których trudno się połapać, tworzą one prawdziwie gordyjski węzeł, a my pokusimy się go rozplątać w Metz! Ręczę, że za trzydzieści lat nikt nie zdoła tego pojąć, może poza tobą, Archibaldzie, czy twoim synem, jeśli mu o tym opowiesz.





### III

## Papież i świat

Czyż nie mówiłem ci, że dobre wiadomości zastaniemy w Sens? Nawet bardzo dobre. Delfin porzuca burzliwe obrady Stanów Generalnych, na których Marcel żąda obalenia Wielkiej Rady, a biskup Le Coq, wnosząc o uwolnienie Karola Złego, jednocześnie zapomina się do tego stopnia, że mówi o złożeniu z tronu króla Jana... Tak, tak, drogi bratanku, do tegośmy doszli; sąsiadujący z nim biskup musiał przydepnąć mu stopę, żeby się opamiętał i wyjaśnił, że wcale nie Stany mogą króla złożyć z tronu, ale papież na żądanie trzech Stanów... Delfin więc wystrychnął na dudka swych gości i wczoraj wyjechał do Metz; on także. W dwa tysiące koni. Stwierdził, że dla dobra królestwa zmuszają go do stawiennictwa na sejmie listy otrzymane od Cesarza. Tak... a w pierwszym rządzie moje pismo. Posłuchał mnie. Tym sposobem obrady Stanów zawisły w próżni i wszyscy się rozproszą, niczego nie uchwalwszy.

Gdyby miasto nadal wrzało, mógłby wrócić z wojskiem. Trzyma je w szachu...

Druga dobra wiadomość: Capocci nie jedzie do Metz. Odmawia spotkania ze mną. Błogosławiona odmowa. Uchyła się od poleceń papieża, a mnie spadł z karku. Wysyłam arcybiskupa z Sens do orszaku Delfina, już mu towarzyszy arcybiskup - kanclerz Piotr de La Foret; starczy mu do rady dwóch rozsądnych ludzi. Ja zaś mam w świecie dwunastu prałatów. Wystarczy. Żaden legat nigdy tylu nie miał. I bez Capocciego. Zaprawdę pojąć nie mogę, dlaczego Ojciec Święty uparł się, by mi go dać na współlegata, i upiera się nadal, by go nie odwołać. Przede wszystkim, gdyby nie on, wyruszyłbym wcześniej... Zaiste stracona wiosna.

Kiedyśmy się dowiedzieli o wypadkach w Rouen i otrzymaliśmy w Awinionie listy od króla Jana i króla Edwarda, a później doszło do nas, że diuk Lancaster szykuje nową wyprawę, podczas gdy wojsko francuskie zostało zawezwane na 1 czerwca, wówczas przeczułem, że sprawy przyjmą zły obrót.

Rzekłem Ojcu Świętemu, że należy wysłać legata, z czym się zgodził. Lamentował nad sytuacją chrześcijaństwa. Byłem gotów do wyjazdu w ciągu tygodnia. Trzeba było aż trzech, by opracować instrukcje. Powiedziałem mu: „Ależ jakie instrukcje, Wasza Świątobliwość? Wystarczy przepisać tylko te, któreście otrzymali przed dziesięciu laty w całkiem podobnej misji od waszego poprzednika, czcigodnego Klemensa VI. Były znakomite. Moje instrukcje - to wszelkimi sposobami przeszkodzić ponownemu wszczęciu wojny na wszystkich frontach”.

Może w głębi duszy, i to bezwiednie, boć jest niezdolny do świadomej złej myśli, niezbyt sobie życzył, abym osiągnął powodzenie w misji, która mu się nie udała ongiś w przeddzień Crécy. Sam to wyznał: „Cierpką dostałem odprawę od Edwarda III, obawiam się, aby i was nie spotkało to

samo. Edward III to człowiek na wszystko zdecydowany, nie tak łatwo odwodzi się go od podjętych zamiarów. Ponadto sądzi, że wszyscy francuscy kardynałowie zajmują wobec niego wrogie stanowisko. Pojedzie z wami *venerabilis frater*<sup>4</sup> Capocci. Taka myśl mu świtała.

*Venerabilis frater!* Każdy papież w czasie swego pontyfikatu musi popełnić chociaż jeden błąd, inaczej byłby Panem Bogiem we własnej osobie. A więc błąd Klemensa VI to obdarzenie Capocciego kapeluszem kardynalskim.

„Następnie - rzekł mi Innocenty - gdyby któryś z was dwóch cierpiał na jakieś dolegliwości... niech Bóg was ustrzeże... drugi mógłby kontynuować misję.”

Ponieważ nasz biedny Ojciec Święty wciąż utyskuje na swe zdrowie, mniema, że każdy to samo odczuwa, i ledwo kichniesz, a już ci udzielił ostatniego namaszczenia.

Czyś widział, Archibaldzie, bym chorował w czasie tej podróży? Co innego Capocci, temu wstrząsy pojazdu nadwerekają nerki; co dwie mile musi przystawać, żeby się wysuszać. Raz się poci w gorączce, to znów brzuch mu się wzdyma. Chciał mi zabrać mego lekarza mistrza Vigier, ten, przynajmniej w moim wypadku, nie jest przeciążony pracą. Moim zdaniem dobry medyk to taki, co mnie co dzień opuka, osłucha, obejrzy oczy i język, zbada mocz, nie nakazuje, bym wiele sobie odmawiał, puszcza krew nie częściej niż raz na miesiąc i zachowuje mnie w dobrym zdrowiu... A później te przygotowania Capocciego. Należy on do ludzi, którzy intrygują, nalegają, aby im powierzyć jakąś misję, a gdy ją już uzyskali, ciągiem stawiają wymagania. Nie wystarcza mu jeden sekretarz papieski, dwóch mu potrzeba. Pytam siebie, do jakiejże pracy, skoro zanim się rozstaliśmy, to ja musiałem dyktować i poprawiać wszystkie pisma do kurii... To wszystko sprawiło, że wyjechaliśmy dopiero w najdłuższy dzień roku, 21 czerwca. Za późno. Nie przeszkodzi nikt wojnie, kiedy wojska już maszerują... Przeszkodzi się, kiedy myśl o niej świta w głowie królów, a jeszcze wahają się z decyzją. Powiadam ci, Archibaldzie, stracona wiosna.

W przeddzień wyjazdu Ojciec Święty przyjął mnie sam na sam. Chyba czuł skruchę, że tak mnie pokarał zbędnym współtowarzyszem. Pojechałem go odwiedzić w Villeneuve, w jego rezydencji. Nie chce bowiem mieszkać w wielkim pałacu wybudowanym przez swoich poprzedników. Za dużo jego zdaniem zbytku, ponad miarę przepychu, nadto liczny dwór. Innocenty pragnął zadowolić opinię publiczną, która zarzuca papieżowi, iż prowadzi zbyt wystawny tryb życia.

Opinia publiczna! Kilku gryzipiórków, którzy piszą żółcią miast inkaustem; kilku kaznodziejów podestanych przez diabła do Kościoła dla siania niezgody. Jednym wystarczy celnie wymierzona rzetelna ekskomunika; innym prebenda albo beneficjum z jakimiś tytułami, bo zwykle zawiść pobudza ich do plwania; naprawa świata, w ich pojęciu, to polepszenie własnego zbyt skromnego stanowiska. Spójrz na Petrarke, słyszałeś przecież, jak rozmawiałem o nim z biskupem Auxerre. Petrarka to urodzony złośliwiec, ale należy przyznać, że to człowiek wielkiej wiedzy i talentów, pilnie słuchają go po obu stronach Alp. Przyjaźnił się z Dantem

---

<sup>4</sup> czcigodny brat

Alighieri, który go ściągnął do Awinionu. Książęta powierzali mu wiele misji. Ten oto pisał, że Awinion jest arcykloaką, że krzewią się tu wszelakie zboczenia, że mrowie obwiesiów, że zjeżdżają się tu, by przekupywać kardynałów, że papież ma tu kramik z diecezjami i probostwami, że prałaci tu mają konkubiny, a konkubiny gaszków... jednym słowem nowy Babilon.

Rozpowszechniał o mnie wiele złośliwych plotek. Ponieważ był osobistością poważaną, spotkałem się z nim i wysłuchałem, co napełniło go zadowoleniem, załatwiłem kilka jego spraw... pogadywano, że oddaje się czarnoksięstwu, magii oraz innym takim sprawom... Spowodowałem, że oddano mu kilka beneficjów, których go pozbawiono. Korespondowałem z nim, prosząc, aby w każdym z listów przepisał dla mnie kilka strof lub sentencji wielkich starożytnych poetów, zna bowiem ich dzieła wyśmienicie. Mnie zaś potrzebne są do ozdoby moich homilij, bo o ile się nie mylę, mam styl prawniczy. Wysunąłem nawet jego kandydaturę na stanowisko sekretarza papieskiego i od niego tylko zależało, by sprawę załatwić. Przeto sprawiłem, że o wiele lepiej mówi o dworze awiniońskim, a o mnie wypisuje cuda. Jestem gwiazdą na niebie Kościoła, szarą eminencją za tronem papieża. Dorównuję każdemu współczesnemu nam juryście, a nawet go przewyższam; natura mnie pobłogosławiła, a studia przydały mi ogłady i można dostrzec we mnie wszechogarniające zdolności, jakie Juliusz Cezar przypisywał Pliniuszowi Starszemu. Tak, bratanku, ni mniej, ni więcej. Wcale zaś nie prowadzę skromniejszego trybu życia, nie mam mniej licznej służby, co go ongiś pobudzało do pisania pamfletów... Przyjaciel mój, Petrarca, wyjechał do Italii. Coś w nim tkwi, że nie może nigdzie osiąść na stałe, podobnie jak przyjaciel jego Dante, na którym wielce się wzoruje. Wynałazł sobie niezmierną miłość do damy, która nigdy nie była jego kochanką, a w dodatku już nie żyje. Ale tym dowiódł swego niezwykle subtelnego umysłu... Bardzo lubię tego złośliwca. Brak mi go. Gdyby pozostał w Awinionie, na pewno siedziałby na twoim miejscu, bobym go zabrał do mej świty.

Lecz poddawać się rzekomej opinii publicznej jak nasz zacny Innocenty? To okazywać słabość, dodawać powagi krytyce, odtrącać wielu popleczników, wcale sobie nie zjednując niezadowolonych.

Aby dać pełny obraz pokory, nasz Ojciec Święty zamieszkał w kardynalskim pałacyku w Villeneuve po drugiej stronie Rodanu. Lecz nawet przy pomniejszonym dworze siedziba okazała się naprawdę za ciasna. Tedy trzeba było ją powiększyć, by pomieścić niezbędnych ludzi. Sekretariat z braku miejsca jest niesprawny; w miarę posuwania się robót, klerycy wciąż zmieniają pokoje. Bulle pisze się w kurzu. A ponieważ wiele urzędów pozostało w Awinionie, trzeba bez ustanku przepływać rzekę, walcząc z często szalejącą tam wichurą, która zimą ziębi do szpiku kości. Wszystkie sprawy ulegają zwłoce... Poza tym, ponieważ wybrano przede wszystkim Innocentego zamiast Jana Birela, generała cystersów cieszącego się sławą wielkiej świątobliwości... rozważam, czy miałem słusność go odtrącając, nie nadawałby się gorzej na to stanowisko... nasz Ojciec Święty postanowił założyć klasztor cystersów. Teraz wznosi się go między siedzibą papieża a nowym obwarowaniem, fortem Świętego Andrzeja,

właśnie budowanym. Lecz fundusz na to łożą urzędnicy królewscy. Tym sposobem rządu nad chrześcijaństwem sprawuje się na placu budowy.

Ojciec Święty przyjął mnie w kaplicy, której wcale nie opuszcza, w małej absydzie o pięciu ścianach przyległej do komnaty posłuchań, jednak potrzebna mu sala posłuchań, spostrzegł się... Kazał ją ozdobić obraznikowi przybyłemu z Viterbo, Mateuszowi Giova, coś w tym rodzaju. Giovanotto, Giovanelli, Giovanetti... freski niebieskie, blade, nadawałyby się do żeńskiego klasztoru; wcale mi się nie podobają; nie dość czerwieni, nie dość złota... Przecie żywe barwy drożej nie kosztują... a co za hałas, bratanku! Zdaje się, że to najcichsze miejsce w całym pałacu i dlatego Ojciec Święty tam się chroni! Piły zgrzytają tnąc kamień, młoty szczękają na rylcach, skrzypią wciągники, toczą się wózki, podskakują dyle, robotnicy nawołują się i swarzą... Omawiać poważne sprawy w tej wrzawie toż prawdziwy czyściec! Rozumiem, że Ojca Świętego boli głowa. „Widzisz, czcigodny bracie - powiedział mi - wydaję wiele pieniędzy i sprawiam sobie dużo kłopotów, aby stworzyć wokół mnie pozory ubóstwa. A jednak muszę łożyć na pałac po drugiej stronie. Nie mogę dopuścić, by się zawalił”... Wzrusza mnie papież Aubert, kiedy smętnie drwi z siebie i zdaje się przyznawać do omyłek, aby mi sprawić przyjemność. Siedział na nędznym foteliku, którego nie użyłbym nawet za krzesło w moim pierwszym biskupstwie. Jak zwykle pochylony w przód w czasie całej rozmowy. Czoło przechodzi w duży zakrzywiony nos, szerokie nozdrza, gęste brwi bardzo wysoko uniesione, wielkie uszy, których koniuszki wysuwają się spod białej piuski nad krętą brodą, usta o kącikach opuszczonych w dół. Jest potężnej budowy, więc zadziwia, że ma tak wątłe zdrowie. Rzeźbiarz jest zatrudniony, by utrwalić w kamieniu jego wizerunek w pozycji leżącej. Ponieważ nie chce stojącego posągu: ostentacja. Zgadza się jednakowoż na posiadanie sarkofagu.

Tego dnia chciał się mi przypodobać. Ciągnął: „Każdy papież, bracie, musi przeżyć na swój sposób mękę Pana Naszego, Jezusa Chrystusa. Moja droga polega na niepowodzeniu wszystkich mych poczynań. Odkąd wola Boża wyniosła mnie na szczyt Kościoła, czuję, jakbym miał ręce przebite gwoździemi. Cóżem dokonał, cóżem zdziałał w ciągu tego półczwarta roku”.

Wola Boża, pewnie, pewnie; ale przynajmniej, że wybrała moją skromną osobę, aby się poniekąd przez nią wypowiedzieć, co mi pozwala na pewną swobodę wobec Ojca Świętego. Są jednak sprawy, których nie mogę z nim poruszyć. Nie mogę mu na przykład powiedzieć, że ludzie obdarzeni najwyższym dostojeństwem nie powinni usiłować zbytnio przekształcać zastanej rzeczywistości, aby usprawiedliwić swe wyniesienie. U ludzi głęboko pokornych jawi się niekiedy pewna postać pychy, która często jest źródłem ich niepowodzenia.

Zamysły papieża Innocentego, jego dalekosiężne plany... znam je dobrze. Oto trzy, które są ze sobą ściśle sprzężone. Najdumniejszy: połączyć Kościoły łaciński i grecki, oczywiście pod patronatem katolickim; ponownie stopić Wschód z Zachodem, przywrócić jedność świata chrześcijańskiego. To od tysiąca lat marzenie każdego papieża. Wspólnie z Klemensem VI bardzo posunąłem te sprawy, dalej niż kiedykolwiek, w

każdym razie dalej, niż rzecz ma się obecnie. Innocenty podjął zamysł na własny rachunek, jakby natchnęła go myśl całkiem nowa z nawiedzenia Ducha Świętego. Nie dyskutujemy.

W tym celu drugie przedsięwzięcie, poprzedzające pierwsze, przywrócić Rzymowi papieżowi, ponieważ chrześcijanie ze Wschodu tylko wówczas uznają władzę papieża, gdy ją będzie sprawował z wyżyn tronu Świętego Piotra. Obecnie Konstantynopol znajduje się w upadku i mógłby nie tracąc honoru pokłonić się przed Rzymem, natomiast nie przed Awinionem. Wiedz, że w tej materii całkowicie różni się poglądem. Rozumowanie byłoby całkiem słuszne pod warunkiem, że sam nie popadłby w jeszcze większą słabość w Rzymie niżli obecnie w Awinionie.

Atoli by powrócić do Rzymu, należy urzeczywistnić trzeci zamysł - pojednać się z Cesarzem. Prawem pierwszeństwa do tego przystąpiono. Przypatrz się, dokądśmy zabrnęli z tymi pięknymi planami... Wbrew mojej radzie pośpieszono ukoronować Cesarza Karola wybranego przed ośmiu laty; mieliśmy go w garści, póki trzymaliśmy wysoko przynętę jego sakry. Teraz nie mamy żadnej nad nim władzy. Podziękował nam swoją Złotą Bullą, którą musieliśmy przełknąć tracąc nie tylko nasz wpływ na elekcję, lecz i na finanse Kościoła w Cesarstwie. To nie pojednanie, to kapitulacja. W zamian Cesarz pozostawił nam wolne ręce w Italii, łaskawie nam zezwolił wsadzić je do gniazda os.

Ojciec Święty wysłał do Italii kardynała Alvareza d'Albornoz, bardziej żołnierza niż kardynała, aby ten przygotował powrót do Rzymu. Albornoz począł wiele gadać z Colą di Rienzi, który na krótki okres opanował Rzym. Ów Rienzi urodził się w tawernie w dzielnicy Trastevere, pochodził z ludu, był człowiekiem o cesarowym obliczu, jakie od czasu do czasu tam się pojawia i urzeka Rzymian, przypominając im przodków rządzących całym ówczesnym światem. Zresztą podawał się za syna cesarza, wyjawiając, że jest bastardem Henryka VII Luksemburskiego, lecz tylko on był tego zdania. Wybrał sobie tytuł trybuna, chadzał w purpurowej todze i zasiadał na Kapitolu na ruinach świątyni Jowisza. Przyjaciel mój, Petrarca, witał go jako wskrzesiciela starożytnej potęgi Italii. Rienzi mógł być pionkiem na naszej szachownicy, lecz należało posługiwać się nim roztropnie, a nie całkowicie na niego stawiać w naszych rozgrywkach. Przed dwoma laty został oto zamordowany przez Colonnów, ponieważ Albornoz zwłóczył z odsieczą. Obecnie wszystko należy rozpoczynać od nowa; a nigdy nie byliśmy tak dalecy od powrotu do Rzymu, gdzie panuje zamęt gorszy niż ongiś. O Rzymie należy wciąż marzyć, ale nigdy tam nie powracać.

Co zaś do Konstantynopola... Och! w rokowaniach bardzo się posunęliśmy. Cesarz Paleolog gotów nas uznać; solennie się zobowiązał, ukląkłby nawet przed nami, gdyby mógł wyjechać ze swego szczupłego cesarstwa. Stawia tylko jeden warunek: przysłanie mu armii, która by uwolniła go od wrogów. W jego obecnej sytuacji gotów by uznać wiejskiego proboszcza w zamian za pięciuset rycerzy i tysiąc piechurów...

O, ty także, ty również się dziwisz! Gdyby jedność chrześcijańskiego świata, gdyby połączenie Kościołów od tego zależało, czyż nie można wysłać przez morze greckie tej małej armii? A więc nie, mój zacny Archibaldzie, wcale nie można. Ponieważ nie mamy za co jej

wyekwipować ani wyplacać żołdu. Ponieważ nasza piękna polityka wydała swe owoce, ponieważ by rozbroić naszych potwarców, zdecydowaliśmy siebie uszlachetniać i powrócić do czystości pierwszego Zboru... Pierwszego i któż się ośmielił twierdzić, że zna go dokładnie. Jakaż to czystość! Ledwie dwunastu apostołów, a już z nich jeden zdrajca.

A na początek zakaz pobierania danin i nadawania beneficjów nie połączonych z pieczęcią nad duszami... „owieczek winien strzec pasterz, a nie najemnik”... nakaz, by odsunąć od służby Bożej ludzi gromadzących bogactwa... „upodobnijmy się do ubogich”... i zakaz pobierania jakichkolwiek haraczy od prostytutek i domów gry”... ależ tak, wkroczyliśmy aż w takie detale... A dlatego, że gra w kości skłania do bluźnierstwa, precz z nieczystym pieniądzem; nie tuczmy się na grzechu, który taniejac bardziej krzewi się i rozszerza.

Wynik tych wszystkich reform to pustka w skrzyniach, bo czysty pieniądz płynie tylko wąską strużką; ilość niezadowolonych rośnie z dnia na dzień i wciąż pojawiają się natchnieni kaznodzieje głoszący, że papież jest heretykiem.

Ach, jeśli to prawda, że piekło jest brukowane dobrymi chęciami, drogi Ojciec Święty wyłożył nimi znaczny kawał drogi... „Czcigodny mój bracie, zwiercie mi się ze wszystkich waszych myśli, niczego nie ukrywajcie, gdybyście nawet mieli zarzuty wobec mej osoby...”

Czyż mogę mu powiedzieć, że gdyby nieco uważniej czytał to, co Stwórca wypisał dla nas na niebie, zobaczyłby, że gwiazdy tworzą złowrogi koniunkcje i groźne kwadraty nad każdym tronem łącznie z jego własnym, na którym zasiada, dlatego że układ gwiazd jest niepomysłny; bo gdyby był dobry, to ja bym się znalazł na tronie? Czy mogę mu powiedzieć, że kto ma tak nędzne aspekty w horoskopie, temu nie czas odnawiać domu od piwnic po strych, lecz tylko w miarę swych możliwości utrzymywać go w takim stanie, w jakim nam został przekazany; że nie wystarczy przybyć z gródka Pompadour w okręgu Limousin i posiadać wieśniaczą prostotę, aby zdobyć posłuch u królów i naprawiać krzywdy na świecie? Nieszczęsne czasy żądają, aby na najwyższych tronach zasiadali ludzie, którzy nie dorastają do swych stanowisk. Och! następcy niełatwe będą mieli zadanie!

W przeddzień wyjazdu jeszcze mi dorzucił: - Czyż mam być więc papieżem, który mógłby zjednoczyć chrześcijan i zawiódł? Dowiaduję się, że król Anglii gromadzi w Southampton pięćdziesiąt okrętów, by przewieźć na kontynent blisko czterystu rycerzy i łuczników oraz przeszło tysiąc koni. - Chyba się o tym dowiedział, ja sam mu dostarczyłem tej wiadomości. - Toż to połowa tego, co mi potrzeba, aby zadowolić cesarza Paleologa. Czy nie moglibyście z pomocą naszego brata kardynała Capocciego, choć nie ma waszych zasług i nie potrafię go tak miłować, jak was miłuję - kadił mi, żeby mnie uspić - lecz cieszy się on niejakim zaufaniem króla Edwarda, czy nie moglibyście króla przekonać, aby miast używać tych hufców przeciw Francji... Tak, wiem, co myślicie... król Jan także zwołał wojska, lecz jestem wrażliwy na rycerski i chrześcijański honor. Macie przemożny wpływ na Jana. Gdyby obaj królowie wyrzekli się wzajemnego zwalczania i wysłali część swych armii do Konstantynopola,

aby mógł znów się połączyć z jedynym Kościołem, jakąż by się okryli chwałą. Popróbujcie im to przedłożyć, czcigodny bracie, przekonajcie ich, że zamiast okrwawiać własne królestwa, obarczać cierpieniem chrześcijańskie ludy, stanęliby w rzędzie bohaterów i świętych...

Odpowiedziałem: - Wasza Świątobliwość, wasze pragnienie jest najłatwiejsze w świecie do spełnienia, i to natychmiast, lecz pod dwoma warunkami: co się tyczy króla Edwarda, aby został on uznany za króla Francji i ukoronowany w Reims; co się tyczy króla Jana, aby król Edward wyrzekł się swych pretensji i złożył mu hołd. Po spełnieniu tych dwóch warunków nie widzę przeszkód...

- Kpicie sobie ze mnie, bracie, nie macie wiary.

- Mam wiarę, Wasza Świątobliwość, lecz niezdolnym uczynić, by nocą zabłysło światło. To rzekłszy, gorąco wierzę, że jeśli Bóg pragnie cudu, może go i bez nas dokonać.

Przez chwilę milczeliśmy, bo wylądowywano kamienie z wozu i gromada cieśli wzięła się za łby z wozakami. Nos papieża wraz z jego dużymi nozdrzami wyraźnie się wydłużył, wielka broda opadła. Na koniec mi rzekł: - Chociaż uzyskajcie od nich podpisanie nowego zawieszenia broni. Powiedzcie im, że zabraniam im podjęcia działań wojennych. Gdyby którykolwiek prałat czy duchowny przeciwstawiał się waszym pokojowym zabiegom, pozbawcie go wszystkich jego beneficjów kościelnych. I pamiętajcie, gdyby obaj królowie upierali się przy dalszej wojnie, możecie ich nawet wykląć; zawierają to wasze instrukcje. Ekskomunika oraz interdikt.

Po tym przypomnieniu mych uprawnień, pozostało mi tylko prosić o błogosławieństwo, którego mi udzielił. Bo czy wyobrażasz sobie, Archibaldzie, że w obecnej sytuacji Europy mógłbym wykląć królów Francji i Anglii? Edward wnet by uwolnił swój Kościół od wszelakiego posłuszeństwa wobec Stolicy Apostolskiej, a Jan wysłałby konetabla, aby obległ Awinion. A co twoim zdaniem zrobiłby Innocenty? Zaraz ci powiem. Zaprzeczyłby moim słowom i zniósł klątwę. Co prawda, to były tylko czeze słowa.

Nazajutrz przeto wyjechaliśmy.

O trzy dni wcześniej, 18 czerwca, zastępy diuka Lancastra wylądowały w Hadze.







## CZĘŚĆ CZWARTA

# Lato klęski



### I

## Wyprawa na Normandię

Nie pastwi się los bez ustanku... Tak, tak! zauważyłeś Archibaldzie, że to jedna z moich ulubionych sentencji. O tak, wśród wszystkich niepowodzeń, przykrości, nieporozumień, zawsze on nas obdarza czymś dobrym, co nas krzepi. Wystarczy to należycie doceniać. Bóg wyczekuje tylko naszej wdzięczności, aby świadczyć nam dalsze łaski.

Widzisz, po tym lecie pełnym klęsk dla Francji i pełnym rozczarowań, przyznaję, dla mej misji, widzisz, jak nam sprzyja aura, jaką mamy piękną pogodę, by kontynuować naszą podróż! To zachęta niebios.

Obawiałem się, że w miarę posuwania się na północ spotkamy się ze słotą, porywistym wichrem i chłodem. Gotowałem się więc, by szczelnie zamknąć się w kolebie, opatulać w futra, pokrzepiać grzanym winem. A tu na odwrót: powietrze złagodniało, słońce przyświeca, a grudzień całkiem tchnie wiosną. Taką pogodę spotyka się czasem w Prowansji, lecz nigdy nie spodziewałem przy wjeździe do Szampanii tak rozśłonecznionych wsi ani takiego ciepła, żeby się konie aż pocily pod czaprakami.

Zapewniam cię, że nie było tak ciepło w początkach lipca, gdy przybyłem do Breteuil w Normandii, aby spotkać króla.

Bo po wyjeździe z Awinionu 21 czerwca przybyłem tam 12 lipca... ach tak! pamiętasz; już ci o tym mówiłem... że Capocci chorował... właśnie... od tempa, w jakim go wiozłem...

Co król robił w Breteuil? Oblegał, oblegał zamek po krótkiej normandzkiej wyprawie, która nie przyniosła mu wielkiego triumfu, mówiąc jak najpowściągliwiej.

Przypominam ci, że diuk Lancaster ląduje w Cotentin 18 czerwca. Uważaj na daty, w danym wypadku mają znaczenie... Gwiazdy? Ach nie! tego dnia nie przyglądałem się szczegółowo gwiazdom. Miałem na myśli, że na wojnie czas i szybkość niekiedy mają większe znaczenie niż liczebność hufców.

Po trzech dniach Lancaster połączył się pod opactwem Montebourg z oddziałami lądowymi, które przywiódł z Bretanii Robert Knolles, dobry

dowódca, oraz z zastępami zwołanymi przez Filipa Nawarry. Ile wojska wystawili ci trzej? Filip Nawarry i Gotfryd d'Harcourt mieli pod swym dowództwem tylko setkę rycerzy. Knolles dostarczył najsilniejszy zastęp: trzystu pancernych, pięciuset łuczników, zresztą wszyscy pochodzili z Anglii; byli wśród nich Bretonowie pod wodzą Jana de Montefort, pretendenta do księstwa i zwalczającego hrabiego de Blois, stronnika rodu Valois. Sam Lancaster miał ledwo stu pięćdziesięciu rycerzy i dwustu łuczników, ale za to dużą rezerwę koni.

Kiedy król Jan II zaznajomił się z liczebnością tego wojska, śmiał się do rozpuku. Czy ktoś sądzi, że się przerazi tą nędzną armią? Jeśli kuzyn z Anglii ledwo tyle może zgromadzić żołnierzy, to nie ma się w ogóle czym przejmować. „Widzicie, synu mój, Karolu, widzicie, Audrehem, miałem słuszną, gdym się nie lękał wtrącenia zięcia mego do ciemnicy; tak, miałem słuszną kpiąc z wyzwania tych małych Nawarczyków, bo mogą się popisać tylko tak słabiutkimi sojusznikami.”

I wysławiał siebie, że w początku miesiąca zwołał był wojska do Chartres. „Czyż nie dobrze przewidziałem, co wy na to, Audrehem, co wy na to, synu Karolu? Widzicie, że wystarczy zwołać tylko część wojska, a nie całe pospolite ruszenie. Niech się zapędzają ci poczciwi Anglicy, niech się wdzierają w głąb kraju. My spadniemy na nich i potopimy ich w ujściu Sekwany.”

Mówiono mi i chętnie w to wierzę, że rzadko go widziano w tak dobrym humorze. Bo ten wiecznie bity król lubił wojaczkę, przynajmniej w wyobraźni. Ruszać na wojnę, z wysokości rumaka wydawać rozkazy, mieć nareszcie posłuch! bo na wojnie ludzie są posłusznymi... w każdym razie przy wyjeździe; zrzucić troski o finanse i rządy na Mikołaja Braque, Lorrisa, na Bucy'ego oraz innych, żyć wśród mężczyzn bez babskiego towarzystwa; ruszać się, bez ustanku ruszać, wielkimi kęsami zajadać na siodle lub na przydrożnym pagórku w cieniu drzewa obciążonego drobnymi zielonymi owocami, przyjmować raporty od zwiadowców, wypowiadać pompatyczne słowa, które wszyscy będą powtarzać... „jeśli wróg chce pić, niech chłepce własną krew”... położyć dłoń na ramieniu rycerza, który pokraśniał z zachwytu... „nie zmęczonyś nigdy, Boucicaut... twój miecz aż drży, szlachetny Coucy.”

A mimo wszystko, czy odniósł chociaż jedno zwycięstwo? Nigdy. W dwudziestym roku życia mianowany naczelnym wodzem w Hainaut... zaiste piękny tytuł: naczelnny wódz!... znakomicie zmykał przed Anglikami. W dwudziestym piątym z jeszcze piękniejszym tytułem - chyba sam go wymyślił: pan zwycięstwa... drogo kosztował mieszkańców Langwedocji; po czterech miesiącach oblężenia nie udało mu się zdobyć Aiguillon przy ujściu rzeki Lot do Garonny. Lecz w jego opowieściach wszystkie bitwy były cudem bohaterstwa, choć smętnie się kończyły. Żaden człowiek nie zdobył tyle pychy doświadczając klęsk.

Tym razem długo się delectował.

Kiedy wyruszył po oriflamę do Saint-Denis i nie śpiesząc się ciągnął do Chartres, już diuk Lancaster przeszedł na południe od Caen, przekroczył rzekę Dives i zanocował w Lisieux. Nie zatarło się w pamięci wspomnienie sprzed dziesięciu lat wyprawy Edwarda III, a zwłaszcza splądrowania

Caen. Setek mieszczan zabitych na ulicy, zrabowanych czterdziestu tysięcy sztuk sukna, wszystkich drogocennych przedmiotów wywiezionych za La Manche... cudem ocalonego przed pożarem miasta... na pewno ludność normandzka o tym nie zapomniała i raczej skwapliwie przepuszczała angielskich łuczników. Zwłaszcza że Filip z Evreux-Nawarry i pan Gotfryd d'Harcourt skutecznie przekonywali, że Anglicy są przyjaciółmi. W obfitości było masła, mleka i serów, był cydr łąpczywie chleptany, na soczystych łąkach nie brakowało paszy. Poza tym taniej kosztuje żywiec przez jeden wieczór tysiąc Anglików, niż przez krągły rok płacić królowi podatek od każdej beczki z solą, podymne i tę jego daninę: osiem denarów od liwra za sprzedany towar.

W Chartres Jan II spotkał wojska mniej liczne i gorzej wyekwipowane, niż się spodziewał. Liczył na czterdziestotysięczną armię. Stawiła się jedna trzecia. Lecz czy to nie dość, czyż nawet nie za dużo w stosunku do przeciwnika, z którym ma się zetrzeć. „Ech, nie zapłacę tym, co się nie stawili, cała korzyść dla mnie. Ale żądam wysłania im surowej nagany.”

Zanim rozgościł się w swym namiocie zdobnym w kwiaty lilii, zanim wysłano pisma z naganą... „kiedy król pragnie, rycerz musi”... już diuk Lancaster był pod Pont-Audemer w lennie króla Nawarry. Już oswobodził zamek, próżno oblegany od kilku tygodni przez francuskie wojsko, wzmocnił nawarską załogę i zaopatrzył się w żywność na cały rok; po czym ruszył na południe, by splądrować opactwo w Bec-Hellouin.

Zanim diuk Aten zaprowadził trochę ładu w tłumach w Chartres, bo ci, co się stawili, od trzech tygodni tratowali młode zboże i jęli się niecierpliwie... zanim zwłaszcza załagodził spory między dwoma marszałkami, Audrehemem i Janem de Clermont, którzy z całego serca się nienawidzili, już Lancaster był pod murami zamku Conches, skąd wyгнаł załogę króla. Po czym podłożył ogień. Tym sposobem poszła z dymem dawna pamięć o Robercie d'Artois i świeższa o Karolu Złym. Szczęścia zamek ten nie przynosi... Lancaster ruszył na Breteuil. Prócz Evreux zostały odebrane jedna po drugiej wszystkie warownie, które król zajął w lennie zięcia.

„Zmiażdżymy tych niegodziwców w Breteuil”, dumnie oświadczył Jan II, kiedy jego armia zdołała wreszcie wyruszyć. Siedemnaście mil od Chartres do Breteuil. Król chciał przebyć tę drogę jednym skokiem. Począwszy od południa, maruderzy poczęli odpadać. Kiedy zmordowani ludzie dotarli do Breteuil, Lancastra już tam nie było. Zdobył warowny zamek, pojmał francuską załogę, a na jej miejscu pozostawił mocny zastęp pod komendą Sancha Lopeza, doświadczonego nawarskiego dowódcy. Jemu również pozostawił żywność na cały rok.

Krół Jan, zawsze skłonny się pocieszyć, i tym razem wykrzyknął: „My ich wyrzniemy w Verneuil, prawda synkowie?” Delfin nie śmiał wypowiedzieć tego, z czego mi się później zwierzył, a mianowicie, że wydało mu się głupotą, by piętnaście tysięcy ścigało jeden tysiąc żołnierzy. Wcale nie chciał wydać się mniej zażarty niżli młodszy jego bracia, którzy wzorowali się na ojcu i demonstrowali zapał, łącznie z najmłodszym Filipem, ledwo czternastolatkiem.

Verneuil leży nad rzeką Avre; to jeden z normandzkich portów. Zastęp

angielski w przeddzień tędy przeszedł jak niszczycielski potok. Mieszkańcy ujrzeni, że francuska armia nadciąga niczym wezbrana rzeka.

Pan Lancaster, świadom, jaka fala wojska może go zalać, przezornie nie ruszył w kierunku Paryża. Zagarniając po drodze ogromny łup, a także wielką liczbę jeńców, zawrócił na zachód. „Na Laigle, na Laigle poszli, na Laigle”, wskazywali wieśniacy. Słyszając to król Jan uczył, że nim kieruje wola Boża. Wiesz dlaczego... Ależ nie, Archibaldzie, nie z powodu ptaka...<sup>5</sup> Ach, i ty rozumiesz... z powodu „Czmychającej Świni”... miejsca zabójstwa Pana z Hiszpanii... Gdzie dopuszczono się zbrodni, tam się pojawia karząca dłoń króla. Zezwolił armii ledwie na cztery godziny snu. W Laigle spotka Anglików oraz Nawarczyków i nareszcie wybije godzina pomsty.

Przeto 9 lipca przystanął na progu „Czmychającej Świni”, aby ugiąć tutaj swój żelazny nakolaniek... zaiste dziwne dla wojska widowisko: król pograżony we łzach i modłach przed drzwiami oberży!... Wreszcie o dwie mile od Laigle, na skraju lasu Tuboeuf, dostrzegł Lancastrowe włócznie. Ciąg dalszy, jak mi mówiono, nastąpił po trzech dniach.

- Podpiąć rzemienie hełmów, stanąć w szyku bojowym! - krzyknął król.

Tedy raz wreszcie zgodni konetabl i obaj marszałkowie stanęli mu okoniem.

- Sire - szorstko oświadczył Audrehem - widzieliście, że zawsze gorliwie wam służyłem...

- Ja także - dodał Clermont.

- ...ale byłoby szaleństwem natychmiast uderzać. Ani kroku nie można żądać od wojska. Od czterech dni nie zezwalacie im odpocząć. Nawet dzisiaj wiedliście ich szybciej niż kiedykolwiek. Ludzie są bez tchu. Spójrzcie. Łucznicy mają okrwawione stopy, gdyby nie włócznie, na których się wspierali, padliby na drodze.

- Ach, ta piechota, wciąż wszystko opóźnia! - rzekł rozdrażniony Jan II.

- Konnica nie więcej jest warta - odparł Audrehem. - Wiele koni ma kłęby poranione od ciężarów, a wiele innych kuleje, bo nie można było ich podkuć. Zbrojni, jadąc w skwarze, mają tyłki we krwi. Niczego się nie spodziewajcie po waszych chorągwiach, zanim nie odpoczną.

- Poza tym, Sire - drożył się Clermont - widzicie, na jakim terenie będziemy atakować. Przed nami gęsty las, gdzie skrył się pan Lancaster. Z największą łatwością zdoła się z wojskiem wymknąć, a tymczasem nasi łucznicy zaplączą się w krzakach, a nasze włócznie będą trafiały w pnie.

Król Jan przez chwilę się złościł, przeklinał ludzi i okoliczności, skazujące na niepowodzenie jego zamiary. Po czym powziął jedną z tych zaskakujących decyzji, które powodują, że dworzanie zwą go Dobrym, pragnąc, aby pochlebstwo dotarło do jego uszu.

Wysłał do diuka Lancastra swych dwóch przybocznych giermków, Pluyana du Val i Jana de Corquilleray, aby zanieśli mu wyzwanie i zażądali stoczenia bitwy. Lancaster stał na polanie za rozstawionymi z rzadka włóczniekami, a tymczasem zwiadowcy obserwowali zewsząd francuską armię i myskowali za drogą odwrotu. Niebieskooki diuk ujrzał więc zbliżających się ku niemu dwóch giermków, eskortowanych przez kilku

---

<sup>5</sup> Gra słów: igle [franc.] - orzeł

zbrojnych. Nieśli osadzone na drzewcach włócznie proporce haftowane w kwiaty lilii i dęli w różki niczym heroldowie na turnieju. Wraz z Filipem Nawarry, Janem de Montfort i Gotfrydem d'Harcourt wysłuchał następującego przemówienia, które wygłosił Pluyan du Val.

Król Francji przybył na czele olbrzymiej armii, podczas gdy diuk ma tylko garstkę żołnierzy. Przeto proponuje diukowi, aby nazajutrz stoczyli ze sobą bitwę z tą samą liczbą rycerzy z obu stron; stu, pięćdziesięciu czy nawet trzydziestu, w miejscu umówionym i wedle wszystkich prawideł rycerskich.

Lancaster dwornie przyjął propozycję króla, „mieniącego się władcą Francji”, jednakowoż wszędy sławnego z cnót rycerskich. Zapewnił, iż wyzwanie rozpatrzy wspólnie ze swymi sojusznikami, których wskazał dłonią, sprawa bowiem jest zbyt poważna, aby mógł sam o niej stanąć. Obaj giermkowie wywnioskowali z tych słów, że Lancaster nazajutrz da odpowiedź.

Po tym zapewnieniu król Jan rozkazał rozbić swój namiot i pogрузzył się w sen. Nocą wszyscy Francuzi stanowili armię chrapiących wojaków.

Rano las Tuboeuf świecił pustką. Widoczne były drogi odmarszu, lecz ani śladu Anglików, ani Nawarczyków. Lancaster wraz z wojskiem przezornie wycofał się w stronę Argentan.

Król nie miał dość słów pogardy dla tych wrogów bez czci, sprawnych tylko w grabieży, gdy nikt im nie zagraża, lecz zmykają, skoro tylko wzywa się ich do bitwy. „My Gwiazdę nosimy na sercu, a ich Podwiązka chłószcze po łydkach. Oto, co nas różni. To rycerze spod znaku ucieczki.”

Czy zamierzał ich ścigać? Marszałkowie proponowali wysłać najświeższe chorągwie, by przecięły drogę Lancastrowi; ku ich zdziwieniu Jan II odrzucił pomysł. Rzekłbyś, iż bitwę wygrał, skoro przeciwnik nie podjął wyzwania.

Postanowił wrócić do Chartres i rozpuścić wojsko. Po drodze odbije Breteuil.

I znów Audrehem mu wytknął, że załoga pozostawiona przez Lancastra w Breteuil jest liczna, pod dobrym dowództwem i świetnie obwarowana.

- Znam twierdzę, Sire, niełatwo się ją zdobywa.

- Dlaczego więc nasi dali się wypędzić? - odpowiedział mu król Jan. - Osobiście poprowadzę oblężenie.

I to właśnie tam go spotkałem, mój bratanku, 12 lipca, w towarzystwie Capocciego.





## II

### Obleżenie Breteuil

**K**ról Jan powitał nas w pełnej zbroi, jakby za pół godziny miał przypuścić atak. Ucałował nasze pierścienie, spytał o nowiny o Ojcu Świętym i nie słuchając przydługiej, rozwlekłej i kwiecistej przemowy, w której ugrzązł Mikołaj Capocci, powiedział mi:

- Wielebny Panie de Perigord, przybywacie w sam czas, aby obejrzyć piękne obleżenie. Znam męstwo waszego rodu, znam jego doświadczenie w sztuce wojennej. Wasi wielce godnie służyli królestwu. Gdybyście nie zostali księciem Kościoła, na pewno bylibyście marszałkiem mojej armii. Ręczę, że pobyt tutaj sprawi wam przyjemność.

Ten zwrot wyłącznie do mnie i gratulowanie mi mojej paranteli mocno nie spodobały się Capocciemu, który nie pochodzi z najświetniejszego rodu, uważał więc za właściwe powiedzieć, że nie przybyliśmy tu, by zachwycać się czynami wojennymi, lecz pertraktować o pokój w chrześcijaństwie.

W lot pojąłem, że stosunki między moim współlegatem a królem Francji źle się ułożą, zwłaszcza gdy ten ujrzął mego siostrzeńca Roberta Durazzo; którego powitał nader przyjaźnie, rozpytując go o dwór neapolitański i o stryjnę jego królową Joannę. Trzeba przyznać, że mój Robert był bardzo piękny, postawa wspaniała, twarz różowa, włosy jedwabiste... uosobienie wdzięku i siły. Dostrzegłem, że w oku króla zapala się iskierka, która zazwyczaj błyszczy w oczach mężczyzn, kiedy przechodzi piękna kobieta. „Gdzieście się zakwaterowali?” - spytał. Odpowiedziałem, że się rozgościmy w pobliskim opactwie.

Bacznie mu się przyglądałem i stwierdziłem, że postarzał się, przytył, stał się bardziej ociężały, a podbródek mu zwisał pod skąpą słomianej barwy brodą. Nabrał zwyczaju kręcenia głową, jakby przy kołnierzu czy na ramieniu uwierał go jakiś oskołek od kolczugi.

Postanowił pokazać nam obóz, gdzie nasze przybycie wywołało falę zaciekawienia. „Oto Jego Eminencja, Dostojny Pan de Perigord przybył do nas w odwiedziny” - powiedział chorążym, jakbyśmy zjechali umyślnie, by mu przynieść pomoc niebios. Udzielałem błogosławieństwa. Capocci coraz bardziej spuszczał nos na kwintę.

Zależało bardzo królowi, abym poznał jego dowódcę od machin wojennych; zda się, przypisywał mu więcej znaczenia niż marszałkom, a nawet konetablowi. „Gdzie Arcykapłan?... kto widział Arcykapłana?... Bourbon, każcie wezwać Arcykapłana...” A ja zapytywałem siebie, co spowodowało, że przezwano „arcykapłanem” dowódcę od katapult, pocisków i artylerii.

Dziwaczny drab stanął przed nami: długie pałkowate nogi w stalowych nagolennicach i nabiodrkach; miał minę, jakby chodził po błyskawicach. Pas mocno zaciśnięty na skórzanym kaftanie nadawał mu wygląd osy.

Wielkie łapy o czarnych paznokciach trzymał rozstawione z powodu metalowych naramienników. Gęba nader podejrzana, chuda, o wystających kościach policzkowych, oczy wąskie i szydercza mina kogoś, kto za ćwierć denara gotów każdego wydrwić. I szczyt wszystkiego: kapelusz z Montauban o szerokim rondzie, cały z żelaza, nad nosem wydłużony w szpic, ze szparami, aby widzieć, gdy pochyla głowę.

- Gdzieżeś był, Arcykapłanie? Wszędzie cię szukano? - rzekł król i zwracając się do mnie, przedstawił: - Arnold de Cervole, pan na Velines.

- Arcykapłan do waszych usług... Wielebny Panie Kardynale - dorzucił tamten kpiącym tonem, który mi się wcale nie spodobał.

I nagle sobie przypominam... Velines... toż to w naszych stronach, Archibaldzie. Oczywiście, w pobliżu Sainte-Foy-la-Grande, na granicy Perigord i Gujeny. A drab na pewno był arcykapłanem bez tonsury, nie znającym łaciny, jednakże arcykapłanem. Jakim sposobem? Ależ oczywiście w Velines, małym lennie, gdzie zdołał uzyskać dla siebie probostwo, pobierając zarazem należności lenne i dochody kościelne. Niewiele go kosztowało płacić marny grosz prawdziwemu duchownemu, aby sprawował obrządki w kościele... aż papież Innocenty na początek swego pontyfikatu odebrał mu beneficjum, jak i wszystkie tego rodzaju dochody, „...owieczek winien strzec pasterz...”, o czym poprzedniego dnia ci mówiłem. Więc ulotniło się arcykapłaństwo w Velines! Miałem sposobność zaznajomić się z tą sprawą wśród setek innych podobnych i wiedziałem, że drab nie miłuje z całego serca dworu w Awinionie. Tym razem muszę stwierdzić, przyznałem słuszność Ojcu Świętemu. Domyślałem się, że także ten Cervole będzie mi bruździł.

- Arcykapłan wykonał w Evreux wspaniałą robotę i odzyskaliśmy miasto - oświadczył mi król, pragnąc podkreślić zalety swego pirotechnika.

- Jedne, któreście odebrali Nawarczykowi, Sire - odparł z beczelną zuchwałością Cervole.

- To samo zrobimy z Breteuil. Chcę pięknego oblężenia jak pod Aiguillon.

- Z tym wyjątkiem, że nigdy nie zdobyliście Aiguillon, Sire.

Do licha, pomyślałem, w łaskach jest na dworze, skoro mówi tak szczerze.

- Bo nie dano mi, niestety, czasu - westchnął król.

Należało być Arcykapłanem... sam jałem go tak nazywać, ponieważ wszyscy go tak zwali... należało być tym człowiekiem, aby kiwając swym żelaznym kapeluszem burczeć w obliczu monarchy: „Czas, czas... sześć miesięcy”.

Należało być królem Janem, aby wierzyć, że oblężenie Aiguillon, którym dowodził w tym samym roku, kiedy jego ojciec dał się pokonać pod Crécy, było wzorem sztuki wojennej. Przedsięwzięcie rujnujące, nie ukończone. W tak dogodnym miejscu kazał budować most, aby się zbliżyć do warowni, że sześciokrotnie go niszczone. Z wielkim nakładem kosztów i bardzo powoli sprowadzane aż z Tuluzy skomplikowane maszyny nie przydały się absolutnie na nic.

To więc było źródłem chwały króla Jana, na tym opierał swe doświadczenie. Zaiste uparcie załatwiając swe porachunki z losem, pragnął

po dziesięciu latach wziąć odwet za Aiguillon, chciał dowieść, że trafna jest jego taktyka i pozostawić w pamięci narodów wspomnienie znakomitego oblężenia.

Dlatego właśnie zaniedbał pościgu za nieprzyjacielem, którego bez trudu mógł pokonać, i rozbił swój namiot pod Breteuil. Rzekłbyś, że zwracając się do Arcykapłana świetnie obeznanego ze sztuką niszczenia prochem, postanowił podminować mury zamku, podobnie jak w Evreux. Gdzież tam! Zażądał od swego mistrza od robót saperskich, aby ten wzniósł rusztowania atakujące sponad murów. Marszałkowie i dowódcy słuchali rozkazów króla pełni respektu i skwapliwie je wykonywali. Dopóki ktoś rozkazuje, choćby to był największy dureń, zawsze znajdują się ludzie ufający w celność rozkazów.

Co zaś do Arcykapłana... Miałem wrażenie, że kpi ze wszystkiego. Król chciał mieć pochylnie, rusztowania, wieże oblężnicze, a więc się je zbuduje, a w zamian zażąda zapłaty. Jeśli te dawne maszyny, te katapulty, z czasów gdy jeszcze nie znano paszcz ognistych, nie przyniosą spodziewanych wyników, niechże król na siebie samego się złości. On, Arcykapłan, nie dopuściłby, aby ktoś mu jedno słowo powiedział; miał na króla Jana wpływ, jaki niekiedy miewają na książąt starzy wojacy, i nie krępując się z tego korzystał, skoro skarbnik wypłacił żołąd jemu i jego kompanom.

Mały normandzki gródek przeistoczył się w olbrzymi plac budowy. Wokół zamku wznoszono szańce. Wykopana ziemia służyła do budowy pomostów i pochylni ułatwiających atak. Słychać było tylko szuranie łopatami, hałas zwózki, zgrzyt osi od wozów, klaskanie biczem i przekleństwa. Zdawało mi się, że wróciłem do Villeneuve.

W pobliskich lasach rozbrzmiewały uderzenia toporem. Niektórzy okoliczni wieśniacy dobrze nabijali sobie kabzy, jeśli sprzedawali trunki. Inni byli zaskoczeni i przerażeni, widząc, że sześciu drabów rozwała im stodołę, aby zabrać belki podtrzymujące strop. „Z rozkazu króla!” Powiedziane raz dwa. I oskardy były w glinianą polepę, a sznury ściągały drewniane bale i z wielkim trzaskiem wszystko się waliło. „Mógłby ten król gdzie indziej stanąć, a nie nasyłać nam tych zbójców, którzy ściągają nam dach nad głową...” - mówili wieśniacy. Poczuli myśleć, że król Nawarry był lepszym władcą, a nawet obecność Anglików była mniej uciążliwa niż króla Francji.

Przez część lipca pozostałem więc w Breteuil ku wielkiemu ubolewaniu Capocciego, który wolałby pobyt w Paryżu... ja także bym wolał... i wysyłał do Awinionu pełne jadu pisma, dając zgryźliwie do zrozumienia, że bardziej mi się podoba wojna niż praca nad zawarciem pokoju. Powiedz mi, proszę, jakże mógłbym inaczej pracować nad dziełem pokoju, niż rozmawiając z królem, a gdzieżbym mógł z nim rozmawiać, jeśli nie przy oblężeniu, skąd król wedle wszystkich pozorów nie chciał się oddalić?

Całe dni spędzał wraz z Arcykapłanem przy robotach, marnował czas sprawdzając kąt ataku, troszcząc się o szańce, a przede wszystkim patrzył na budowę drewnianej wieży, nadzwyczajnej wieży oblężniczej na kołach, zdolnej pomieścić mnóstwo łuczników wraz z całym rynsztunkiem dla kuszników i ognistymi pociskami, maszyny, jakiej się nie widziało od



czasów starożytnych. Nie wystarczało wybudować kondygnacje, należało jeszcze znaleźć dość skór z wołów, aby przykryć to olbrzymie rusztowanie, a później uklepać twardą i równą drogę, aby móc wieżę popychać. Ale kiedy machina będzie gotowa, to dopiero cuda się obaczy!

Król często zapraszał mnie na wieczerzę i tam mogłem z nim rozmawiać.

- Pokój? - mawiał. - Ależ bardzo go pragnę. Spójrzcie, rozpuszczam właśnie moje wojsko i zatrzymuję tylko tyle, ile mi potrzeba do oblężenia. Zaczekajcie, aż zdobędę Breteuil, a natychmiast zawrę pokój wedle pragnienia Ojca Świętego. Niech moi wrogowie przedłożą mi swe propozycje.

- Sire - odparłem - należałoby wiedzieć, jakie propozycje bylibyście gotowi rozważyć...

- Te, które nie będą sprzeczne z moim honorem.

Nie była to sprawa łatwa! I niestety, to ja musiałem go o tym pouczyć, bo lepiej od niego byłem poinformowany, że książę Walii gromadził wojska w Libourne i La Reole na nową wyprawę.

- I prawie mi o pokoju, Wielebny Panie de Perigord?

- Właśnie, Sire, aby uniknąć nowych nieszczęść...

- Tym razem nie zezwolę, aby angielski książę harcował po Langwedocji jak w ubiegłym roku. Zwołam ponownie wojska na 1 sierpnia do Chartres.

Zdziwiłem się, że odprawia swe chorągwie, aby po tygodniu znów je zawezwać. Dyskretnie o tym napomknąłem diukowi Aten i Audrehemowi, bo wszyscy ci dowódcy przychodzili do mnie, by się zwierzać. Nie, król się uparł w trosce o oszczędność, co wcale nie leżało w jego obyczajach; najpierw odprawia wojska zwołane przezeń w poprzednim miesiącu, aby ponownie je zwołać wraz z całym pospolitym ruszeniem. Ktoś musiał mu to doradzić, może Jan d'Artois albo ktoś o równie tegiej głowie, że zaoszczędzi kilkudniowy żołd. Ale opóźniłby się o cały miesiąc w porównaniu z księciem Walii. O tak! zależało mu na pokoju, ale im dłużej by czekał, tym trudniej byłoby go zadowolić.

Poznałem lepiej Arcykapłana i muszę przyznać, że rozbawił mnie ten poczciwiec. Zbliżyła go do mnie kraina Perigord; przychodził prosić mnie, abym spowodował zwrócenie mu beneficjum. Ale w jakich słowach!

- Wasz Innocenty...

- Ojciec Święty, przyjacielu, Ojciec Święty... - napominałem.

- Zgoda, Ojciec Święty, jeśli chcecie, odebrał mi moje dochody za utrzymanie ładu w kościele... tak mi powiedział biskup. Więc co? Czy myśli, że przedtem nie pilnowałem porządku w Velines? Czy myślicie, Panie Kardynale, że nie sprawowałem opieki nad duszami? Próżno byłoby patrzeć, że konający umiera bez sakramentów! Przy najbłahszej chorobie wysyłałem postrzyżenca. Za sakramenty się płaci. A ludzie, którzy stawali przed moim sądem? Grzywna i jazda do spowiedzi, i opłata penitencjarna. To samo z cudzołóstwem. Ja wiem, jak należy opiekować się porządnymi chrześcijanami.

Odrzekłem mu: - Kościół stracił arcykapłana, ale król pozyskał dobrego rycerza.

Bo w ubiegłym roku Jan II pasował go na rycerza.

Nie do cna był zły ów Cervole. Zdziwiająco tkliwym tonem mówił o

brzegach naszej Dordogne. Wieczorem między topolami i jesionami szeroka rzeka o zielonej wodzie, w której przeglądają się nasze zamki; soczyste łąki wiosną; w skwarnym lecie dojrzewa żółty jęczmień; wieczory pachnące miętą; wrześniowe winogrona, które w dzieciństwie obrywaliśmy zębami z ciepłych kiści... Gdyby wszyscy Francuzi tak kochali własny kraj, jak ów człowiek, królestwo miałoby lepszą ochronę.

W końcu pojąłem powody łaski, jaką się cieszył. Najpierw przyłączył do króla podczas wyprawy na Saintonge w 51 roku, mały wprawdzie, zastęp, lecz wpoił on Janowi II wiarę, że będzie zwycięskim królem. Arcykapłan przywiódł mu oddział złożony z dwudziestu pancernych i sześćdziesięciu piechurów. W jaki sposób mógłby ich zgarnąć w Velines? W każdym razie była to cała kompania. Tysiąc dukatów w złocie wypłaconych przez wojennego skarbnika za całoroczną służbę... To pozwoliło królowi mówić: „Od dawna jesteśmy towarzyszami broni, nieprawdaż, Arcykapłanie?”

Następnie służył pod dowództwem Pana z Hiszpanii, a chytrus nigdy tego nie omieszkął przypomnieć królowi. Nawet pod wodzą Karola z Hiszpanii podczas kampanii w 53 roku wypędził Anglików z własnego zamku w Velines i z okolicznych ziem, Montcarret, Montaigne, Montravel... Anglicy zajęli byli Libourne i mieli tam silny zastęp łuczników. Lecz on, Arnold de Cervole, władał Sainte-Foy i nie był skłonny pozwolić, aby mu warownię odebrano... „Jestem przeciw papieżowi, ponieważ mię pozbawił mego arcykapłaństwa; jestem przeciw Anglikowi, ponieważ splądrował mój zamek; jestem przeciw Nawarczykowi, ponieważ zabił mego konetabla. Czemuż nie było mnie przy nim w Laigle, aby go obronić”. Prawdziwy balsam na uszy króla.

Wreszcie Arcykapłan celuje w operowaniu sprzętem ognistym. Miłuje go, oswaja sobie, bawi się nim. Mówił mi, że nic mu się tak nie podoba, jak zapalenie lontu po podziemnym przygotowaniu, widok zamku roztwierającego się niby kwiat, niby bukiet, wyrzucającego w powietrze ludzi i kamienie, włócznie i dachówki. Z tego powodu otacza go, jeśli nie szacunek, to przynajmniej pewne poważanie; bo wielu nawet najodważniejszych rycerzy wzdraga się przed zbliżeniem do tej diabelskiej broni, którą on włada jakby zabawką. Za każdym razem, gdy pojawiają się nowe metody prowadzenia wojny, istnieją ludzie, którzy wnet je wyczuwają i stosując je, zdobywają rozgłos. Kiedy żołnierze zasłaniają uszy rękoma, biegną, by się schronić, a nawet baronowie i marszałkowie przezornie się cofają, on, Cervole, z błyskiem rozbawienia w oku patrzy na toczące się baryłki z prochem, wydaje jasne rozkazy, przeskakuje przykopy, stacza się w podkopy, czołga podpierając się na skrzydłach od swych naramienników, wychodzi, spokojnie krzesze ogień, czeka, zanim odejdzie do kąta martwego albo przycupnie pod murkiem, podczas gdy rozlega się grzmot, od którego ziemia drży i rozwierają się mury.

Zadania tego rodzaju wymagają mocnej drużyny. Cervole swoją dobrał: bystrych drabów, rozmiłowanych w rzezi, zachwyconych, iż sieją przerażenie, łamią i niszczą. Dobrze im płaci, bo ryzyko warte zapłaty. Chadzał w trójkę ze swymi dwoma zastępcami wybranymi zda się z powodu nazwisk: Gastonem Paradnym i Bernardem Pyszny. Mówiąc między nami, gdyby król Jan trafniej zatrudnił tych trzech pirotechników,

Breteuil padłoby po tygodniu. Ale nie; pragnął on toczącej się wieży oblężniczej.

Kiedy wznoszono tę drewnianą wieżę, don Sancho Lopez oraz jego Nawarczycy i Anglicy wcale nie wyglądali na przerażonych. W oznaczonej porze zmieniały się strażę na ronce. Oblężeni, sownie zaopatrzeni w żywność, sprawiali wrażenie sytych. Od czasu do czasu wysyłali pęk strzał na kopaczy, ale oszczędnie, żeby nie marnować swych zapasów. Strzały, wypuszczone niekiedy podczas przechadzki króla, dostarczały mu złudzenia, iż jest bohaterem... „Widzieliście? Cała chmara do niego dotarła, a Pan nasz ani drgnął; ach! jakież dzielny król...”, zaś Arcykapłan, Pyszny i Paradny krzyżąc: „Strzeżcie się, Sire, celują w was”, osłaniali go własnym ciałem od strzał, które w końcu padały na trawę u ich stóp.

Arcykapłan nie pachniał miło. Lecz trzeba przyznać, że wszyscy cuchnęli, cuchnął cały obóz i w pierwszym rzędzie fetor oblegał Breteuil! Wiatr nawiewał woń odchodów, bo własne potrzeby tuż przy miejscu pracy załatwiali ci wszyscy, którzy kopali, zwozili, piłowali, wbijali gwoździe. Nikt się nie mył, a sam król ciągle w zbroi...

Używając ile się dało pachnideł i wonnych olejków, miałem czas przyglądać się słabostkom króla Jana. Ach! cud prawdziwy, tyle ignorancji!

Miał tutaj dwóch kardynałów, którzy z polecenia Ojca Świętego mieli się starać o zawarcie trwałego i ostatecznego pokoju; otrzymywał pisma od wszystkich w Europie książąt, którzy ganili jego zachowanie wobec króla Nawarry i doradzali, aby go uwolnił; dowiadywał się, że daniny wszędzie słabo wpływają, a poddani nie tylko w Normandii, nie tylko w Paryżu, ale w całym królestwie są rozgoryczeni i skłonni do buntu; przede wszystkim wiedział, że szykują się przeciw niemu dwie angielskie armie: Lancastra w Cotentin, do którego już dotarły posiłki, oraz armia akwitańska... Lecz nic w jego oczach nie miało znaczenia prócz małej normandzkiej warowni i nic go od niej nie mogło oderwać. Upierać się przy drobnym szczególe, a nie obejmować wzrokiem całości to wielka przywara u księcia.

W ciągu całego miesiąca tylko jeden raz i na cztery dni Jan II pojechał do Paryża, i to, by narobić tam głupstw, o czym ci opowiem. A jedyny edykt, którego wówczas nie powierzył trosce swych doradców, a ogłoszony w gródkach i podległych bajlifom okręgach na sześć mil wokół Breteuil, nakazywał wszystkim murarzem, cieślom, kopaczom, wszystkim mającym rydle i motyki, drwalom oraz innym rzemieślnikom wraz z narzędziami pracy stawić się, czy to w dzień, czy nocą, i pracować przy wieżach oblężniczych.

Napełniał go zadowoleniem widok wielkiej ruchomej wieżycy, klejnotu natarcia, tak ją bowiem nazywał. Trzy piętra; każda platforma dość obszerna, aby mogło na niej pomieścić się i walczyć dwustu ludzi. Na niezwykłej tej maszynie miało stanąć w sumie sześciuset żołnierzy, po czym miała toczyć się na swych czterech olbrzymich kołach, kiedy zwiezie się dość chrustu i faszyn, zwiezie dość kamieni i zgromadzi ziemi, aby uklepać drogę.

Krół Jan tak był dumny ze swej wieży oblężniczej, że zapraszał gości, aby oglądali jej budowę, a następnie atak. Przybył więc bastard kastylijski,

Henryk de Trastamare, a także hrabia Douglas.

„Pan Edward ma swego Nawarczyka, a ja mam mego Szkota” - dowcipkował król. Ta jednak istniała różnica, że Filip Nawarry przywiódł Anglikom połowę Normandii, podczas gdy pan Douglas przyniósł królowi Francji jedynie swój tęgi miecz.

Jeszcze brzmia mi w uszach wyjaśnienia króla: „Spójrzcie, panowie, wieżę tę można pchnąć, dokąd się chce na wały, góruje nad nimi, umożliwi oblegającym rzucać płyty i kamienie, atakować nawet na wysokości rontu. Przybite gwoździami skóry osłabiają uderzenia strzał”. Ja zaś uparcie chciałem omawiać z nim warunki pokoju.

Nie tylko Hiszpan i Szkot oglądali olbrzymią drewnianą wieżę. Żołnierze pana Sancha Lopeza także jej się przyglądali, ostrożnie, bo Arcykapłan wybudował inne jeszcze maszyny, które obficie zraszały załogę kamiennymi pociskami i ognistymi strzałami. Zamek właściwie został pozbawiony dachów. Ale żołnierze Lopeza nie wyglądali na zbyt przerażonych. Wiercili dziury na pół wysokości murów. “Żeby ułatwić sobie ucieczkę” - mawiał król.

Wreszcie nastał wielki dzień. Stałem nieco na uboczu na małym kopczyku, bo rzecz mnie zaciekała. Stolica Apostolska ma wojsko, a miasta też należy bronić... Pojawia się król Jan II w hełmie uwieńczonym kwiatami lilii, skrzącym się mieczem daje znak. Grzmia trąby. Na szczycie obciążonej skórą wieży powiewa sztandar z kwiatami lilii, a pod nim chorągwie oddziałów stojących na trzech piętrach. Wieża obleźnicza to zaiste pęk sztandarów! A oto rusza się. Ludzie i konie są do niej przyprężeni całymi gronami, Arcykapłan skanduje komendę wrzeszcząc pełną gębą. Mówiono mi, że użyto sznurów z konopi za całe tysiąc liwrów. Machina postępuje bardzo wolno, trochę się chyboce, drewno skrzypi, ale postępuje. Patrząc, jak sunie nieco się kołysząc, cała najeżona sztandarami, rzekłbyś, że to statek przybija do brzegu. Istotnie w wielkiej wrzawie przybija do murów. Już walka toczy się na blankach, na wysokości trzeciej platformy. Krzyżują się miecze, gęsto prują strzały. Otaczająca zamek armia z zapartym tchem jak jeden mąż zadziera głowy. Tam na górze dokonują się bohaterskie czyny. Król arcywspaniały ma otwartą przyłbicę, przygląda się tej walce w powietrzu.

I nagle straszliwy łoskot wstrząsnął zastępami, a kłęb dymu spowił chorągwie na szczycie wieży.

Pan Lancaster pozostawił don Sanchowi Lopez plujące kulami paszcze, których ów przezornie aż dotąd nie użył. I oto te paszcze przez dziury wywiercone w murach celnie strzelają w toczącą się wieżę, rwą okrywającą ją wołowe skóry, koszą szeregi ludzi na platformach, łamią rusztowanie.

Próżno równocześnie strzelają balisty i katapulty Arcykapłana, nie mogą one przeszkodzić drugiej, później trzeciej salwie. Lecą nie tylko żeliwne kule, ale i płonące garnki, rodzaj greckich ogni, wałą w wieżę. Ludzie z wyciem padają albo rwą się ku drabinom, albo nawet rzucają się w pustkę, poparzeni straszliwie. Płomienie poczynają tryskać ze szczytu pięknej maszyny. I nagle z piekielnym trzaskiem zapada się pierwsze piętro miażdżąc w żarze żołnierzy...

W zyciu, Archibaldzie, nie słyszałem straszliwszych okrzyków bólu, a

przecie nie stałem najbliżej. Łucznicy uwięzili w splątanych rozżarzonych balach. Trzaskały wgniecione piersi, nogi, ramiona. Wołowe skóry, płonąć, roztaczały okropny fetor. Wieża jęła się pochylać i kiedy wszyscy myśleli, że się zwali, nagle znieruchomiła pochylona, wciąż płonąć. Oblewano ją, ile się dało, wodą, krzątano się przy wyciąganiu zmiażdżonych czy poparzonych ciał, a tymczasem obrońcy zamku skakali z radości na murach krzycząc: „Hosanna, święty Jerzy! Niech żyje Nawarra!”

Król Jan, widząc tę klęskę, jakby szukał wokół siebie winowajcy, skoro tylko on zawinił. Lecz stał tu Arcykapłan w żelaznym kapeluszu i wielki gniew, który już miał wybuchnąć, ścichł pod hełmem króla. Bo Cervole był niewątpliwie jedynym w całej armii człowiekiem, który nie zawahałby się powiedzieć królowi: „Patrzcie na waszą głupotę, Sire. Doradzałem wam założenie min raczej, niż budowanie tych wielkich rusztowań nie będących już w użyciu od niemal pięćdziesięciu lat. Nie żyjemy za czasów templariuszy, a Breteuil to nie Jerozolima!”

Król, jedynie spytał:

- Czy sprzęt ten można naprawić?

- Nie, Sire.

- Więc do reszty go zburzcie. Posłużcie do zasypania rowów.

Myślałem, że ten wieczór nadaje się, by podjąć rozmowy o traktacie pokojowym. Niepomyślny zwrot losu zwykle otwiera królom uszy na głos rozsądku.

Okropne rzeczy, jakich byliśmy świadkami, pozwalały mi odwołać się do chrześcijańskich uczuć. Jeśli król przepelniony rycerskim zapałem pragnie bohaterskich czynów, oto papież proponuje jemu oraz innym książętom europejskim zdobycie o wiele większych zasług, okrycie się większą chwałą pod Konstantynopolem. Otrzymałem odprawę, co Capocciego napełniło zadowoleniem.

- Zagrożają mi we własnym królestwie dwie angielskie armie i nie mogę odkładać przygotowań do ich zaatakowania. Na razie to moja największa troska. Pomówimy o tym w Chartres, jeśli łaska.

Niebezpieczeństwo, o którym wczoraj nie wiedział, nagle mu się wydało najbardziej palącą sprawą.

A Breteuil? Co postanowił zrobić z Breteuil? Przygotowanie nowego ataku wymagało od oblegających jeszcze jednego miesiąca. Z drugiej strony, oblężeni, choć nie wyczerpali ani zapasów żywności, ani amunicji, doznali dużych strat. Mieli rannych, szczyty wież były zburzone. Ktoś wzmiankował o podjęciu rokowań, o zaofiarowaniu załodze honorowego oddania twierdzy. Król zwrócił się ku mnie.

- A więc, Wielebny Kardynale...

Z kolei i ja okazałem się wyniosły. Przybyłem z Awinionu, aby pracować nad dziełem powszechnego pokoju, a nie pośredniczyć w poddaniu się jakiejś twierdzy. Pojął swój błąd i dodał sobie kontenansu żartobliwą, jego zdaniem, repliką: „Jeśli kardynał ma kłopoty, arcykapłan może odprawić nabożeństwo.”

Nazajutrz, gdy dymiała jeszcze drewniana wieża, a kopacze znów przystąpili do pracy, lecz tym razem, aby grzebać zmarłych, nasz pan z Velines, jak zawsze w stalowych nagolennicach i poprzedzany przez

grzmiące trąby, udał się na rokowania z don Sanchem Lopezem. Przez długą chwilę chodzili przed zamkowym zwodzonym mostem, oglądani przez żołnierzy z obu obozów.

Tak jeden, jak i drugi byli zawodowymi wojownikami i nie mogli się nawzajem nie doceniać.

- Gdybym zaś zaatakował, panie, zakładając pod mury miny z prochem?

- O, panie, myślę, że dalibyście nam radę.

- Ile czasu moglibyście jeszcze się bronić?

- Krócej, niżbyśmy sobie życzyli, ale dłużej, niżbyście się spodziewali. Mamy dość wody, żywności, strzał i pocisków.

Po godzinie Arcykapłan powrócił do króla.

- Don Sancho Lopez zgadza się oddać wam zamek, jeśli pozwolicie mu wolno odejść i dacie pieniądze.

- Zgoda, dać i wreszcie z tym skończyć.

Po dwóch dniach załoga podnosząc dumnie głowy i z pełnymi kiesami opuściła zamek, aby się połączyć z panem Lancastrem. Król Jan miał odbudować Breteuil własnym kosztem. Tak się zakończyło owo oblężenie, które wedle króla miało przejść do potomności. Ponadto miał czelność nas przekonywać, że bez jego wieży oblężniczej załoga nie tak prędko złożyłaby broń.





### III

## Hołd Febusa

**P**atrzyasz na oddalające się Troyes? Prawda, bratanku, że to piękne miasto, zwłaszcza w ten rozsloneczniony poranek. Ach! wielkie to szczęście dla miasta, jeśli wydało papieża. Bo piękne domy i pałace, któreś widział wokół ratusza, oraz kościół Świętego Urbana, klejnot nowoczesnej sztuki z mnóstwem witraży, oraz wiele innych budynków, których styl podziwiałeś, zawdzięcza swe istnienie Urbanowi IV. Zasiadał on na tronie Świętego Piotra blisko przed wiekiem i tylko przez trzy lata, a światło dzienne ujrzał w sklepieniu, tam, gdzie teraz wznosi się kościół jego imienia. Fakt ten przysporzył chwały miastu i spowodował jego rozkwit. Gdybyż podobny los przypadł w udziale naszemu drogiemu Perigord... Ale nie chcę o tym mówić, bo pomyślałbyś, że tylko to mi w głowie...

Dziś znam trasę Delfina. Jedzie w ślad za nami. Jutro będzie w Troyes. Ale pojedzie do Metz przez Saint-Dizier i Saint-Mihiel, my zaś przez Chalons i Verdun... Najpierw dlatego, że mam sprawę w Verdun... jestem kanonikiem przy katedrze... a następnie nie chcę, aby ktoś pomyślał, że się przyłączam do Delfina. Lecz bliska między nami odległość pozwoli w każdej chwili wymieniać pisma, i to w ciągu jednego dnia lub coś około tego: ponadto nasza łączność z Awinionem będzie łatwiejsza i szybsza.

Cóż więc? O czym miałem ci prawić, a zapomniałem? Ach... Co robił w Paryżu król Jan, kiedy na cztery dni opuścił oblegane Breteuil?...

Pojechał, aby przyjąć hołd Gastona Febusa. Sukces, triumf dla króla Jana, a raczej dla kanclerza Piotra de La Foret, który cierpliwie i zręcznie do tego doprowadził. Bo Febus jest szwagrem króla Nawarry, a dobra ich sąsiadują ze sobą u podnóża Pirenejów. Od początku panowania króla Jana Febus zwlekał ze złożeniem hołdu. Uzyskanie go w chwili, gdy król Nawarry przebywał w więzieniu, mogło zmienić bieg wypadków i odmienić osąd wielu europejskich dworów.

Na pewno sława Febusa dotarła aż do ciebie... O, to nie tylko znakomity myśliwy, ale również świetny zapaśnik, rozmiłowany w księgach czytelnik, znamienity budowniczy, a ponadto wielki uwodziciel. Powiedziałbym: wielki książe, który się jedynie martwi, że posiada zbyt małe państwo. Ludzie zapewnijają, że jest najpiękniejszym mężczyzną naszych czasów; chętnie się pod tym podpisuję. Bardzo wysoki i tak silny, że sam poradziłby niedźwiedziowi... doprawdy, bratanku, niedźwiedziowi dałby radę... ma foremne nogi, wąskie biodra, szerokie ramiona, promienną twarz, uśmiech odsłania śnieżne zęby. A przede wszystkim ma te bujne złotomiedziane włosy, jarzące się runo, sfałowane, zaokrąglone w wałek, spływające aż na koniec kołnierza naturalną płomienną koroną, która spowodowała, że przyjął słońce za swe godło, a także nadał sobie przydomek Febusa z Fie, pisany z francuska a Fie, ponieważ wybrał go, zanim jeszcze poduczył się greckiego. Nigdy nie nosi kaptura, chodzi z

gołą głową jak starożytni Rzymianie, co jest unikatem w naszych zwyczajach.

Ongiś u niego gościłem. Bo tego dopiął, że każdy człowiek, liczący się w świecie chrześcijańskim, zajeżdża na jego malutki dwór w Orthez, który zdołał przeistoczyć w wielki dwór. Kiedym tam przebywał, spotkałem hrabiego-palatyna, prałata króla Edwarda, pierwszego szambelana króla Kastylii, nie licząc znanych fizyków, sławnego malarza i wybitnych doktorów prawa. Wszystkich gości podejmował wspaniale. O ile mi wiadomo, jedynie król cypryjski Luzynian posiada tak świetny i wpływowy dwór na równie szczupłym obszarze, atoli ma on o wiele większe dochody płynące z handlu.

Febus szybko i zabawnie pokazuje wszystko, co doń należy: „Oto moje psy gończe... moje konie... oto moja miłośnica... oto moje bastardy... Pani de Foix, chwała Bogu, czuje się dobrze. Ujrzycie ją dziś wieczorem.”

Wieczorem cały dwór we wspaniałych strojach gromadzi się, przechadza dłuższy czas po długiej galerii, wybitej w skrzydle zamku z widokiem na górzysty widnokrąg, podczas gdy błękitny cień spływa na Bearn. Co krok olbrzymie kominki, w których płonie ogień, a między kominkami na ścianach wymalowane freski ze scenami łowów - dzieła artystów przybyłych z Italii.

Bardzo źle wyglądałby gość, który by nie przywiózł wszystkich swych klejnotów i najlepszych szat, sądząc że będzie gościł w zapadłym górskim zameczku. Uprzedzam cię o tym, gdyby ci kiedyś wypadło tam się udać... Pani Agnieszka de Foix z rodu Nawarrów prawie równie piękna, jak jej siostra królewna Blanka, cała jest obszyta złotem i perłami. Mało mówi, a raczej, można się domyślić, że boi się odezwać. Przysłuchuje się minstrelom, śpiewającym *Aqueres mountanes*<sup>6</sup>, pieśni skomponowanej przez małżonka, którą Bearnieńczycy lubią podchwytywać chórem.

Sam Febus chodzi od grupki do grupki, pozdrawia jednego gościa, pozdrawia drugiego, wita któregoś pana, gratuluje poecie, rozmawia z jakimś posłem, przechadzając się rozpytuje o różne na świecie sprawy, wypowiada swe zdanie, półgłosem rzuca rozkaz i tak gawędząc rządzi. Póki nie pojawią się pachołcy w liberii niosący dwanaście wielkich pochodni i nie poproszą go wraz ze wszystkimi gośćmi na wieczerzę. Niekiedy dopiero o północy zasiada do stołu.

Pewnego wieczoru zastałem go, gdy oparty o łuk otwartej galerii, wzdychał patrząc na srebrzysty potok i błękitne góry: „Nadto małe, zbyt małe... Rzekłoby się Wasza Eminencjo, że Opatrzność, rzucając kości, lubuje się przewrotnie w układaniu w odwrotnej kolejności...”

Mówiliśmy o sprawach Francji, o królu Francji i pojałem, co mi chciał dać do wyczucia. Często wielcy ludzie otrzymują we władanie obszar mały, podczas gdy miernotom przypada wielkie królestwo. Po czym dorzucił: „Jakkolwiek małym państwkiem jest moje Bearn, pragnę, aby było państwem samodzielnym”.

Listy jego są prawdziwym cudem. Nigdy nie pominie żadnego ze swych tytułów: „My, Gaston III, hrabia na Foix, wicehrabia na Bearn, wicehrabia na Lautrec, Marsan i Castillon” i cóż jeszcze... „pan na Montesquieu, na

---

<sup>6</sup> górskie potoki



Montpezat...” a później, później posłuchaj, jak to brzmi: „wikariusz Andorry i Kapsyry...” i podpisuje się oczywiście „Febus z Fie”, może, by się odróżnić od samego Apollina... podobnie na wszystkich wybudowanych przezeń zamkach i pomnikach, które wznosił czy upiększył, widnieje wyryte wielkimi literami: “Wybudował Febus”.

Całą jego osobę cechuje zaiste krańcowość, lecz należy pamiętać, że ma zaledwie dwadzieścia pięć lat. Wykazał, jak na swoje lata, wiele bystrości. Dowiódł również swej odwagi: pod Crécy był jednym z najmężniejszych. Miał wówczas piętnaście lat. Ach! zapomniałem ci powiedzieć, jeśli o tym nie wiesz: jest ciotecznym wnukiem Roberta d’Artois. Dziadek Febusa poślubił Joannę, rodzoną siostrę Roberta; owdowiawszy, objawiała tak wielki pociąg do mężczyzn, wiodła tak gorszące życie, sprawiała tyle zamieszania... i tyle go jeszcze mogłaby spowodować... ależ tak, jeszcze żyje, ma nieco ponad sześćdziesiątkę i czerstwe zdrowie... że wnuk, nasz Febus, musiał ją zamknąć w wieży zamkowej we Foix i każe ściśle nadzorować. Ach! ciężka krew płynie w żyłach rodu Artois!

I od tego oto człowieka uzyskał arcybiskup - kanclerz La Foret, zgodę na złożenie hołdu w czasie, kiedy wszystko układa się na przekór życzeniom króla Jana. Och! nie zapominaj, Febus dobrze rozważył, nim postanowił, zależało mu właśnie tylko na zabezpieczeniu niepodległości jego małego państewka Bearn. Akwitania graniczy z Nawarrrą, ono zaś sąsiaduje z obu tymi prowincjami, sojusz ich, obecnie jawny, wcale mu się nie uśmiecha. Wolałby zabezpieczyć się od strony Langwedocji, zadarł tam z hrabią d’Armagnac, namiestnikiem króla. Zbliżył się przeto do Francji, skończył z nieporozumieniem, złożył winny hołd w imieniu hrabstwa Foix. Uzgodniono, że Febus wystąpi oczywiście o uwolnienie swego szwagra Nawarry, lecz dla formy, wyłącznie dla pozoru, jakby to był pretekst do owego zbliżenia. Gra subtelna. Febus będzie mógł zawsze powiedzieć Nawarczykowi: „Złożyłem hołd wyłącznie w intencji, aby wam się przysłużyć”.

Wystarczył tydzień, a Gaston Febus oczarował Paryż. Przybył z liczną świtą szlachty, mnóstwem sług, dwudziestu wozami z odzieniem i meblami, wspaniałą sforą i częścią swej menażerii dzikich zwierząt. Cały orszak rozciągał się na ćwierć mili. Najskromniejszy pacholek był przyodziany we wspaniałą liberię bearneńską; konie, tak jak moje, w czaprakach z jedwabnego aksamitu. Ciężki wydatek niewątpliwie, lecz poniesiony, by olśnić tłumy. Febus swego dopiął. Wielcy panowie spirali się o zaszczyt goszczenia Febusa. Ktokolwiek był znany w mieście, a więc członkowie Parlamentu, uczeni z uniwersytetu, wysocy urzędnicy skarbowi, a nawet dostojnicy kościelni, każdy wynajdywał jakiś powód, by go powitać w pałacu, który siostra Blanka, królowa wdowa, otworzyła na czas jego pobytu. Niewiasty łaknęły jego widoku, usłyszenia jego głosu, dotknięcia ręki. Kiedy jeździł po mieście, gapie poznawali go po złocistych włosach i gromadkami zbierali się na progach kramów srebrników i kupców sukna, dokąd wstępował. Ludzie rozpoznawali także towarzyszącego mu olbrzyma - giermka o imieniu Ernauton z Hiszpanii, może jego przyrodniego brata z nieprawego łoża, a również poznawali dwa ogromne psy pirenejskie kroczące w ślad za nim, a trzymane przez

pachołka na smyczy. Na grzbiecie jednego z psów siedziała małpeczka... wielmoża jak z legendy, najświetniejszy ze świętych przebywał w stolicy i każdy o nim mówił.

Opowiadam ci bardzo szczegółowo, bratanku, ale w owym podłym lipcu byliśmy na progu dramatów i każde posunięcie było ważne.

Będziesz rządził dużym hrabstwem, Archibaldzie, i to w czasach, ręczę, nie łatwiejszych od obecnych; w ciągu kilku lat nie dźwignie się kraj z upadku, w jakim dziś jest pogrążony.

Zachowaj sobie w pamięci: jeśli władca ma mierny charakter albo osłabiły go wiek lub choroba, nie może on utrzymać jedności wśród doradców. Otoczenie jego się rozpada, bo każdy przywłaszcza sobie część władzy, której nikt nie sprawuje albo sprawuje ją źle; każdy przemawia w imieniu suzerena, który zaprzestał rozkazywać; każdy dla siebie coś kleci myśląc o przyszłości. Tworzą się wówczas kliki zależnie od pokrewnych ambicji lub charakterów, współzawodnictwo narasta. Po jednej stronie gromadzą się ucziwi, po drugiej zdrajcy, którzy na swój sposób mają się za ucziwych.

Zdrajcami nazywam tych, co zdradzają dobro królestwa. Często niezdolni są je dostrzec; widzą tylko własne dobro; niestety, to oni na ogół mają przewagę.

Istniały wokół króla Jana, jak istnieją dziś wokół Delfina, dwa stronnictwa, ponieważ ci sami ludzie pozostali na decydujących stanowiskach.

Z jednej strony grupa kanclerza Piotra de La Fóret, arcybiskupa Rouen, wspomaganego przez Enguerranda du Petit-Cellier; tych ludzi uważam za najbardziej roztropnych, najbardziej dbałych o dobro królestwa. A po drugiej stronie Mikołaj Braque, Lorris, a zwłaszcza, a przede wszystkim Szymon de Bucy.

Może spotkasz go w Metz. Ach! wystrzegaj się go zawsze, a także ludzi jego pokroju... Człowiek z głową za dużą na tułowiu zbyt krótkim, to już stanowi zły znak, nastroszony niczym kogut, nader nieokrzesany i gwałtowny, kiedy przemawia, a pełen niezmiernej, lecz tajonej pychy. Rozkoszuje się władzą sprawowaną w cieniu, niczego tak nie lubi, jak upokarzać, jeśli nie gubić, każdego, kto jego zdaniem ma za wielkie znaczenie na dworze albo za wielki wpływ na księcia. Wyobraża sobie, iż rządzić to przechytrzać, kłamać, knuć intrygi. Nie żywi wcale szczytnych idei, jedynie snuje nikczemne zamiary i przeprowadza je z zawziętym uporem. Uprzednio skromny skryba króla Filipa wspiał się aż tam, gdzie teraz zasiada... na stanowisko pierwszego przewodniczącego Parlamentu i członka Wielkiej Rady... wykorzystując sławę swej wierności, ponieważ jest władczy i bezwzględny. Widywano tego człowieka, jak wydawał wyroki, zmuszał niezadowolonych procesowiczów, by klękali przy pełnej sali sądowej prosząc go o przebaczenie, czy też jak wysłał za jednym zamachem na ścięcie dwudziestu trzech mieszczan z Rouen; ale również wydaje samowolnie wyrok uniewinniający lub zawiesza na czas nieokreślony rozstrzygnięcie poważnych spraw, byle tym sposobem mieć ludzi w garści. Umie dbać o własną kiesę; od opata w Saint-Germain-des-Pres uzyskał prawa do pobierania opłat przy bramie Saint-Germain zaraz

przemianowanej na bramę Bucy, tym sposobem pobiera rogatekwe od znacznej części towarów wwożonych do Paryża.

Skoro tylko La Foret uzgodnił sprawę hołdu Febusa, Bucy wnet się przeciwstawił i postanowił zniweczyć ugodę. On właśnie wyjechał na spotkanie króla przybywającego z Breteuil i poszeptywał: „Febus kpi z was w Paryżu wystawiając na pokaz swe bogactwa. Febus dwukrotnie przyjął prewota Marcela... Podejrzewam, że Febus knuje ze swą żoną i królową Blanką ucieczkę Karola Złego... Należy wymóc na Febusie hołd z Bearn... Febus nie mówi o was z szacunkiem... Uważajcie, by przyjmując zbyt łaskawie Febusa, nie urazić hrabiego d'Armagnac, który wam jest arcypotrzebny w Langwedocji. Oczywiście, kanclerz La Foret sądził, że dobrze postąpił; ale La Foret jest zbyt uступliwy wobec przyjaciół waszych wrogów... Poza tym co za pomysł nazwać się Febusem?” A wreszcie, by wprawić króla w naprawdę zły humor, uraczył go przykrą nowiną. Wróbel z Fricamps uciekł z Chatelet dzięki przemyślności dwóch swoich sług. Nawarczycy kpią z władzy królewskiej i znaleźli człowieka bardzo sprytnego i wielce niebezpiecznego...

Przeto przy wieczerzy wydanej w przeddzień hołdu król Jan okazał się butny i napastliwy mówiąc do Febusa: „Mój mości wasalu”, i pytając go: „Jakeście tylu przyprowadzili wraz ze sobą do mojego miasta, czy pozostało choć trochę ludzi w waszych lennach?”

Również mu powiedział:

- Wolalbym, aby wasze oddziały nie wkraczały na ziemie będące pod władaniem Dostojnego Pana d'Armagnac.

Febus odparł wielce zadziwiony, bo uzgodnił z Piotrem de La Foret, że te incydenty uzna się za niebyłe:

- Moje chorągwie, Miłościwy Panie Kuzynie, nie wkroczyłyby do Armagnac, gdyby nie musiały odeprzeć zastępów, które zaatakowały moje dobra. Lecz skoro wydaliście rozkaz, aby ustały wypady wojska Dostojnego Pana d'Armagnac, moi rycerze radzi będą stać na swych granicach.

Po czym król nawiązał:

- Życzyłbym sobie, aby bliżej mnie stali. Zwołałem wojsko do Chartres, aby ruszyć na Anglików. Liczę, że punktualnie przybędziecie wraz z waszymi chorągwiami z Foix i Bearn.

- Chorągwie z Foix - odrzekł Febus - zbiorą się zgodnie z powinnością wasala natychmiast, skoro złożę wam hołd, Miłościwy Panie Kuzynie. A z Bearn pójdą w ślad za nimi, jeśli mi się spodoba.

Zaiste jak na pojednawczą wieczerzę udany to początek! Arcybiskup-kanclerz, nierad i zaskoczony, próżno usiłował przyłożyć nieco balsamu. Bucy miał twarz kamienną. Lecz w głębi duszy triumfował. Czuł się prawdziwym władcą.

Nie wymieniono nawet imienia króla Nawarry, choć były obecne i królowa Joanna, i królowa Blanka.

Ernauton z Hiszpanii, giermek-olbrzym, wychodząc powiedział hrabiemu de Foix... nie było mu przy ich poufnej rozmowie, lecz taka była jej treść wedle złożonego mi sprawozdania...

- Podziwiałem waszą cierpliwość. Gdybym był Febusem, nie czekałbym

na nową obelgę i odjechałbym natychmiast do mego Bearn.

Na co Febus odpowiedział:

- Gdybym był Ernautonem, taką właśnie radę dałbym Febusowi. Ale jestem Febusem i muszę zważać przede wszystkim na przyszłość moich poddanych. Nie chcę pierwszy zrywać i uchodzić za człowieka, który nie miał racji. Wyczerpię wszystkie możliwości zawarcia ugody aż po granice mego honoru. Ale obawiam się, że La Foret wwiódł mnie w potrzask. Chyba że jakiś fakt, nie znany ani mnie, ani jemu, odmienił króla. Zobaczymy jutro.

Nazajutrz po mszy Febus wkroczył do paradnej pałacowej sali. Sześciu giermków podtrzymywało tren jego płaszcz, wyjątkowo nie miał obnażonej głowy. Był w koronie: złoto na złocie. Komnatę przepelniali szambelanowie, radcy, prałaci, kapelani, pierwsi członkowie Parlamentu, najwyżsi urzędnicy. Lecz Febus dostrzegł przede wszystkim hrabiego d'Armagnac. Jan de Forez stał tuż przy królu, jakby oparty o tron, minę miał bezczelną. Po drugiej stronie Bucy udawał, że porządkuje zwoje pergaminu, wziął jeden z nich i odczytał, jakby chodziło o całkiem zwykły dekret:

- Panie, król Francji, pan mój, przyjmuje wasz hołd z hrabstwa Foix i wicehrabstwa Bearn, które dzierzycie z jego woli we władaniu, i stajecie się jego wasalem bez zastrzeżeń jako hrabia de Foix i wicehrabia Bearn wedle reguł ustalonych między jego poprzednikami, królami Francji a waszymi przodkami. Uklęknijcie.

Nastała chwila milczenia. Po czym Febus odpowiedział mocnym, wyraźnym głosem:

- Nie mogę.

Audytorium okazało zdziwienie, u większości szczere, u niektórych udane, ze szczyptą zadowolenia. Nieczęsto się zdarza, aby jakiś incydent zakłócił ceremonię hołdu.

Febus powtórzył:

- Nie mogę. - I bardzo stanowczo dorzucił: - Ugiąłem kolano: w hołdzie z Foix. Ale w hołdzie z Bearn drugiego ugiąć nie mogę.

Wówczas przemówił król Jan, a głos jego drgał gniewem:

- Przyjmuję wasz hołd z Foix i Bearn.

Audytorium trzęsło się z ciekawości. A spór z grubsza biorąc miał następujący przebieg:

Febus: - Sire, Bearn jest ziemią niezależną, nie możecie przyjmować hołdu z krainy nie będącej pod waszą zwierzchnością.

Król: - Przytaczacie kłamliwe dowody, za wiele już lat były one przedmiotem kłótni między moimi a waszymi krewniakami.

Febus: - Zaiste, Sire, lecz nie będą przedmiotem sporu, jeśli tego zapragniecie. Jestem waszym wiernym i uczciwym poddanym jako hrabia de Foix, zgodnie z tym, co głosili zawsze moi ojcowie, lecz nie mogę oświadczać, że jestem waszym wasalem na ziemiach, które posiadam jedynie z woli Boga.

Król: - Niecny wasalu! Po krętych chadzanie drogach, aby się wymknąć od należnych mi powinności. W ubiegłym roku wcale nie przyprowadziliście swoich chorągwi hrabiemu d'Armagnac, tu obecnemu,

memu namiestnikowi w Langwedocji; z powodu waszego odszczepieństwa nie mógł on odeprzeć najazdu Anglików!

Wówczas Febus z pychą odparł: - Jeśli od mego współudziału zależy jedynie los Langwedocji, a Dostojny Pan d'Armagnac niemocen jest zabezpieczyć wam tej prowincji, tedy nie jemu, ale mnie należy przekazać namiestnictwo, Miłościwy Panie.

Król wpadł we wściekłość, drżała mu broda.

- Kpicie ze mnie, piękny panie, ale niedługo to potrwa. Klękajcie!

- Usuńcie Bearn z przysięgi hołdowniczej, a wnet ugnę kolano.

- Ugniecie je w więzieniu, podły zdrajco! - huknął król. - Brać go!

Scena była ułożona, przewidziana, wyreżyserowana, przynajmniej przez Bucy'ego, któremu wystarczyło jedno tylko skinienie, by pojawił się Perrinet Bawół i otoczyło Febusa sześciu sierżantów ze straży. Wiedzieli już, iż winni go zaprowadzić do Luwru.

Tegoż dnia prewot Marcel, przechadzając się po mieście, mówił:

- Już tylko ostatniego wroga król Jan miał sobie napytać: to się już stało. Jeśli wszystkie łotry otaczające króla pozostaną na stanowiskach, wkrótce nie będzie ani jednego uczciwego człowieka, który będzie mógł odetchnąć poza ciemnicą.





## IV

### Obóz w Chartres

Co za piękna wiadomość, bratanku, jakaż piękna. Czy wiesz, co napisał do mnie papież w liście z 28 listopada? Wysłanie pisma chyba zostało nieco odwleczone, czy też goniec, który je wiozł, szukał mnie tam, gdzie mnie nie było, bo dostałem je wczoraj w Arcis. Zgadnij... A więc Ojciec Święty, ubolewając nad nieporozumieniem między mną a Mikołajem Capoccim, zarzuca mi „brak miłości chrześcijańskiej między nami”. Chciałbym wiedzieć, jak mógłbym okazywać Capocciemu miłość chrześcijańską, skoro go nie widziałem od Breteuil, gdzie nagle mi znikł z oczu, aby osiąść w Paryżu. Któż jest winien tej niezgody, jeśli nie ów, który ze wszystkich sił zapragnął dać mi do towarzystwa tego prałata egoistę, ograniczonego, troszczącego się jedynie o własne wygody, którego zabiegi mają tylko na celu pokrzyżować moje plany? O pokój powszechny wcale nie dba. Obchodzi go wyłącznie, abym ja nie doprowadził do ugody. Brak chrześcijańskiej miłości, patrzcie go! Brak miłości chrześcijańskiej. Mam wszystkie powody myśleć, że Capocci robi brudne interesy z Szymonem de Bucy i że maczał palce w uwięzieniu Febusa, ów zaś, zapewniam cię, tak, wiesz o tym, został zwolniony w sierpniu; a dzięki komu? Dzięki mnie, o tym nie wiedziałeś... pod warunkiem, że się dołączy do wojska króla.

Wreszcie Ojciec Święty raczy mnie zapewnić, że nie tylko on mnie pochwała, lecz i całe kolegium kardynałów docenia moje wysiłki i działalność. Sądzę, że w tym tonie nie pisze do tamtego... Lecz powraca do swej rady, jak to już uczynił w październiku, by sprawę Karola Nawarry włączyć do traktatu pokojowego... Z łatwością domyślam się, kto mu to podszeptuje.

Po ucieczce Wróbelka z Fricamps król Jan postanowił przenieść swego zięcia do Arleux, twierdzy otoczonej przez ludzi bardzo oddanych rodzinie Artois. Obawiał się, by w Paryżu Karol z Nawarry nie skorzystał z pomocy współpiskowców.

Nie chciał pozostawić Febusa i tamtego w tym samym więzieniu, ba! w tym samym mieście...

Po czym, pokpiwszy sprawę Breteuil, jak ci wczoraj opowiedziałem, wrócił do Chartres. Powiedział mi był: „Porozmawiamy w Chartres”. Pojechałem tam, a Capocci puszył się nadal w Paryżu...

Gdzie jesteśmy? Brunet... jak się nazywa ten gródek?... A Poivres... czy mineliśmy Poivres? Ach! dobrze, jeszcze przed nami. Mówiono mi, że kościół tamtejszy wart obejrzenia. Wszystkie zresztą kościoły w Szampanii są bardzo piękne. To pobożny kraj...

O! nie żałuję, że obejrzałem obóz w Chartres, chciałbym, abyś ty także był go zobaczył... Wiem, byłeś zwolniony od służby wojskowej, by zastąpić chorego ojca, aby za wszelką cenę trzymać Anglików z dala od Perigord... To cię może ocaliło, może spoczywałbyś dziś pod płytą

klasztoru w Poitiers. Któż wie? Opatrzność tym rządzi.

Wyobraź więc sobie Chartres: skromnie licząc sześćdziesiąt tysięcy ludzi obozujących na rozległej równinie, nad którą górują katedralne iglice. Jedna z największych armii, jeśli nie największa, jakie kiedykolwiek zebrały się w królestwie. Lecz podzielona na dwie odrębne części.

Po jednej stronie w pięknych rzędach setki, setki jedwabnych czy z malowanego płótna namiotów rycerzy i chorążych. Ludzie, konie, wózki w ciągłym ruchu, jak okiem sięgnąć migotanie w słońcu barw i stali; po tej stronie rozgościli się kupcy broni, rzędów, wina, jadła, a także burdelnicy, którzy sprowadzili wózki pełne dziwek pod nadzorem króla rozpustników... wciąż nie mogę sobie przypomnieć jego imienia.

A opodal w znacznej odległości, oddzieleni wyraźnie, jak na obrazach Sądu Ostatecznego... po jednej stronie raj, po drugiej piekło... piechurzy na rzysku osłonięci jedynie płótnem na paliku, jeśli udało im się weń zaopatrzyć; ciżba pospólstwa byle jak rozmieszczona, zmęczona, brudna, beczynna, grupująca się wedle okręgów i niesubordynowana wobec przygodnych dowódców. Kogo zresztą miałyby słuchać? Nikt jej nie dawał określonych zadań, nikt nie wykonywał z nią żadnych ćwiczeń. Jedynym zajęciem tych ludzi było poszukiwanie strawy. Najsprytniejsi chadzali coś niecoś ściągnąć u rycerzy albo okradali podwórka w sąsiednich wioskach czy też uprawiali kłusownictwo. Za każdym pagórkiem widać było trzech żebraków siedzących w kucki koło piekącego się królika. Nagle rzucali się kupą do wózków, gdzie o nieregularnych porach rozdawano jęczmienny chleb. Regularny był jedynie codzienny przejazd króla między szeregami piechoty. Lustrował ostatnio przybyłych, jednego dnia z Beauvais, nazajutrz ze Soisson, na trzeci dzień z Orleanu i Jargeau.

Kazał, by mu towarzyszyli, zważ dobrze, czterej synowie, brat, konetabl, dwaj marszałkowie, Jan d'Artois, Tancarville i bo ja wiem kto jeszcze... chmara giermków.

Pewnego razu, a był to raz ostatni, zobaczysz dlaczego... zaprosił mnie, jakby obdarzając wielkim zaszczytem: „Wielebny Panie de Perigord, raczcie jutro ze mną jechać, zawiozę was na przegląd”. Wciąż oczekiwałem na uzgodnienie z nim jakichś propozycji, choćby niejasnych, aby je przedłożyć Anglikom, by móc wszczać rokowania. Proponowałem, aby obaj królowie wyznaczyli swych przedstawicieli, którzy by ułożyli listę spraw spornych między obu królestwami. Można byłoby wyłącznie nad tym rozprawiać przez całe cztery lata.

Albo też szukałem innego punktu zahaczenia, całkiem innego. Udając, że spór nie istnieje, rozpocznie się rozmowy wstępne o przygotowaniach do wspólnej wyprawy do Konstantynopola. Sprawa zasadnicza: wszczać rozmowy...

Musiałem więc wlec moją czerwoną szatę po tej rozległej wszalni obozującej nad rzeką Beauce. Mówię z naciskiem: wszalni, bo gdym powrócił, Brunet musiał wyłapywać na mnie wszystkie wszy. Nie mogłem jednakowoż odepchnąć nieboraków, którzy przychodzili całować skraj mojej szaty! Fetor był jeszcze bardziej nieznośny niż w Breteuil. Poprzedniej nocy zerwała się burza i piechurzy spali na rozmokłej ziemi. Łachy ich parowały w porannym słońcu i cuchnęły potężnie. Arcykapłan,

który poprzedzał króla, przystanął. Stanowczo Arcykapłan grał pierwsze skrzypce! Przystanął król i cała świta.

- Sire, oto ludzie od prewota z Bracieux w okręgu Blois, przybyli wczoraj. Są w żalonym stanie...

Arcykapłan wskazał buławą na czterdziestkę obdartusów, zabłoconych, obrośniętych. Nie golili się od dziesięciu dni, już nie mówiąc o myciu. Różnorodność odzieży ginęła w szarej barwie brudu i błota. Kilku było w podartych trzewikach, niektórzy owinęli nogi szmatami, pozostali przybyli boso. Prostowali się by dobrze wyglądać, ale w oczach tkwił niepokój. Matko Boska! Nie spodziewali się, że stanie przed nimi król we własnej osobie wraz ze swą olśniewającą świtą. I biedacy z Bracieux zbijali się w kupę. Zakrzywione klingi, haki od jakichś dzid czy halabard sterczały nad nimi jak kolce ze stosu zabłoconego chrustu.

- Sire - podjął Arcykapłan - przybyło trzydziestu dziewięciu, a miało się stawić pięćdziesięciu. Ośmiu ma halabardy, dziewięciu - szable, w tym jedna do użytku. Tylko jeden ma halabardę prócz szabli. Jeden z nich ma topór, trzech okute żelazem kije, a jeden tylko spiczasty nóż, pozostali nie mają niczego.

Miałbym ochotę roześmiać się, gdybym nie rozważył, co skłoniło króla, by marnował czas własny oraz marszałków na liczenie zardzewiałych szabli. Niechby się pokazał raz, zgoda, byłoby to całkiem niezłe. Ale co dzień, każdego ranka? I po co mnie zaprosił na ten nędzny pokaz?

Zdziwiłem się tedy, słysząc, że najmłodszy jego syn, Filip, wykrzyknął falsetem, jaki miewają młodziaki, kiedy chcą udawać dorosłych:

- Z taką zbieraniną na pewno nie zwyciężymy w wielkiej bitwie.

Liczy dopiero czternaście lat i przechodzi mutację głosu, a kolczuga na nim zwisa. Ojciec pogładził go po czole, jakby sobie gratulował, iż spłodził tak doświadczonego wojaka. Później, zwracając się do ludzi z Bracieux, zapytał:

- Dlaczego nie jesteście lepiej uzbrojeni? Nuże, dlaczego? Czy tak się należy stawiać do wojska? Czyście nie otrzymali rozkazu od waszego prewota?

Wówczas jakiś chwyt, mniej drżący niż pozostali, może ten, co miał jedyny topór, wysunął się, by odpowiedzieć:

- Miłościwy Nasz Panie i Władco, prewot kazał, by każdy się uzbroił wedle swego stanu. W co się dało, w to się zaopatrzyło. Jeżeli niektórzy nic nie mają, to znaczy, że stan ich na to nie pozwala.

Król Jan obrócił się do konetabla i marszałków, przybierając minę człowieka, który jest rad, jeśli bieg spraw przyznaje mu rację, nawet z własną szkodą.

- Jeszcze jeden prewot nie spełnił swego obowiązku. Odeślijcie ich tak jak ludzi z Saint-Fargeau, jak i ze Soissons. Zapłacą grzywnę. Lorris, notujcie...

Bo, jak mi po chwili wyjaśnił, ci, co nie stawili się na przegląd albo przybyli bez broni i nie mogą walczyć, muszą opłacić wykup.

- Grzywny należne od tych wszystkich piechurów dostarczą mi środków do wypłaty żołdu moim rycerzom.

Piękny pomysł, na pewno podszepty przez Szymona de Bucy, a który



sobie król przypisał. Oto dlaczego zwołał pospolite ruszenie, oto dlaczego jakby drapieźnie zliczał oddziały, które odsyłał do domu.

- Jaki pożytek z tej piechoty - jeszcze dorzucił. - Z winy tych pieszych zastępów ojciec mój poniósł klęskę pod Crécy. Piechota wszystko opóźnia, przeszkadza szarżować, jak przystoi.

Wszyscy to pochwalali oprócz - winieniem stwierdzić - oprócz Delfina, który zda się miał jakąś uwagę na końcu języka, lecz zachował ją dla siebie.

Czy należy twierdzić, że w drugiej części obozu, tam gdzie znajdowały się chorągwie, konie i zbroje, działo się cudownie? Mimo ciągłego powoływania do wojska, mimo dokładnych przepisów nakazujących chorążym i dowódcom lustrować znienacka dwa razy w miesiącu ludzi, zbroje i wierzchowce, aby zawsze wszystko było w pogotowiu, oraz wzbraniających zmiany dowódców i oddalania się bez zezwolenia „pod groźbą utraty żołdu i surowej kary”, mimo tych nakazów nie stawiała się dobra trzecia część rycerzy. Inni obowiązani wyekwipować drużynę czy kompanię z co najmniej dwudziestu pięciu włóczników przyprowadzili tylko po dziesięciu. Porwane kolczugi, wygięte kapelusze, za sucha skóra na rzędach coraz pękająca... „Ech! panie, jakże mógłbym ich zaopatrzyć? Nie dostałem żołdu i dość mnie kosztuje własna zbroja...” Bójki o podkucie koni. Dowódcy błakający się po obozie w poszukiwaniu zagubionej drużyny, maruderzy w poszukiwaniu jakiego takiego dowódcy. Jeden zastęp podkradał drugiemu kawał drzewa, rzemień, szydło czy potrzebny mu młotek. Marszałkowie byli zawałeni żadaniami, w głowach im huczało od prostackich słów wymienianych przez rozdrażnionych chorążych. Król Jan o niczym nie chciał wiedzieć. Zliczał piechurów, którzy mu zapłacą wykup.

Kierował się na przegląd przybyłych z Saint-Aignan, kiedy na przełaj przez obóz nadjechało sześciu zbrojnych, konie były spienione, z twarzy jeźdźców spływał pot, zbroje zakurzone. Jeden z nich ciężko zsiadł z konia i poprosił o rozmowę z konetablem, a zbliżywszy się doń powiedział:

- Przybywam od pana de Boucicaut, przywożę wiadomości od niego.

Diuk Aten skinieniem nakazał posłańcowi, aby złożył raport królowi. Posłaniec próbował przyklęknąć, lecz przeszkadzała mu pełna zbroja; król zwolnił go od przepisowego ceremoniału i przynaglił do złożenia raportu.

- Sire, pan de Boucicaut zamknął się w twierdzy Romorantin.

Romorantin! Królewska eskorta ze zdziwienia oniemiała, jakby w nią piorun uderzył. Romorantin ledwie trzydzieści mil od Chartres, na drugim krańcu hrabstwa Blois! Nikt sobie nie wyobrażał, że Anglicy mogą być aż tak blisko.

Kiedy bowiem kończyło się oblężenie Breteuil, kiedy wysłano Gastona Febusa do ciemnicy, kiedy powoli zbierało się w Chartres wojsko oraz pospolite ruszenie, księżę Walii... wiesz lepiej niż ktokolwiek, Archibaldzie, ponieważ musiałeś chronić Perigueux... rozpoczął najazd na Saint-Foy i Bergerac, gdzie wkroczył na ziemie królewskie i szedł dalej na północ drogą, którąśmy właśnie przebyli, przez Chateau-l'Eveque, Brantome, Rochechouart, dokonując w La Peruse wszystkich tych zniszczeń, któreśmy oglądali. Wiadomo było o jego marszu naprzód i

muszę powiedzieć, że nawet się dziwiłem, iż król rozlubował się w Chartres, podczas gdy książę Edward pustoszył kraj. Wszyscy sądzili wedle świeżo otrzymanych wiadomości, że ów jest gdzieś między La Chatre a Bourges. Myśleli, że pomaszeruje na Orlean i król powiadał sobie, że tam właśnie na pewno wyda mu bitwę i odetnie drogę do Paryża. Wobec czego konetabl, jednakowoż poczuwając się do przeczności, wysłał oddział złożony z trzystu włóczyków pod rozkazami panów de Boucicaut, de Craon i de Caumont na głęboki zwiad po drugiej stronie Loary, aby dostarczyli mu informacji. Otrzymał ich zresztą bardzo niewiele. Po czym nagle Romorantin! Książę Walii zatem skręcił na zachód...

Król nakazał posłańcowi podać bliższe wiadomości.

- Przede wszystkim, Sire, pan de Chambly, wysłany na zwiad przez pana de Boucicaut, dostał się do niewoli w okolicy Aubigny-sur-Nere...

- Ach! Szary Baran w niewoli... - wyrzekł król, bo tak nazywano pana de Chambly.

Posłaniec od pana de Boucicaut podjął:

- Ale pan de Boucicaut nie dowiedział się o tym dostatecznie wcześniej i tym sposobem natknęliśmy się na przednią straż Anglików. Przypuściliśmy tak ostry atak, że ci rzucili się do ucieczki...

- Wedle swego zwyczaju - przerwał król Jan.

- Ale oparli się o swe posiłki o wiele liczniejsze niż nasz oddział, zewsząd nas osaczyli, tak że panowie de Boucicaut, de Craon i de Caumont czym prędzej nas powiedli do Romorantin, gdzie się zamknęli ścigani przez całą armię księcia Edwarda, który w tym czasie, kiedy pan de Boucicaut mnie wysłał, przystąpił do oblężenia. Oto, Sire, co mam wam powiedzieć.

Znow nastąpiło milczenie. Po czym marszałek de Clermont wybuchnął gniewem:

- Po co do diabła atakowali? Nie taki mieli rozkaz.

- Zarzucacie im ich męstwo - odpowiedział mu marszałek d'Audrehem. - Wykryli wroga i zaatakowali.

- Piękne męstwo - obruszył się Clermont. - Było trzystu włóczyków, dostrzegają dwudziestu, pędzą nie czekając, z myślą, że to wielkie bohaterstwo. A tu wyłania się tysiąc, i oto z kolei czmychają i pędzą, by zbijać baki w pierwszym napotkanym zamku. Teraz już na nic się nam nie zdadzą. Toż to nie męstwo, to głupota.

Obaj marszałkowie jak zwykle wzięli się za łby, a konetabl zezwolił im się wygadać. On, konetabl, nie lubił stawać po czyjejs stronie. Był to człowiek bardziej odważny w czynie niż w słowie... Wolał, by go nazywano z Aten niż z Brienne, z powodu byłego konetabla, świętego kuzyna. Brienne zaś było jego lennem, natomiast Ateny starym rodowym wspomnieniem, nie mającym żadnego oparcia w rzeczywistości poza wspomnieniem krucjaty... Czy też po prostu zubożył z wiekiem. Długo i bardzo dobrze dowodził wojskami króla Neapolu. Żałował Italii, ponieważ żałował minionej młodości. Arcykapłan, na uboczu, z kpiącą miną przyglądał się utarczce marszałków, wreszcie król położył kres ich sprzeczce.

- A ja myślę - powiedział - że ich nieszczęście nam posłuży. Oto

oblężenie zatrzymuje Anglika. My zaś wiemy teraz, gdzie go ścigać, podczas gdy on musi stać w miejscu. - Po czym zwrócił się do konetabla: - Gautier, szykujcie wojsko na jutro do wymarszu, o świcie. Podzielcie je na kilka hufców, które przejdą Loarę w różnych punktach, tam gdzie są mosty, aby nie zwalniać tempa, lecz niech hufce zachowają między sobą ścisłą łączność, by spotkać się w wyznaczonym miejscu na drugim brzegu rzeki. Ja ją przejdę w Blois. Zaatakujemy od tyłu angielską armię w Romorantin, czy też, jeśli się opamięta i odejdzie, przetniemy jej wszędzie drogę. Każcie strzec Loary bardzo daleko od Tours aż po Angers, aby diuk Lancaster, zdążający z Normandii, żadnym sposobem nie mógł się połączyć z księciem Walii.

Jan II wszystkich zaskoczył. Nagle spokojny i opanowany, oto wydawał jasne rozkazy, wyznaczał drogę swej armii, jakby widział całą Francję jak na dłoni. Wzbronić przekroczenia Loary od strony Andegawenii, przejść ją w Turenii, być gotowym do marszu na Berry, bądź przeciąć drogę do Poitou i Angoumois... a na końcu odebrać Bordeaux i Akwitanie. „Niech nam szybkość leży na sercu, a zaskoczenie gra na naszą korzyść.” Każdy się poderwał gotów do działania. Zapowiadała się piękna kampania.

- Odesłać całą piechotę - rozkazał jeszcze Jan II. - Nie narażajmy się na nowe Crécy. Mając tylko pancernych, będziemy pięciokrotnie liczniejsi niż ci podli Anglicy.

Oto ponieważ przed dziesięciu laty niewłaściwie skierowana piechota przeszkodziła szarzy konnicy, przyczyniając się do przegrania bitwy, król Jan wyrzekł się tym razem piechoty całkowicie. A dowódcy chorągwi pochwalali króla, bo wszyscy byli pod Crécy i wszyscy boleśnie odczuli klęskę. Nie popełnić tego samego błędu, to była ich wielka troska.

Jedynie Delfin ośmielił się powiedzieć:

- Przeto, panie ojcze, nie będziemy mieć wcale łuczników...

Król nie raczył nawet mu odpowiedzieć. Ale Delfin, przybliżywszy się ku mnie, zwierzył mi się, jakby szukając poparcia czy też pragnąc, abym go nie wziął za głupca:

- Anglicy wsadzają łuczników na konie. Ale u nas nie zgodziłby się nikt dać koni ludziom z pospólstwa.

Hejże, coś mi się przypomniało... Brunet!... Jeśli pogoda jutro będzie taka ładna jak dzisiaj, przejadę ten odcinek, zresztą bardzo krótki, na moim rumaku. Muszę się trochę znów przyzwyczaić do siodła przed Metzem. Następnie wjeżdżając do Chalons, chcę pokazać mieszkańcom, że równie dobrze jeżdżę konno jak ich szalony biskup Chauveau... którego po dziś nikt jeszcze nie zastąpił.





## V

### Książę Akwitanii

Ach! widzisz, Archibaldzie, jaki gniew mnie ogarnia z powodu tego odcinka drogi, który nas zawiedzie aż do Sainte-Menehould. Snadź sądzone, że nie mogę zatrzymać się w żadnym dużym mieście, aby nie zastać wiadomości, od której aż krew we mnie kipi. W Troyes - list od papieża. W Chalons - posłaniec z Paryża. Czegóż się dowiedziałem? Delfin blisko przed dwoma tygodniami, zanim ruszył w drogę, podpisał zarządzenie zmieniające raz jeszcze wartość pieniądza, oczywiście, że ją obniża. Ale w obawie, że edykt zostanie źle przyjęty... nie trzeba być wielkim prorokiem, aby to przewidzieć... odłożył obwieszczenie, aż wyjedzie, aż będzie dość daleko, o całe pięć dni drogi, dopiero 10 obecnego miesiąca zarządzenie ogłoszono. Jednym słowem, bał się stawić czoło mieszczanom i sadzi susami niczym jeleń przed sforą. Doprawdy, za często ucieczka jest mu jedynym ratunkiem! Nie wiem, kto mu podszeptał ten mało chwalebny fortel, czy Braque, czy Bucy; ale owoce rychło dojrzały. Marcel i najmożniejsi kupcy poszli, mocno rozgniewani, wylać swe żale diukowi d'Anjou, którego Delfin posadził w Luwrze jako swego zastępcę. Drugi syn króla ma dopiero osiemnaście lat i niewiele zdrowego rozsądku, więc pod groźbą buntu dał sobie wyrwać zawieszenie edyktu aż do powrotu Delfina. Albo nie należało wydawać zarządzenia, ku czemu bym się skłaniał, bo raz jeszcze okazało się złym środkiem zaradczym, albo należało je wydać i niezwłocznie wprowadzić w życie. Wybierając się do swego wuja Cesarza wielce wzmocnił się nasz Delfin Karol: Rada Miejska w stolicy odmawia posłuchu królewskim zarządzeniom.

Kto dziś właściwie rządzi w królestwie Francji? Mamy wszelkie prawo o to pytać. Nie oszukujmy siebie, sprawa pociągnie za sobą poważne następstwa. Bo Marcel nabrał pewności siebie, świadom, że ugiął wolę królewską, a cały tłum mieszczan go popiera, ponieważ broni ich kiesy. Delfin sprytnie wykpił Stany Generalne pozostawiając deputowanych zbitych z tropu jego wyjazdem; teraz tym posunięciem utracił całą swoją powagę. Przyznaj, że zaprawdę napawa goryczą zadawać sobie tyle trudu i uganiać się po drogach, jak to robię od pół roku, żeby polepszyć los książąt, którzy uparli się, aby sobie szkodzić!

Żegnaj Chalons!... O nie! o nie! wcale nie chcę się mieszać w sprawę mianowania nowego biskupa. Hrabia-biskup Chalons jest jednym z sześciu parów duchownych. To sprawa króla Jana czy Delfina. Niech ją załatwią bezpośrednio z Ojcem Świętym... albo obarczą nią Mikołaja Capocci; niech się raz wreszcie o coś potrudzi...

Nie trzeba jednak zbyt walać gromów na Delfina, zadanie ma niełatwe. Wielkim winowajcą jest król Jan, a syn nie zdoła popełnić tylu błędów, ile ich ojciec nagromadził.

Żeby ochłonąć z gniewu czy też wpaść w gniew jeszcze większy... Boże,

przebacz mi ten grzech... opowiem ci o wyprawie króla Jana. A zobaczysz, w jaki sposób król gubi Francję.

W Chartres, jak ci mówiłem, wziął się w ryzy. Przestał mówić o rycerstwie, kiedy należało mówić o finansach, zajmować się finansami, kiedy musiał prowadzić wojnę, troszczyć się o błahostki, gdy ważyły się losy królestwa. Raz wreszcie wydobył się z wewnętrznego zamętu, ze zgubnej skłonności do działania nie w porę; raz wreszcie, zda się, działał zgodnie z chwilą. Podjął prawdziwe przygotowania do wyprawy. A ponieważ nastrój wodza jest zaraźliwy; instrukcje zostały wprowadzone w życie dokładnie i szybko.

Przede wszystkim uniemożliwić Anglikom, by przekroczyli Loarę. Wysłano silne oddziały pod rozkazami dowódców obeznanych z okolicą, na stróżę wszystkich mostów i brodów od Orleanu po Angers. Rozkaz dowódcom, aby wciąż utrzymywali między sobą łączność i wysyłali często gońców do armii króla. Przeszkodzić za wszelką cenę połączeniu zastępów księcia Walii, zdążającego z Sologne, z armią diuka Lancastra, ciągnącą z Bretanii. Pokona się je oddzielnie. A przede wszystkim księcia Walii. Armia podzielona na cztery kolumny, aby ułatwić przemarsz, przejdzie rzekę po mostach w Meung, Blois, Amboise i Tours. Unikać starć z wrogiem, jakakolwiek by się nastęrczała sposobność, zanim wszystkie kolumny zgromadzą się za Loarą. Żadnych pojedynczych bohaterskich czynów, choćby mogły wydawać się kuszące. Bohaterstwo to zmiążdżyć wszystkich Anglików razem i oczyścić królestwo Francji z nieszczęść i hańby, jakie znoszono od wielu lat. Takie instrukcje wydał konetabl, diuk Aten, dowódcom chorągwi zebranych przed odmarszem. „Idźcie, panowie, niech każdy wypełnia swe zadanie, król na was patrzy.”

Niebo pokrywały ciężkie czarne chmury, które nagle rozdarły się przeszyte błyskawicami. Co dzień w Vendômois i Turenii wybuchały burze, padały deszcze krótkie, lecz rześiste, moczyły narzucone na zbroje płaszcze, końskie rzędy, przenikały wskroś przez kolczugi, przydawały ciężaru skórze. Rzekłbyś, że cała ta maszerująca stal przyciąga pioruny; piorun uderzył w trzech zbrojnych, którzy się schronili pod drzewem. Ale całość armii dobrze znosiła słotę, często dodawały jej ducha okrzyki pospólstwa. Bo mieszczanie w gródkach i chłopci po wsiach mocno się niepokoiли najazdem księcia Akwitanii, o którym krążyły przerażające wieści. Długi wąż pancernych śpieszących z czterech stron naraz pokrzepiał ich, gdy pojęli, że walki nie będą się toczyć w ich okolicach... „Niech żyje nasz dobry król! Złóście skórę wrogom! Niech Bóg was strzeże, dzielni panowie.” To zaś oznaczało „Bóg nas uchował dzięki wam... z których wielu gdzieś polegnie... od widoku spalonych naszych domów i nędznych łachów, rozpierzchłych stad, straconych plonów, zgwałconych córek. Bóg nas strzeże od wojny, którą gdzie indziej będziecie toczyli.” I nie skapili młodego złocistego wina. Podawali je rycerzom, a ci je pili z przechylonych dzbanów nie zsiadając z siodła.

Sam to widziałem, bom postanowił jechać w ślad za królem i jak on udać się do Blois. Śpieszył się na wojnę, ale ja miałem misję zawrzeć pokój. Uparłem się. Ja także miałem swój plan. Moja lektyka sunęła za trzonem armii, lecz za nią szły oddziały, które nie zdążyły na czas przybyć

do obozu w Chartres. Przybywało ich jeszcze w ciągu kilku dni. Między innymi hrabiowie: de Joigny, d'Auxerre i de Chatillon, trzej dzielni kompani, a za nimi szli wszyscy włócznicy z ich hrabstw, ci brali wojnę z lekkiej strony.

- Zacni ludzie, widzieliście przemarsz wojsk królewskich?

- Wojsk? Widziało się je przedwczoraj. Ilu ich było, ach iluż ich było! Szli przeszło parę godzin. A jeszcze inni przechodzili tego rana. Jak spotkacie Anglika, to go nie oszczędzajcie...

- Na pewno, zacni ludzie, na pewno... a jeśli schwytamy księcia Edwarda, to przypomnimy sobie o was i przyślemy wam jego część...

A księżę Edward w tym czasie, pewno mnie zapytasz... Księżę utknął pod Romorantin... krócej niż liczył król Jan, lecz dostatecznie długo, aby się rozwinął królewski manewr. Bo panowie de Boucicaut, de Craon i de Caumont bronili się z wściekłością. Samego 31 sierpnia trzykrotnie odparli przypuszczony atak. Dopiero 3 września twierdza padła. Księżę jak zwykle kazał ją podpalić; ale nazajutrz była niedziela i musiał zezwolić wojsku na wypoczynek. Łucznicy byli zmęczeni, utracili wielu swych towarzyszy. Było to pierwsze od początku kampanii nieco poważniejsze starcie. A księżę mniej niż zazwyczaj uśmiechnięty, dowiedziawszy się od swych szpiegów... bo miał nadal zwiadowców w głębi kraju... że król Francji z całą swą armią szykuje się nań napaść... rozmyślał, czy nie popełnił błędu uparcie oblegając twierdzę; czy nie lepiej by zrobił pozostawiając trzystu włóczników pana de Boucicaut zamkniętych w Romorantin.

Nie znał dokładnie liczebności wojsk króla Jana; lecz wiedział, że są o wiele silniejsze od jego własnych; armia ta szukała przejścia na czterech mostach naraz... Jeśli nie chce ulec zbyt miażdżącej przewadze, za wszelką cenę musi połączyć się z diukiem Lancastrem. Skończyły się miłe harce, skończona zabawa z uciekającymi do lasów chłopami, z paleniem klasztornych dachów. Panowie de Chandos i de Grailly, najlepsi jego dowódcy, nie mniej odeń zaniepokojeni, nawet oni, starzy weterani nawykli do zmiennych kolei wojny, skłaniali go do pośpiechu. Zszedł w dolinę rzeki Cher, minął Saint-Aignan, Thesee, Montrichard, nie zatrzymując się, by zbyt go pustoszyć, nawet nie spojrzął na piękną rzekę o cichych wodach ani na wyspy porośnięte topolami, przez które przeświecało słońce, ani na kredowe zbocza, gdzie w upale dojrzewały bliskie zbioru winogrona. Ciągnął na zachód ku pomocy i posiłkom.

7 września przybył do Montlouis, aby się dowiedzieć, że w Tours stacjonuje duża kolumna wojska pod wodzą hrabiego de Poitiers, trzeciego syna króla oraz marszałka de Clermont.

Tedy się waha. Cztery dni czeka na pagórkach Montlouis, aż przekroczy rzekę i przybędzie Lancaster; jednym słowem, oczekuje cudu. A jeśli cud nie nastąpi, ma w każdym razie dobrą pozycję. Czeką cztery dni, aż Francuzi, wiedząc, gdzie stoi, wydadzą mu bitwę. Księżę Walii myśli, że poradzi sobie z armią Poitiers-Clermont i nawet ją pokona. Pole walki wybrał na terenie usianym gęstymi kolczastymi krzakami. Każe łucznikom budować szańce. On, marszałkowie i giermkowie obozują w sąsiednich domeczkach.

Cztery dni, od świtu, bada horyzont w kierunku Tours. Rano olbrzymią

dolinę zalega złocista mgła; rzeka wezbrana świeżymi ulewami toczy żółte wody pod zielonym brzegiem. Łucznicy przekopują nadal pagórki.

Cztery noce patrząc na niebo książę zapytuje siebie, co mu przyniesie następny świt. Noce w tym czasie są bardzo piękne, a Jowisz świeci wyraźnie, większy od innych gwiazd... "Co zrobią Francuzi? - pyta siebie książę. - Co oni zrobią?"

Francuzi zaś, wyjątkowo uszanowawszy wydany im rozkaz, wcale nie atakują. 10 września przybywa do Blois król Jan wraz ze swą armią w porządku i ładzie. 11 września wyrusza ku ładnemu miastu Amboise, tuż przy Montlouis. Żegnajcie posiłki, żegnaj Lancastrze; książę Walii musi co rychlej cofać się ku Akwitanii, jeśli nie chce się znaleźć w tarapatkach między Tours a Amboise; nie może stawić czoła dwóm armiom. Tegoż dnia uchodzi z Montlouis, zatrzymuje się na nocleg w Montbazon.

A kogóż widzi rankiem 12 września? Dwustu łuczników poprzedzanych przez biało-żółtą chorągiew, a wśród łuczników wielką czerwoną kolebę, z której wysiada kardynał... Przyzwyczailem moich sierzantów i pachołków, aby klękali na ziemi, gdy widzą, że wysiadam. To zawsze wywiera wrażenie na ludziach, których odwiedzam. Wielu wnet klęka i żegna się. Moje pojawienie się wzruszyło angielski obóz, możesz mi wierzyć.

Wczoraj opuściłem w Amboise króla Jana. Wiedziałem, że jeszcze nie zaatakuje, ale chwila starcia nie mogła być odległa. Tedy moim obowiązkiem wszczać rokowania. Minąłem Blere, gdzie się krótko przespałem. Otoczony po bokach przez pancernych siostrzeńca z Durazzo i pana de Heredia oraz idących w ślad za mną w sutannach prałatów i kleryków podszedłem do księcia prosząc o rozmowę w cztery oczy.

Śpieszył się, mówił, że za godzinę zwija obóz. Zapewniłem go, że ma chwilę czasu, a moje słowa w imieniu Ojca Świętego, papieża, zasługują, aby ich wysłuchał. Świadomość, o czym i tak był przekonany, że dziś nie nastąpi atak, przyniosła mu na pewno ulgę, lecz podczas całej rozmowy, chociaż chciał dowieść, że jest pewny siebie, okazywał nadal pośpiech, co uznałem za pomyślne.

Księcia cechuje wrodzona wyniosłość, a ponieważ i ja ją posiadam, początek rozmowy nie mógł być łatwy. Ale mnie pomaga mój wiek...

Piękny mężczyzna, słusznego wzrostu... W istocie, w istocie to prawda, że ci jeszcze nie opisałem księcia Walii... Dwadzieścia sześć lat. Lata zresztą całego nowego pokolenia, które ujmuje ster państwa w swe ręce. Król Nawarry ma dwadzieścia pięć lat, Febus tyleż, jedynie Delfin jest młodszy... Walijczyk ma miły uśmiech, którego nie szpeci jeszcze żaden zepsuty ząb. Dolną część twarzy i karnację odziedziczył po matce, królowej Filipie, ma jej ujmujący sposób bycia i jak ona utyje. Górną częścią twarzy przypomina raczej swego pradziada, Filipa Pięknego. Gładkie czoło, szeroko rozstawione, błękitne duże oczy, chłodne jak żelazo. Uparcie przygląda się tobie, wnikliwie, w sposób, który zadaje kłam uprzejmemu uśmiechowi. Obie części tej twarzy o tak różnym wyrazie dzielą piękne blond wąsy, na modłę saksońską okalające usta i podbródek. Władczość jest zasadniczym rysem jego charakteru. Ocenia ludzi z wysokości swego siodła.

Znasz jego tytuły? Edward Woodstock, książę Walii, książę Akwitanii,

diuk Kornwalii, hrabia na Chester, pan na Biskajach... Uznaje za dostojniejszych od siebie jedynie papieża i ukoronowanych królów. Wszyscy inni w jego oczach to istoty różniące się między sobą jedynie coraz niższymi szczeblami. Posiada talenty wodza, to na pewno, i pogardę ryzyka. Jest wytrwały; w niebezpieczeństwie zachowuje trzeźwy umysł. Hojny, po zwycięstwie obsypuje przyjaciół darami.

Już ma przydomek Czarnego Księcia, zawdzięcza go zbroi z przyciemnionej stali, którą sobie upodobał, a która go wyróżnia - zwłaszcza że hełm mu wieńczy trzy białe pióra - wśród skrzących się kolczug i różnobarwnych płaszczy otaczających go rycerzy. Wcześniej zdobył sławę. Pod Crécy, miał wówczas szesnaście lat, ojciec powierzył mu dowództwo nad całym hufcem walijskich łuczników, przydając mu oczywiście wypróbowanych dowódców, którzy mieli mu doradzać, a nawet nim kierować. Otóż francuscy rycerze tak ostro natarli na ten hufiec, że opiekunowie księcia, sądząc, że ów jest w niebezpieczeństwie, wysłali gońca do króla z prośbą, by pośpieszył z pomocą synowi. Król Edward III przyglądał się bitwie z pagórka koło wiatraka, odpowiedział wysłannikowi: „Czy syn mój poległ, czy jest pokonany, czy też ranny, że nie może sam sobie poradzić? Nie?... Tedy wracajcie do niego czy do tych, co was wysłali, i powiedzcie, niech mnie nie wzywają, cokolwiek mu się wydarzy, jeśli będzie żyw. Pozwólcie chłopcu zdobyć ostrogi, bo pragnę, jeśli Bóg tak zarządzi, aby zwycięstwo do niego należało i honor doń przylgnął”.

Oto młodzieniec, z którym zetknąłem się po raz pierwszy.

Powiedziałem mu, że król Francji...

- Wobec mnie nie jest królem Francji - przerwał.

- Wobec Kościoła jest królem namaszczonego i ukoronowanego - odparowałem; sam osądz ton... Powiedziałem, że król Francji idzie mu na spotkanie na czele blisko trzydziestotysięcznej armii. Umyślnie nieco przesadziłem, a pragnąc, by uwierzył, dodałem:

- Inni wam powiedzą, że sześćdziesiąt tysięcy. Ja wam mówię prawdę. Nie liczę bowiem piechoty, która pozostała w tyle.

Pominałem, że została rozpuszczona; miałem wrażenie, że już o tym wiedział.

Ale wszystko jedno; sześćdziesiąt czy trzydzieści, czy nawet dwadzieścia pięć tysięcy, liczba najbardziej zbliżona do rzeczywistej; księżę miał ze sobą ledwie sześć tysięcy, łącznie z łucznikami i nożownikami. Przedstawiłem mu, że w tej sytuacji decyduje nie męstwo, ale liczebność.

Odpowiedział, że lada chwila połączy się z drugą armią, Lancastra. Odrzekłem, że mu tego z całego serca życzę, dla jego ocalenia.

Spostrzegł, że w pewności siebie mistrzem moim nie będzie, i po krótkim znaczącym milczeniu bez ogródek powiedział, iż wie, że bardziej sprzyjam królowi Janowi... teraz przyznał mu tytuł króla... niż jego ojcu.

- Sprzyjam jedynie dziełu pokoju między obu królestwami - odrzekłem - i właśnie pokój wam proponuję.

Wówczas z wielką wyniosłością począł mi przedstawiać, że w roku ubiegłym przeszedł całą Langwedocję i zaprowadził swych rycerzy aż do morza latyńskiego, król zaś nie zdołał mu stawić oporu; że w tym roku



dotarł z Gujeny aż do Loary; że Bretania jest prawie we władzy Anglików; że znaczna część Normandii skłoniona przez Filipa Nawarry jest już gotowa ją uznać, że przyłączyło się do niego wielu panów z Angoumois, Poitou, Saintonge, a nawet z Limousin... taktownie nie wzmiankował o Perigord... a jednocześnie patrzył przez okno, jak wysoko stoi słońce... nareszcie dorzucił:

- Po tylu sukcesach naszych armii, po wszystkich naszych zdobyczach prawem i mieczem w królestwie Francji, jakie propozycje przedłożyłby król Jan, aby zawrzeć pokój?

Ach! gdyby król zechciał był wysłuchać mnie w Breteuil, w Chartres... Cóżem mógł mu odpowiedzieć, co miałem do zaoferowania? Odrzekłem księciu, że nie przynoszę mu żadnych propozycji ze strony króla Francji, bo ów ufny w swe siły może dopiero myśleć o pokoju, gdy odniesie zwycięstwo, na które liczy; natomiast przynoszę mu rozkaz papieża, który pragnie, aby ustało okrwawianie zachodnich królestw, i kategorycznie prosi królów - podkreśliłem - aby pogodzili się i przyszli z pomocą braciom naszym w Konstantynopolu. Po czym zapytałem go, na jakich warunkach Anglia...

Wciąż patrzył na wznoszące się słońce i przerwał mi mówiąc:

- Decyzja zawarcia pokoju należy do króla, mego ojca, a nie do mnie. Nie otrzymałem od niego rozkazu upoważniającego mnie do rokowań.

Po czym poprosił mnie, abym raczył mu wybaczyć, jeśli wyprzedzi mnie w drodze. Myślał tylko, by oddalić się od ścigającej go armii.

- Zezwólcie mi pobłogosławić was, Dostojny Panie - rzekłem. - Będę blisko, gdyby wam się zdarzyło potrzebować mej pomocy.

Powiesz, bratanku, że odjeżdżając z Montbazon w ślad za angielską armią, wiozłem w sieci arcyskromny połów. Lecz wcale nie byłem tak nierad, jak mógłbyś sądzić. Moim zdaniem sytuacja była taka: ryba chwyciła haczyk i pozostawiłem ją na nitce. Wszystko zależało od fal na rzece. Musiałem jedynie nie oddalać się od brzegu.

Księżę puścił się na południe, ku Chatellerault. W tych dniach na drogach Turenii i Poitou widniały zadziwiające pochody. Najpierw armia księcia Walii, zwarta, szybka, sześć tysięcy ludzi zawsze w ordynku, lecz nieco zdyszanych, nie marnujących czasu na palenie stodół. Ziemia paliła się raczej pod kopytami ich koni. O dzień marszu rzucona w pościg olbrzymia armia króla Jana, który przegrupował wedle swego planu wszystkie chorągwie, czyli blisko dwadzieścia pięć tysięcy ludzi, lecz nazbyt ich ponaglał, nużył, przeto poczęli od siebie odstawać pozostawiając maruderów.

A między Anglikami i Francuzami, w ślad za pierwszymi poprzedzając drugich, mój malutki orszak, purpurowo-złoty punkcik w wiejskim krajobrazie. Między dwoma armiami widuje się nie za często kardynała! Wszystkie chorągwie śpieszyły na wojnę, ja zaś upierałem się przy zawarciu pokoju. Siostrzeniec mój, Durazzo, aż tupie z niecierpliwości; czuję, że się wstydzi eskortować kogoś, kogo całe bohaterstwo polega na przerwaniu walk. Inni moi rycerze, Heredia, La Rue, myślą to samo. Durazzo mi mówi:

- Zostawcie króla Francji, niech da w skórę Anglikom i skończy z nimi.

Zresztą czemu chcecie przeszkodzić?

W głębi duszy podzielam ten pogląd, lecz nie chcę wcale popuścić. Wyraźnie widzę, że król Jan dogania księcia Edwarda, a gdy go doścignie, może jedynie zmiażdżyć. Jeśli nie w Poitou, to w Angoumois.

Wszystko pozornie wskazuje, że król Jan zwycięży. Lecz w tych dniach gwiazdy są niepomysłne, bardzo niedobre, wiem o tym. Rozmyślam, w jaki sposób, w sytuacji tak dlań korzystnej, zniweczy złowieszczy aspekt. Mówię sobie, że może wyda zwycięską bitwę, ale sam polegnie. Czy też jakaś choroba chwyci go w drodze.

Tą samą drogą suną opóźnione oddziały konnicy hrabiów de Joigny, d'Auxerre i de Chatillon. Dobrzy druhowie, zawsze weseli i dbali o wygodę, powoli doganiają trzon francuskiej armii. - Dobrzy ludzie, widzieliście króla? - Króla? Toć rankiem wyjechał z La Haye. - A Anglik? - Nocował tu wczoraj...

Jan II, jadąc w ślad za kuzynem, dokładnie zna trasę swego przeciwnika. Ów czując, że następują mu na pięty, zajedzie do Chatellerault, a tu chcąc sobie ulżyć i mieć wolny most, każe przeprowadzić nocą przez Vienne swój osobisty tabor, wszystkie wozy z meblami, paradnymi rzędami, a także cały swój łup: jedwabie, srebrne zastawy, cacka z kości słoniowej, skarby kościelne, które zrabował podczas swego najazdu. I pogania je do Poitiers. Sam zaś ze zbrojnymi i łucznikami jedzie od samego rana tą samą drogą; po czym, przez ostrożność, gna z wojskiem na przełaj. Wykalkulował: okrąży od wschodu Poitiers, gdzie król będzie musiał zezwolić swej ciężkiej armii choćby na kilkugodzinny odpoczynek, tym sposobem on zyska na czasie.

Nie wie, że król nie pojechał drogą na Chatellerault. Z całą swą konnicą, którą wiedzie niczym w pościgu na łowach, ruszył na Chauvigny, jeszcze bardziej na wschód, usiłując prześcignąć wroga i odciąć mu odwrót. Król jedzie na czele, wyprostowany w siodle, wysuwa w przód brodę, na nic nie zważa, podobnie jak jechał na biesiadę w Rouen. Przeszło dwunastomilowy odcinek jednym ciągiem.

Wciąż w ślad za nim mkną trzej burgundzcy panowie, Joigny, Auxerre i Chatillon. - Król? - Na Chauvigny. - Jazda do Chauvigny! - Są radzi, prawie doścignęli trzon armii. Przybędą na koniec łowów.

Przyjeżdżają więc do Chauvigny, nad którym góruje potężny zamek w zakolu rzeki Vienne. Tam, w zmierzchu, olbrzymie zgromadzenie zastępów, natłok wozów i pancernych. Joigny, Auxerre i Chatillon lubią wygodę. Po uciążliwej jeździe nie rzucą się w taką ciżbę. Po co się śpieszyć? Zjedzmy raczej dobry obiad, podczas gdy pachołkowie opatrzą wierzchowce. Zrzuciwszy hełmy, rozwiąawszy rzemienie u nagolenników, oto przeciągają się, masują lędźwie i łydki, a później siadają za stołem w oberży opodal rzeki. Giermkowie, znając ich łakomstwo, znaleźli rybę, ponieważ to piątek. Następnie pością sobie... wszystko mi potem szczegółowo opowiedziano... następnego ranka budzą się późno, w gródku pustka i cisza. - Zacni ludzie... król? - Wskazują im drogę na Poitiers. - Najkrótsza? - Przez La Chaboterie.

Oto Chatillon, Joigny i Auxerre na czele swych łuczników pomykają drogą przez wrzosowiska. Ładny ranek; słońce świeci przez gałęzie,

zbytńio nie pali. Trzy mile przebywają bez trudu. Będą w Poitiers za niecałe pół godziny. Nagle na skrzyżowaniu dwóch ścieżynek w lesie natykają się nos w nos na trzydziestkę angielskich zwiadowców. Mają przeszło trzystu włóczyków. Prawdziwa gratka. Spuśćmy przyłbice, nastawmy włócznie. Angielscy zwiadowcy, zresztą rodem z Hainaut, pod wodzą panów de Ghistelles i d'Auberchicourt, robią pół obrotu i puszczają się w cwał. „Ach! lotry! Ach! tchórze! W pogoń, w pogoń!”

Pościg wcale nie trwa długo, bo przejechawszy pierwszy wysokopienny las, Joigny, Auxerre i Chatillon wpadają w trzon angielskiej kolumny, która ich ogarnia. Przez chwilę szczękają miecze i włócznie. Dzielnie się biją Burgundzcy, lecz przytłacza ich liczba. - Do króla gnajcie, do króla, jeśli zdołacie! - wydają giermkom rozkaz Auxerre i Joigny, zanim zrzuceno ich z siodła i musieli się poddać.

Król Jan był już na przedmieściach Poitiers, kiedy kilku ludzi hrabiego de Joigny zdołało się wymknąć przed wściekłym pościgiem i przybyło bez tchu, by opowiedzieć, co się stało. Król mocno im pogratulował. Był bardzo rozradowany. Że stracił trzech wielkich baronów oraz ich chorągwie? Z pewnością nie; ale cena nie była wysoka za dobrą wiadomość. Sądził, że księżę Walii jest jeszcze przed nim, ten zaś pozostał za nim. Dopiął swego: odciął mu drogę. Pół zwrotu na Chaboterie. Prowadźcie śmiałkowie! Hallali, hallali... król Jan przeżył świetny dzień.

A ja, bratanku? Jechałem drogą z Chatellerault. Przybyłem do Poitiers, a tam rozgościłem się w biskupstwie i tam wieczorem o wszystkim się dowiedziałem.





## VI

### Zabiegi kardynała

Nie zdziw się, Archibaldzie, widząc, że Delfin składa hołd swemu wujowi, Cesarzowi. Ależ tak, hołd należny z Delfinatu będącego w cesarskiej gestii... Nie, nie, sam go mocno do tego zachęcałem; to nawet jeden z powodów podróży! Wcale to nie pomniejsza Francji, na odwrót; utwierdza jej prawa do królestwa Arles, gdyby je kiedykolwiek wskrzeszono, ponieważ okręg Vienne ongiś znajdował się w obrębie tego królestwa. Następnie to dobry przykład dla Anglików, ukazać im, że król czy syn króla wcale się nie poniża zgadzając się na złożenie hołdu innemu monarsze, jeśli część jego państwa podlega z dawien dawna zwierzchności drugiej strony...

Po raz pierwszy od dawna Cesarz, zda się, postanowił skłonić się ku Francji. Bo aż dotąd, choć siostra jego Pani Bona była pierwszą żoną króla Jana, sprzyjał raczej Anglikom. Czyż nie mianował wikariuszem Cesarstwa króla Edwarda, gdy ów tak sprytnie go podszedł? Wielkie zwycięstwa Anglii i poniżenie Francji doprowadziły Cesarza do rozwagi. Wcale mu się nie uśmiechało angielskie cesarstwo obok własnego Cesarstwa. Zawsze się tak dzieje z niemieckimi książętami, starają się, jak mogą, umniejszyć Francję, a następnie dostrzegają, że im to wcale nie przyniosło korzyści, na odwrót...

Radzę ci, skoro staniemy przed Cesarzem i jeśli będzie mowa o Crécy, abyś nie kładł nacisku na tę bitwę. W każdym razie nie wymawiaj pierwszy tej nazwy. Bo w odróżnieniu od swego ojca Jana Ślepego, Cesarz, który nie był wówczas jeszcze cesarzem, niepięknie się tam popisał. Uciekł po prostu, powiedzmy bez ogródek... Ale nie mów także za wiele o Poitiers, nie uważaj za konieczne wychwalać nieszczęsną odwagę francuskich rycerzy, a to ze względu na Delfina... bo i on nie odznaczył się nadmiarem męstwa. To jeden z powodów, które mu utrudniają cokolwiek utrzymać swą władzę. O nie! nie będzie to spotkanie bohaterów... Ostatecznie Delfin ma usprawiedliwienie: nie jest wojownikiem i nie on poniechał propozycji, które podsuwałem jego ojcu...

Podejmuję więc mą opowieść o Poitiers, a nikt nie potrafi ci jej dokładniej ode mnie zrelacjonować, pojmiesz zaraz dlaczego. Jest więc sobotni wieczór, kiedy obie armie już wiedzą, że ze sobą sąsiadują, niemal się stykają, a książę Walii rozumie, że nie może się ruszyć...

W niedzielę, wczesnym rankiem, król wysłuchuje mszy na otwartym polu. Msza polowa. Celebrant w mitrze i ornacie narzuconym na koleczugi, Regnault Chauveau hrabia-biskup Chalons, jeden z prałatów, którym raczej przystoi stan rycerski niż duchowny... Widzę, że się uśmiechasz, bratanku... tak, mówisz, że i ja należę do tej kategorii, lecz nauczyłem się hamować, ponieważ Bóg mi wyznaczył drogę.

Armia klęcząca na łąkach mokrych od rosy, przed gródkiem Nouaille,

musi nasuwać biskupowi Chauveau wizję legionów niebiańskich. Biją dzwony w grubej czworokątnej wieży opactwa Maupertuis. Na wzgórzu zaś Anglicy osłonięci kępami drzew słyszą potężne „Gloria”, które wykrzykują francuscy rycerze.

Król przystępuje do komunii; otaczają go czterej synowie i brat Orleańczyk, wszyscy w bojowych strojach. Marszałkowie patrzą z pewnym zakłopotaniem na młodych książąt, którym należało powierzyć dowództwo, chociaż nie mają żadnego doświadczenia wojennego. Tak, książęta stanowią ich troskę. Czyż nie przyprowadzono nawet dzieciaków, młodego Filipa, ulubionego syna króla i kuzyna jego, Karola d’Alençon? Czternastolatek, trzynastolatek; jakiż kłopot z tymi maluchami w pancerzach! Młody Filip zostanie przy ojcu, który sam chce nad nim czuwać; opiekę nad małym d’Alençon powierzono Arcykapłanowi.

Konetabl podzielił wojsko na trzy wielkie kolumny. Pierwsza - trzydzieści dwie chorągwie - jest pod rozkazami diuka Orleanu. Druga pod wodzą Delfina, diuka Normandii, wspomaganego przez braci: Ludwika Andegaweńskiego i Jana de Berry. Lecz w rzeczywistości dowodzą nią Jan de Landas, Tybald de Vodenay i pan de Saint-Venant, trzech doświadczeni wojownicy, którzy mają obowiązek otaczać z bliska dziedzica tronu i nim kierować. Król stanie na czele trzeciej kolumny.

Podsadzają go na siodło, na rosłego białego rumaka. Przebiega wzrokiem swe wojsko i zachwyca się widząc je tak liczne i tak piękne. Ileż hełmów, ileż obok siebie włóczni w głębokich szeregach! Ileż ciężkich koni kiwa łbami szczękając wędzidłem! Przy siodłach wiszą miecze, buławy, topory o podwójnym ostrzu. Na włóczniach powiewają proporce i wstęgi. Jak barwią się jaskrawo wymalowane podłużne i okrągłe tarcze, hafty na płaszczach rycerzy i na czaprakach wierzchowców! Wszystko to wzbija kurz, łśni, migoce, jaśniej w porannym słońcu.

Król tedy zbliża się i woła: „Moi szlachetni panowie, kiedy byliście sami w Paryżu, Chartres, Rouen czy w Orleanie, wygrażaliście Anglikom, pragnęliście stać naprzeciw nich w żelaznych hełmach na głowach; a teraz już przed nimi stoicie. Wskazuję ich wam, przeto raczcie okazać wasze talenty i pomścić wyrządzone nam krzywdy i okazaną złość, bo bez wątpienia ich pobijemy”. I po gromkim: „Dopomóż Bóg! Damy radę!” jakie mu odpowiedziało, czeka. Czekają, aby wydać rozkaz, na powrót Eustachego de Ribemont, bajlifa z Lille i Douai, którego wysłał z małym oddziałkiem na dokładne rozpoznanie angielskich pozycji.

Cała armia czeka w głębokiej ciszy. Trudna chwila przed natarciem, gdy opóźnia się rozkaz. Każdy sobie wtedy mówi: „Może dziś przyjdzie na mnie kolej... może po raz ostatni oglądam ziemię”. I ściskają się wszystkie gardła pod stalową podpinką przyłbicy, i każdy poleca się Bogu goręcej niż podczas mszy. Z nagłą gra wojenna staje się uroczysta i straszliwa.

Pan Galfryd de Charny trzymał oriflamę, którą król zaszczycając go, jemu powierzył, powiadając, że twarz miał całkiem przeistoczoną.

Diuk Aten należał zda się do najspokojniejszych. Wiedział z doświadczenia, że najważniejszą część pracy konetabla wykonał już przedtem. Gdy bitwa się rozpocznie, będzie widział najwyżej na dwieście kroków, a głos jego dotrze najwyżej na pięćdziesiąt; z różnych miejsc pola

bitwy wyślą do niego giermków, którzy przybędą albo nie przybędą, a tym, co przybędą, wykrzyczy rozkaz, który będzie albo nie będzie wykonany. Ma stać tutaj, aby można było wysyłać do niego gońców, aby wykonał gest, aby wykrzyknął przyzwolenie, pokrzepił. Może podjął decyzję w trudnej chwili... Lecz w tym wielkim zamęcie zderzeń i okrzyków zaiste nie on będzie dowodził, lecz wola Boża. A zważywszy na ilość Francuzów, zda się, Bóg już wydał wyrok.

Król Jan poczyna się złościć, ponieważ nie wraca Eustachy de Ribemont. Czy został pojmany jak wczoraj Auxerre i Joigny? Rozsądek nakazuje wysłać drugi zwiad. Lecz król Jan nie znosi czekania. Ogarnia go gniewne zniecierpliwienie, które wzrasta w nim za każdym razem, kiedy bieg zdarzeń nie toczy się wedle jego woli, i sprawia, że jest niemocem roztropnie osądzać sprawy. Już ma wydać rozkaz natarcia, tym gorzej, zobaczymy... kiedy wreszcie powracają pan de Ribemont i jego zwiadowcy.

- No, Eustachy, jakie wiadomości?

- Bardzo dobre, Sire, jeśli Bóg pozwoli, macie zapewnione zwycięstwo nad wrogami.

- Ilu ich jest?

- Sire, widzieliśmy ich i oszacowaliśmy. Oceniamy Anglików na dwa tysiące pancernych, cztery tysiące łuczników oraz półtora tysiąca zwykłych żołnierzy.

Król na białym rumaku uśmiecha się zwycięsko. Spogląda na stojących wokół niego w szeregach dwadzieścia pięć tysięcy, albo prawie tyluż, ludzi.

- A jaką mają ochronę?

- O, Sire, zajmują mocne stanowisko. Można sądzić, że mają tylko jeden hufiec, i to mały, aby stawić czoło naszym, ale w dobrym ordynku.

I opisuje, jak Anglicy rozmieścili się na wzgórzu po obu stronach wiodącej w górę drogi okolonej gęstym żywopłotem i krzakami, za którymi ustawili szeregi łuczników. Do ataku wiedzie tylko ta droga, po której jedynie cztery konie mogą iść rzędem. Po obu stronach wyłącznie winnice i sosnowe laski, gdzie nie da się jechać konno. Angielscy pancerni odstawili na ubocze wierzchowce i wszyscy spieszeni stanęli za łucznikami tworzącymi rodzaj kraty. A tych łuczników nielekką będzie porazić.

- A jak radzicie, panie Eustachy, jak mamy tam uderzyć?

Cała armia ma oczy wlepione w radę gromadzącą się wokół króla, jest tu konetabl, marszałkowie, naczelnicy dowódcy chorągwi. A także hrabia Douglas, który od Breteuil nie opuszcza króla. Niekiedy goście kosztują drogo.

Wilhelm Douglas rzecze:

- My, Szkoci, zawsze pieszo biliśmy Anglików...

A Ribemont go popiera mówiąc o flamandzkiej milicji. I oto w chwili rozpoczęcia bitwy wszczyna się dyskusja o sztuce wojowania. Ribemont ma do przedłożenia propozycję rozplanowania natarcia. A Wilhelm Douglas ją pochwała. Król skłania się, by ich wysłuchać, ponieważ Ribemont jedyny zbadał teren, a Douglas jest gościem świetnie znającym Anglików.

Nagle pada rozkaz, przekazuje się go, powtarza: „Zsiadać z koni!” Co? Po długiej chwili napięcia i trwogi, gdy każdy w głębi duszy gotował się do spotkania ze śmiercią, nie będzie walki? Przebiega jakby dreszcz rozczarowania. Ależ tak, ależ tak, będzie się walczyło, ale pieszo. Pozostanie na koniu tylko trzystu pancernych, którzy ruszą pod wodzą obu marszałków, aby przełamać szeregi angielskich łuczników. A przez wyłom natychmiast wtargną pancerni, aby walczyć wręcz ze zbrojnymi księcia Walii. Konie będą stały w pobliżu do pościgu.

Już Audrehem i Clermont pędzą przed czołem chorągwi, wybierają trzystu rycerzy, najsilniejszych, najzuchwalszych, najciężej uzbrojonych, którzy ruszą do ataku.

Nie mają zadowolonych min marszałkowie, bo nie poproszono ich nawet, by wyrazili swe zdanie. Clermont mocno się starał, aby go wysłuchano, i prosił o chwilę rozwagi.

Król go ofuknął:

- Pan Eustachy widział, a pan Douglas wie. Co nowego nam da wasza przemowa?

Plan zwiadowcy i gościa staje się planem króla.

- Brakuje tylko, by Ribemonta mianować marszałkiem, a Douglasa konetablem - burczy Audrehem.

- Wszyscy nie biorący udziału w szarży, zsiąść z koni, zsiąść z koni... Odczepcie ostrogi, skróćcie włócznie na długość pięciu stóp!

Złość i pomruk w szeregach. Nie po to tu się przyszło. Po co tedy rozpuszczono piechotę w Chartres. A następnie skracać włócznie, od tego aż serca pękają rycerzom. Piękne jesionowe drzewca, troskliwie wybrane, by trzymać je przywarte do tarczy, i w cwał! Teraz pójda się przechadzać z kijami, obciążeni żelastwem. „Nie zapominajmy, że pod Crécy...” mówią ci, co chcą mimo wszystko przyznać królowi rację. „Crécy, wciąż Crécy...” odpowiadają inni.

Ci ludzie, o duszach przed półgodziną natchnionych rycerską ochotą, sarkają niczym chłopci, którzy złamali oś u wozu. Ale sam król, by dać przykład, odsyła białego rumaka i depce trawę stopami bez ostróg, przerzucając buławę z ręki do ręki.

Przybywam w środek tej armii zajętej obcinaniem włóczni ciosami topora z lęku, pędziłem w cwał osłonięty chorągwią Stolicy Apostolskiej, eskortowali mnie jedynie moi rycerze i najlepsi giermkowie. Guillermis, Cunhac, Elias d’Aimery, Heliasz de Raymond, ci, co z nami teraz jadą. Nieskłonni są zapomnieć. Czy ci opowiadali?

Zsiadam z konia, rzucam wodze w ręce La Rue; poprawiam kapelusz, który w czasie jazdy zsunął mi się na plecy; Brunet wygładza mi szatę, złączywszy rękawice idę do króla. Na wstępie mówię mu z taką stanowczością, jak i szacunkiem:

- Sire, proszę was, błagam w imię wiary, o odroczenie rozpoczęcia bitwy. Zwracam się do was z rozkazu i woli naszego Ojca Świętego. Czy raczycie mnie wysłuchać?

Zaskoczony przybyciem w podobnej chwili tego natręta z Kościoła, cóż król Jan mógł zrobić, jedynie odpowiedzieć równie ceremonialnym tonem:

- Chętnie, Wielebny Panie Kardynale. Co raczycie mi powiedzieć?

Chwilę stałem wzniósłszy ku niebu oczy, jakbym prosił o natchnienie. Istotnie modliłem się, ale także czekałem, aż podejdą: diuk Aten, marszałkowie, diuk de Bourbon, biskup Chauveau, w którym spodziewałem się znaleźć sojusznika, Jan de Landas, Saint-Venant, Tancarville oraz kilku innych, wśród nich Arcykapłan. Bo teraz nie miały to być słowa wypowiedziane w cztery oczy czy też rozmowa przy obiedzie jak w Breteuil albo Chartres. Chciałem, aby mnie wysłuchał nie tylko król, ale i najwyżsi we Francji dostojnicy i żeby byli świadkami moich zabiegów.

- Umiłowany Panie - podjąłem - oto macie tutaj kwiat rycerstwa z waszego królestwa, mnogość wobec garstki, jaką stanowią wobec was Anglicy. Nie mogą zdzierżyć waszej potędze, byłoby bardziej godne czci, aby bez bitwy zdali się na waszą łaskę, niż narażać całe to rycerstwo i skazywać na śmierć dobrych chrześcijan po obu stronach. Mówię to wam z rozkazu Jego Świątobliwości papieża, który obdarzając mnie pełnią swej władzy, polecił mi, jako swemu nuncjuszowi, abym dopomógł do zawarcia pokoju, jaki ma panować między chrześcijańskimi narodami wedle przykazania i woli Boga. Przeto proszę was w imię Pana Najwyższego, abyście zczekali, aż pojedę do księcia Walii, aby mu wskazać, na jakie niebezpieczeństwo go wystawiacie, oraz przemówić mu do rozumu.

Gdyby król Jan mógł mnie ugryźć, sądzę, że to by zrobił. Lecz kardynał na polu bitwy wielkie sprawia wrażenie. Kiwnął głową diuk Aten i Dostojny Pan de Bourbon, i marszałek de Clermont. Dorzuciłem:

- Umiłowany Panie, oto dziś mamy niedzielę, dzień Pański, a wy wysłuchaliście mszy. Czy raczycie odroczyć dzieło śmierci w dniu poświęconym Panu Najwyższemu? Pozwólcie mi chociaż pomówić z księciem.

Król Jan spojrzał na zgromadzonych wokół panów i pojął, że arcychrześcijański król nie może odrzucić mej prośby. Gdyby nastąpiło jakiegokolwiek zgubne wydarzenie, uznano by go za winowajcę i dostrzeżono by w tym karę Bożą.

- Zgoda, Wasza Eminencjo - odparł - raczemy zaspokoić wasze życzenie. Lecz wracajcie nie zwłócząc.

Wtedy napęczniał pychą... niech Bóg mi przebaczy... Poznałem wyższość duchownego, księżęcia samego Boga, nad doczesnymi królami. Jeślibym był hrabią de Perigord miast twego ojca, nigdy bym nie został obdarzony taką potęgą. I pomyślałem, że dopełniam dzieła mego życia.

Nadal pod eskortą moich kilku włóczników, nadal pod znakiem papieskiej chorągwi ruszyłem na wzgórze drogą zbadaną przez Ribemonta, w kierunku lasku, gdzie obozował książę Walii.

- Książę, szlachetny synu... - bo tym razem nie tytułowałem go Dostojnym Panem, żeby mógł wyraźniej odczuć swoją słabość - jeśli słusznie oceniliście siły króla Francji, jak wam to już przedstawiłem, pozwólcie mi pokusić się o zawarcie ugody między wami, jeśli zdołam. - I wyliczyłem mu chorągwie francuskie, które obejrzałem przed gródkiem Nouaille. - Widzicie, jaką macie sytuację, ilu was jest... Czy sądzicie, że długo zdołacie się utrzymać?

O nie, nie mógłby się długo opierać, a o tym wiedział. Jedyną jego



przewagę stanowił teren: szanice były zaprawdę najlepsze, jakie zdarzyło mi się widzieć. Lecz ludzie już poczęli cierpieć z pragnienia, bo na wzgórzu nie było wody; należało po nią chodzić do strumyka Miosson, płynącego na dole, a tam rządził Francuzi. W żywność był zaopatrzony tylko na jeden dzień. Księżciu-rozbójnikowi zgasł piękny uśmiech na białych zębach, pod wąsem na modłę saksońską. Gdyby nie był tym, kim był, wśród swych rycerzy Chandosa, Grailly, Warwicka, Suffolka, którzy bacznie nań patrzyli, zgodziłby się z tym, co i oni myśleli, że sytuacja nie rokuje nadziei. Chyba że cud... a cudem tym może ja go obdarzałem. Jednakowoż dbając o majestat nieco się drożył.

- Powiedziałem już wam w Montbazon, Wielebny Panie de Perigord, że nie mógłbym pertraktować bez rozkazu króla, mego ojca.

- Szlachetny książę, ponad rozkazy królów wyższy jest rozkaz Boga. Ani wasz ojciec, król Edward, na swym tronie w Londynie, ani Bóg na niebiańskim tronie nie przebaczyliby wam, że skazujecie na zgubę tylu dobrych i dzielnych ludzi powierzonych waszej pieczy, gdybyście mogli postąpić inaczej. Zgódźcie się więc, abym omówił warunki, które przyjmując, moglibyście, nie tracąc honoru, oszczędzić walki wielce okrutnej i wielce niepewnej.

Stały naprzeciw siebie czas, rycerska zbroja i kardynalska czerwona szata. Hełm o trzech białych piórach badał mój karmazynowy kapelusz i, zda się, liczył na nim jedwabne żółędzie. Wreszcie hełm dał znak zgody.

Gdy jechałem drogą wskazaną przez Eustachego, dostrzegłem angielskich łuczników ustawionych rzędami za ostrokołem z palików, które tu wbili. Powróciłem do króla Jana. Wpadłem w rozgwar czezej paplaniny, a z niektórych spojrzeń, które mnie powitały, pojąłem, iż nie wszyscy pochlebnie o mnie mówili. Arcykapłan, w swym kapeluszu z Montauban, kołysał się wychudły i szydery.

- Sire - rzekłem - przyjrzałem się Anglikom. Nie powinniście śpieszyć się z bitwą i nic nie straciecie trochę wypoczywając. Bo ze swych stanowisk nie mogą wam uciec ani się wymknąć. Zaprawdę myślę, że możecie ich zwyciężyć nie dobywając miecza. Przeto proszę was, abyście udzielili im zwłoki aż do jutra do wschodu słońca.

Bez dobytka miecza... Zobaczyłem, że kilkunastu, między innymi Jan d'Artois, Douglas, nawet Tancarville drgnęli na te słowa i potrzęsneli kołnierzem. Mieli chętkę dobyć miecza. Nalegałem:

- Nie ustąpcie w niczym wrogowi, jeśli tak chcecie, ale poświęćcie Bogu jego dzień.

Konetabl i marszałek de Clermont skłaniali się do zawieszenia broni:

- Zaczekajmy, Sire, aby się dowiedzieć, co Anglik proponuje i czego możemy odeń się domagać; niczego nie ryzykujemy...

Natomiast Audrehem... och! po prostu dlatego, że Clermont był takiego zdania, więc on miał przeto inne... mówił dość głośno, abym usłyszał:

- Czy jesteśmy tu, by walczyć, czy też słuchać kazania?

Eustachy de Ribemont skłaniał do niezwłocznego natarcia, ponieważ król przyjął jego plan bitwy, wielce było mu śpieszno widzieć, jak się go wprowadza w życie.

A Chauveau, hrabia-biskup Chalons, w hełmie na kształt mitry

pomalowanym na fioletowo, oto nagle się oburzył i niemal uniósł:

- Czy to należy do obowiązków Kościoła; Panie Kardynale, dopuszczać, by rabusie i krzywoprzysięzcy odchodzili nie ukarani?

Tu się trochę rozgniewałem:

- Czy należy do obowiązków sługi Kościoła, panie biskupie, odrzucać rozejm Boży? Raczcie się dowiedzieć, jeśli o tym nie wiecie, że władnym pozbawić stanowiska i beneficjów każdego duchownego, który chciałby przeszkodzić moim pokojowym staraniom. Opatrzność karze pyszałków, panie. Pozostawcie więc królowi zaszczyt okazania jego majestatu, jeśli tego zapagnie... Sire, los w waszym ręku: Bóg przez was postanawia...

Komplement osiągnął cel, król jakiś czas jeszcze się wahał, podczas gdy ja przemawiałem, nadal zaprawiając me słowa komplementami potężnymi jak Alpy. Jakiż księżę od czasów Ludwika Świętego dał taki przykład, jakim on mógłby świecić? Całe chrześcijaństwo będzie podziwiała ów cny gest i będzie odtąd prosiło, aby rozsądzał spory w swej mądrości, aby w swej potędze udzielał wsparcia.

- Każcie rozpiąć mój namiot - rzekł król giermkom. - Zgoda, Wielebny Panie Kardynale, zaczekam aż do jutra, do wschodu słońca, w imię miłości do was.

- W imię miłości do Boga, Sire, wyłącznie miłości do Boga.

Odjechałem. Sześć razy w ciągu dnia jeździłem tam i z powrotem; podsuwałem jednemu warunki ugody, drugiemu składałem raporty; a za każdym razem, przejeżdżając między szeregami walijskich łuczników w odzieniu na poły białym i zielonym, mówiłem sobie, że gdyby kilku z nich przez pomyłkę wypuściło pęk strzał, nieźle byłbym zaprawiony.

W namiocie z koralowego sukna król Jan grał w kości, żeby zabić czas. Wokół cała armia deliberowała. Będzie bitwa czy jej nie będzie? Zacięcie wadzono się nawet w obecności króla. Byli rozsądni, byli pyszałkowie, byli zalęknieni, byli gniewliwi... Każdy uzurpował sobie prawo wygłaszania swego zdania. Król Jan zaś, zaprawdę, był niezdecydowany. Nie sądzę, aby chociaż przez chwilę rozważał dobro ogółu. Rozważał sprawę własnej chwały, którą ściśle łączył z dobrem swego ludu. Po wielu niepowodzeniach i zawodach, co mu przyda większego majestatu: orężne zwycięstwo czy rokowania? Bo myśl o kłęsce z pewnością nie musnęła ani jego, ani żadnego z doradców.

A wcale nie były do zlekceważenia propozycje, jakie mu przywoziłem po każdej kolejnej podróży. Po pierwszej księżę Walii zgadzał się oddać cały łup zagarnięty podczas najazdu oraz odesłać jeńców nie żądając okupu. Po drugiej zgadzał się zwrócić wszystkie zdobyte twierdze i zamki i uznać za niebyłe hołdy i sojusze. Po trzeciej wypłacić sumę w złocie jako odszkodowanie za to, co zniszczył, nie tylko podczas najazdu latem, ale i w roku ubiegłym na ziemiach langwedockich. Innymi słowy dwie wyprawy nie miały przynieść księciu Edwardowi żadnej korzyści.

Czy król Jan jeszcze czegoś żąda? Zgoda. Uzyskałem od księcia zgodę na wycofanie wszystkich załóg stacjonujących poza granicami Akwitanii, był to nie lada sukces... oraz zobowiązanie, że nigdy w przyszłości nie będzie pertraktował ani z hrabią de Foix... przy sposobności, Febus był w armii królewskiej, ale go nie widziałem; trzymał się bardzo na uboczu... ani

z żadnym krewniakiem króla, co godziło celnie w Nawarczyka. Książę ustępował wiele, więcej, niżbym się spodziewał. A jednak domyślałem się, że w głębi duszy nie sądził, aby mógł się uchylić od walki.

Rozejm nie wzbrania pracy. Przeto przez cały dzień zatrudniał ludzi przy umacnianiu pozycji. Łucznicy podwajali płoty z zaostrzonych po obu końcach palików, aby wykonać kraty obronne. Ścinali drzewa, ciągnęli je na przejścia, których mógłby użyć przeciwnik. Hrabia Suffolk, marszałek angielskiego wojska, lustrował kolejno każdy zastęp. Hrabiowie Warwick i Salisbury, pan z Audley uczestniczyli w naszych rozmowach i eskortowali mnie, gdy jechałem przez obóz.

Dzień się już kończył, kiedy przywiozłem królowi Janowi ostatnią propozycję, którą osobiście podsunąłem. Książę gotów był przysiąc i stwierdzić podpisem, że w ciągu całych siedmiu lat nie będzie się zbroił i nie podejmie żadnych orężnych działań skierowanych przeciw królestwu Francji. Staliśmy więc na progu do zawarcia ogólnego pokoju.

- Och! znamy Anglików - rzekł biskup Chauveau. - Przysięgają, a później wypierają się swego słowa.

Odparowałem, że trudno zaprzeczyć się zobowiązania powziętego w obecności papieskiego legata; byłbym sygnatariuszem paktu.

- Dam wam odpowiedź o wschodzie słońca - oświadczył król.

Udałem się do opactwa w Maupertuis, gdzie miałem kwatery. Nigdy tyle się nie najeździłem w ciągu jednego dnia ani tyle nie narozprawiałem. Choć padałem ze zmęczenia, długo i gorąco się modliłem, z całego serca. Kazałem się obudzić o świcie. Słońce akurat zaczynało świecić, kiedy znów stawilem się przed namiotem króla. „O wschodzie słońca” - powiedział. Trudno być bardziej punktualnym. Odniosłem złe wrażenie. Cała francuska armia stała pod bronią, w szyku bojowym, spieszona, prócz trzystu rycerzy wyznaczonych do szarży, i czekała tylko na rozkaz do ataku.

- Wielebny Panie Kardynale - oświadczył zwięźle król - zgodzę się wyrzec bitwy, jeśli książę Edward i stu wybranych przeze mnie rycerzy dobrowolnie odda mi się w niewolę.

- Sire, to żądanie zbyt wygórowane i sprzeczne z honorem; obraca ono wniwecz wszystkie nasze wczorajsze pertraktacje. Dostatecznie poznałem księcia Walii, aby wiedzieć, że nawet go nie rozważy. Nie należy do ludzi kapitulujących bez walki, nie podda się wraz z kwiatem angielskiego rycerstwa, choćby miał to być jego dzień ostatni. Czy wy sami tak byście postąpili, lub któryś z waszych rycerzy Gwiazdy, gdybyście byli na jego miejscu?

- Przenigdy!

- Przeto, Sire, wydaje mi się zbędnym przedkładać wysunięte żądanie jedynie po to, by miało być odrzucone.

- Wielebny Panie Kardynale, jestem wam wdzięczny za wasze usługi, lecz słońce już wstało. Raczcie wycofać się z pola.

Za królem spod przyłbic spoglądali po sobie, wymieniali uśmiechy i mrugnięcia okiem: biskup Chauveau, Jan d'Artois, Douglas, Eustachy de Ribemont, a nawet Audrehem i oczywiście Arcykapłan, nie mniej, zda się, radzi, że dali mata legatowi papieskiemu, niż gdyby wykończyli Anglików.

Tak mi gniew uderzył do głowy, że przez chwilę wahalem się, czyby nie zagrozić, że władnym rzucić klątwę. Lecz cóż? Co by spowodowała? Francuzi jednakowoż ruszyliby do ataku, a tyle bym zyskał, że dowiodłbym oczywistej niemocy Kościoła. Dodałem jedynie:

- Bóg osądzi, Sire, który z was dwóch okaże się lepszym chrześcijaninem.

Po raz ostatni wróciłem do zagajnika. Wściekałem się. Niech zdechną ci wszyscy wariaci! - myślałem cwałując.

- Pan Najwyższy nie będzie potrzebował ich sortować, wszyscy się nadają do jego pieca.

Po przybyciu do księcia Walii, rzekłem mu:

- Szlachetny synu, czyńcie, co możecie; musicie walczyć. Nie zdołałem uzyskać żadnej łaski, by zawrzeć ugodę z królem Francji.

- Naszą wolą jest walczyć - odparł mi książę. - Tak mi dopomóż Bóg!

Po czym odjechałem do Poitiers, pełen goryczy i rozczarowania. Akurat tę chwilę wybrał siostrzeniec mój, Durazzo, aby mi powiedzieć:

- Proszę was, wuju, abyście mnie zwolnili ze służby. Idę walczyć.

- A z kim? - odkrzyknąłem.

- Oczywiście, że razem z Francuzami!

- Nie uważasz więc, że są dość liczni?

- Wuju, zrozumcie, chodzi o bitwę, a nie jest godne rycerza, aby nie wziął w niej udziału. Pan de Heredia także was o to prosi...

Powinienem był surowo go zbesztać, powiedzieć mu, że powołała go Stolica Apostolska, aby eskortował mnie w mej misji pokojowej, i że sprzecznie z honorem rycerskim mógłby być posądzony o przestępstwo, ponieważ dołącza się do jednej ze stron. Mógłbym po prostu mu nakazać, aby pozostał... Ale byłem wyczerpany, rozdrażniony. I niejako go rozumiałem. Sam miałbym także ochotę chwycić włócznię i atakować, nie wiedziałem zbytnio kogo, biskupa Chauveau... Więc mu krzyknąłem:

- Idźcie obaj do diabła! I niech on was wspomaga!

To były ostatnie moje słowa skierowane do siostrzeńca mego, Roberta. Czynię sobie wyrzuty, bardzo gorzkie wyrzuty...





## VII

### Ręka Boża

Arcytrudno odtworzyć przebieg bitwy, kiedy w niej się nie brało udziału, a nawet jeśli się uczestniczyło. Zwłaszcza jeżeli toczyła się w takim zamęcie jak w Maupertuis... W przeróżny sposób mi o niej opowiadano w kilka godzin po jej zakończeniu, każdy ją opisywał ze swego stanowiska, ceniąc przede wszystkim to, co sam czynił. Zwłaszcza pokonani, sądząc z ich słów, nie ponieśliby klęski, gdyby nie zawinili ich sąsiedzi, a ci twierdzili to samo.

Nie może ulegać wątpliwości, że wnet po moim odejściu z francuskiego obozu obaj marszałkowie wzięli się za łby. Konetabl, diuk Aten, spytał króla, czy raczy wysłuchać jego rady, i odezwał się mniej więcej w te słowa:

- Sire, jeśli naprawdę pragniecie, aby Anglicy zdali się na waszą łaskę, dlaczego nie pozwolicie, aby zmógł ich brak żywności? Bo pozycję mają mocną, lecz nie utrzymają jej, jeśli zesłabną. Okrażeni są zewsząd, a jeśli pokuszą się, by uciec jedyną pozostałą im drogą, do czego sami możemy ich zmusić, bez trudu ich zdruzgoczymy. Czekaliśmy cały dzień, dlaczego nie możemy poczekać jeszcze jeden albo i dwa, zwłaszcza że z każdą chwilą powiększają się nasze szeregi o spóźnionych, którzy się dołączają?

Poparł go marszałek de Clermont:

- Konetabl słusznie mówi. Krótko czekając wszystko się zyska, a nic nie straci.

Wówczas uniósł się marszałek d'Audrehem:

- Zwlekać! wciąż zwlekać! Trzeba było z nimi skończyć już wczoraj wieczorem. Będziecie tak długo radzić, aż pozwolicie im się wymknąć, jak często się już zdarzało. Patrzcie na nich, już się ruszają. Schodzą ku nam, aby umocnić się na dole i zabezpieczyć sobie ucieczkę. Rzekłoby się, Clermont, że niezbyt śpieszno wam do walki i trwoży was widok Anglików z tak bliska.

Spór marszałków musiał kiedyś wybuchnąć. Ale czy to chwila była najstosowniejsza? Clermont nie należy do ludzi, którzy by znieśli taką obelgę rzuconą w twarz. Odrzucił niczym piłkę:

- Nie bylibyście tak zuchwali, Audrehem, gdybyście kiedyś nie wsadzali pyska swego konia do zadka mojego wierzchowca.

Po czym pomknął do rycerzy, których miał poprowadzić do natarcia. Kazał wsadzić się na siodło i samowolnie wydał rozkaz ataku. Audrehem natychmiast postąpił tak samo i nim król wyrzekł słowo, nim konetabl cokolwiek rozkazał, już konnica cwałuje, nie razem, jak było w planie, lecz w dwóch oddzielnych hufcach, które jakby mniej troszczą się, aby przełamać szeregi wroga, niż dać się wyprzedzić czy wzajem ścigać. Z kolei konetabl żąda swego rumaka i pędzi usiłując ich zesforować.

Wówczas król kaze ogłosić atak dla wszystkich chorągwi; i ci wszyscy

pancerni, spieszono grubasy, dźwigając na grzbiecie pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt funtów żelastwa suną po polu ku stromej drodze, na którą wtargnęła już jazda. Pięćset kroków marszu...

A na wzgórzu ksiązę Walii zawołał, widząc, że rusza z miejsca francuska konnica:

- Szlachetni panowie, niewielu nas, lecz się nie bójcie. Cnota rycerska i zwycięstwo nie zawsze towarzyszą licznej armii, lecz przypadną temu, komu je Bóg raczy zesłać. Jeśli nas porażą, nikt nas nie zgani, a jeśli nam przypadnie zwycięstwo, cały świat nas uwielbi.

Już ziemia drżała u stóp wzgórza; za ostrymi palikami przykłąkli walijscy łucznicy. Już zaświstały pierwsze strzały.

Pierwszy marszałek de Clermont runął na chorągiew hrabiego Salisbury, wpadając na ostrokół, by zrobić wylom. Ulewa strzał załamała atak. Była to straszliwa hekatomba wedle słów tych, co się stamtąd wymknęli. Konie, które nie były ranne, wbijały się na zastrzone paliki walijskich łuczników. Zza ostrokołu wychynęli nożownicy i piechurzy z halabardami, straszliwą bronią o trzech ostrzach: hak chwycił rycerza za kolczugę, niekiedy za ciało i zrzucił z konia... ostrze odrywało zbroję pod pachą czy pachwiną, kiedy jeździec już legł na ziemi, zakrzywione w półksiężyc ostrze w końcu rozłupywało hełm... Marszałek de Clermont poległ jeden z pierwszych, żaden z jego rycerzy nie zdołał naruszyć angielskich pozycji. Cały hufiec legł rozbity na drodze wskazanej przez Eustachego de Ribemont.

Audrehem, zamiast iść na pomoc Clermontowi, chciał go prześcignąć i mknąć wzdłuż Miosson i okrażyć Anglików. Wpadł na zastępy hrabiego Warwicka, tu zaś łucznicy nie gorzej go powitali. Wieść się rychło rozeszła, że Audrehem jest ranny i w niewoli. O diuku Aten było głucho. Przepadł w zamęcie. W ciągu kilku chwil armia spostrzegła, że znikło trzech wodzów. Zły początek. Ale było to w sumie zabitych lub odpartych trzystu ludzi na dwadzieścia pięć tysięcy sunących krok za krokiem. Król znów dosiadł konia, aby górować nad tym łańcem pancерzy, powoli maszerujących.

Nagle rozpętał się osobliwy zamęt. Zbiegowie z jazdy Clermonta stoczyli się między dwoma śmiertcionośnymi płotami. Poniosły ich konie, oni zaś, bez zmysłów, niezdolni okiełznać wierzchowców, wpadli na pierwszy hufiec, hufiec diuka Orleanu, obalając druhów z trudem ciągnących pieszo. Och! niewielu ich obalili, trzydziestu, może pięćdziesięciu, ale ci, padając, przewrócili dwakroć więcej.

Wybuchł popłoch w chorągwi Orleańczyka. Pierwsze szeregi, chcąc ustrzec się od upadku, cofają się w bezładzie; tylne szeregi nie wiedzą, dlaczego pierwsze są w odwrocie, nie wiedzą, kto na nich naciera, po kilku chwilach popłoch ogarnia blisko sześciotysięczną armię. Rycerze nie zwykli walczyć pieszo, chyba w szrankach, w pojedynku. Obciążeni, z trudem się ruszając, mając z powodu hełmów ograniczone pole widzenia, wyobrażają sobie że nie ma dla nich ratunku. I wszyscy pierzchają, kiedy są jeszcze daleko od pierwszej linii wroga. Rzecz to niezwykła, armia, która sama siebie odpiera.

Przeto zastępy diuka Orleanu wraz z diukiem oddały teren, o który nikt z nimi nie walczył. Kilka oddziałów pośpieszyło szukać ratunku na tyłach

hufca króla, lecz większość biegła - jeśli wolno użyć słowa biegła - do koni pilnowanych przez pachołków, choć zaprawdę nikt nie gonił wszystkich tych śmiałków prócz strachu, jaki wzajem w sobie wzbudzali.

Kazali wsadzać się na siodła, by wnet ruszyć z kopyta, poniektórzy zmykali leżąc w poprzek na siodłach, złożeni wpół niczym kobierczyki, bo nie zdołali dosiąść wierzchowców. I rozproszyli się po okolicy... Ręka w tym Boża, nie można inaczej sobie wyobrazić, nieprawdaż Archibaldzie?... Tylko niedowiarki pozwoliłyby sobie na uśmieszki.

Hufiec Delfina wysunął się również... „Montjoie, Saint-Denis!”<sup>7</sup> i nie napotykał ani uciekających, ani cofających żołnierzy, postępował nadal. Pierwsze szeregi, już zadyszane od marszu, wtargnęły między płoty przed chwilą tak zgubne dla Clermonta, potykały się o leżące tu konie, o zabitych ludzi. Na chwilę przystanęli. Powitała ich chmara strzał z za ostrokołu. Rozległ się szcęk skrzyżowanych mieczy, rozbrzmiały okrzyki wściekłości czy bólu. Gardziel była bardzo wąska, bardzo niewiele się starło, za nimi wszyscy pozostali nie mogli już się w tłoku poruszać. Jan de Landas, Voudenay, pan Guichard zgodnie z rozkazem otaczali Delfina, Delfin zaś i jego bracia de Poitiers i de Berry z wielkim trudem mogli się ruszać lub zlecać wykonanie manewrów. Ponadto znów to samo; kiedy idzie się pieszo, mało co widać przez szpary w hełmie mając przed sobą kilkuset pancernych. Delfin z trudem coś niecoś dostrzegał poza chorągwią tkwiącą w rękach rycerza Tristana de Meignelay, kiedy rycerze hrabiego Warwicka, ci sami, co wzięli do niewoli Audrehema, runęli na skrzydło hufca Delfina, było już za późno, by szykować się do odparcia ataku.

Zaprawdę, szczyt wszystkiego! Anglicy, choć tak chętnie walczyli pieszo i zdobyli tym rozgłos, wsiedli na siodła wnet, gdy zobaczyli, że wrogowie idą do ataku spieszeni. Chociaż byli nieliczni, zderzyli się w taki sam sposób, lecz o wiele ostrzej, z trzonem hufca Delfina, jak wpierw starli się ze sobą zbrojni diuka Orleanu. I w jeszcze większym zamęcie. „Strzeżcie się, strzeżcie!” - wołano do trzech królewskich synów. Rycerze Warwicka zmierzali ku chorągwi Delfina, Delfin zaś wypuścił krótką włócznię i popychany przez towarzyszy biedził się tylko, by utrzymać własny miecz.

Voudenay czy też Guichard, nie wiadomo dobrze, który z nich, wyciągnął go za ramię wrzeszcząc: „Za nami, musicie wycofać się, Dostojny Panie!” Lecz trzeba było móc to uczynić... Delfin dostrzegł biednego Tristana de Meignelay, leżał śmiertelnie ranny, a krew z podbródka, spod zbroi, tryskała spływając na chorągiew z herbami Normandii i Delfinatu. Obawiam się, że ten właśnie widok dodał mu zapału do ucieczki. Landas i Voudenay torowali mu drogę wśród własnych szeregów. Za nim postępowali jego bracia, ponaglani przez Saint-Venanta.

Nie można ganić, iż się wycofał z opresji, a tak samo należy tylko chwalić tych, co go przy tym wspomagali. Mieli rozkaz kierować nim i go chronić. Nie mogli pozostawić synów króla Francji, a zwłaszcza pierworodnego, w rękach wroga. Najzupełniej słusznie. A także słusznie, że Delfin poszedł ku koniom, czy też że podprowadzili mu wierzchowca,

---

<sup>7</sup> średniowieczne zawołanie bojowe francuskich rycerzy. Montjoie - nazwa wzgórza, koło Paryża, gdzie święty Dionizy poniósł męczeństwo.

że on go dosiadł, a także jego towarzysze, ponieważ nacisnęli ich konni.

Ale trudno zachowanie Delfina uznać za godne szacunku. Nie oglądając się pomknął prościutkim galopem, opuszczając pole bitwy jak poprzednio stryj jego z Orleanu. Ej! rycerzom Gwiazdy nie przyświecało dziś szczęście!

Saint-Venant, stary i wierny sługa Korony, do końca życia będzie zapewniał, że to on powziął decyzję skłaniającą Delfina do odwrotu, kiedy dostrzegł, że hufiec królewski jest w żalosnym stanie, że za wszelką cenę musiał uratować powierzonego jego opiece następcę tronu, że musiał nalegać, niemal rozkazywać Delfinowi, aby odjechał; będzie o tym przekonywał samego Delfina... poczciwy Saint-Venant... Inni, niestety, mają języki mniej dworne.

Zbrojni z hufca Delfina nie na długo się odeń odłączyli, widząc, że ten się oddala, dopadli koni nawołując do ogólnego odwrotu.

Delfin pędził nadal dobrą milę. Wówczas Voudenay, Landas i Guichard, uważając, że już jest bezpieczny, oznajmili mu, że powracają do walki. Ani słowem im nie odpowiedział: Cóż mógłby im rzec? „Powracacie do boju, a ja uchylam się od walki; gratuluję wam i dziękuję za ocalenie”? Saint-Venant chciał wraz z nimi wrócić. Ale ktoś winien był czuwać nad Delfinem, towarzysze go do tego zmusili, jako że był najstarszy i najrozsądniejszy. Przeto Saint-Venant wraz z małą eskortą, która szybko powiększała się o przerażonych zbiegów spotkanych po drodze, odprowadził Delfina do dużego zamku Chauvigny, aby się tam zamknął. A tu, zdaje się wówczas, gdy przybyli, Delfin z trudem ściągnął rękawicę z prawej dłoni obrzmiałej i całkiem fioletowej. Zapłakał.







## VIII

### Bitwa Jana II

Nastąpiła pora bitwy Jana II... Podaj mi trochę tego wina mozelskiego, Brunet... Któż znowu? Arcykapłan... Ach dobrze, ten z Verdun! Jutro go zobaczę, będzie dostatecznie wcześnie. Zabawimy tu trzy dni, nadto wysforowaliśmy się w czasie tej wiosennej pogody, która wciąż nam sprzyja, i oto w grudniu drzewa mają już pąki...

Tak, król Jan pozostał na polu bitwy w Maupertuis... Maupertuis... ależ tak, nie przyszło mi dotąd na myśl. Nazwy... powtarza się je, nie dostrzegając ich ukrytej treści... Maupertuis oznacza zły początek, złą drogę... Należy się wystrzegać wydawania bitwy w miejscu o podobnej nazwie. Najpierw król ujrzał pierzchające w popłochu chorągwie pod wodzą rodzzonego brata, zanim nawet zetknęły się z nieprzyjacielem. Potem dostrzegł, że ledwo starły się z wrogiem, a już się załamują i umykają chorągwie syna. Na pewno doświadczył zawodu, lecz nawet przez myśl mu nie przeszło, że tym samym wszystko już przepadło. Własny jego hufiec był o wiele liczniejszy niż wszyscy razem Anglicy.

Lepszy dowódca niewątpliwie by zrozumiał grożące niebezpieczeństwo i zmienił natychmiast plan bitwy. Król Jan zaś dopuścił, by Anglicy przypuścili nań taki atak, jaki się im tak świetnie poprzednio udał. Wpadli nań opuściwszy włócznie i załamali czoło królewskiego hufca.

Biedny król Jan II. Ojciec jego, król Filip, został pobity pod Crécy, ponieważ rzucił jazdę na piechotę, a on pod Poitiers dał się wysadzić z siodła akurat odwrotnym sposobem.

„Cóż zrobić z ludźmi pozbawionymi honoru, którzy w starciu zawsze używają innej broni niż wasza?” To mi oświadczył później, kiedy się znów spotkaliśmy. Z chwilą gdy szedł pieszo, Anglicy, gdyby byli ludźmi honoru, musieliby również atakować spieszeni. Och! nie jest on pierwszym władcą, który zrzuca winę za swe niepowodzenie na przeciwnika, nie zachowującego prawideł gry mu narzuconych!

Powiedział mi także, że fakt ten wzbudził w nim wielki gniew, który przydał mocy jego ciału. Przestał odczuwać ciężar zbroi. Złamał żelazną buławę, ale przedtem zatłukł niejednego napastnika. Wolał zresztą tłuc, niż rozplątywać; ale ponieważ został mu tylko bojowy topór o dwóch ostrzach, wymachiwał nim, kręcił młynka, walił. Rzekłoby się, oszalały drwal w gąszczu żelastwa. Oko nie widziało większego niż on szaleńca na polu bitwy. Nie czuł nic, ani zmęczenia, ani trwogi, tylko osłepiała go wściekłość, tym bardziej że krew spływała mu na lewą powiekę.

Przed chwilą był pewien, że wygra; zwycięstwo miał w garści! A tu wszystko runęło. Z jakiego powodu, z czyjej winy? Z winy Clermonta, z winy Audrehema, podłych marszałków, którzy ruszyli przedwcześnie, z winy tego osła, konetabla! Niech zdechną, niech wszyscy szesznią. Pod tym względem mógł się pokrzepić zacny król, bo chociaż to jego życzenie

zostało wysłuchane. Diuk Aten poległ; przed chwilą go znaleziono przy krzaku, ciało miał rozorane dzidą, stratowane przez konie. Marszałek de Clermont poległ, tyle w nim utkwiło strzał, że zwłoki jego przypominały indyjski ogon. Audrehem z przeszytym udem w niewoli.

Wściekłość i szal. Wszystko stracone, lecz król Jan miłuje tylko tłuć, mordować, zabijać każdego, kto mu się nawinie. A później na złość sobie, umrze z pękniętym sercem! Bojowy błękitny płaszcz tkany w lilie - francuskie godło - w strzępach. Zobaczył, że pada oriflama, którą dzielny Galfryd de Charny przyciskał do swej piersi, pięciu nożowników już go dopadło; walijski piechur czy irlandzki żołdak zbrojny w podły rzeźniczy nóż uniósł sztandar Francji.

Król wzywa swoich. „Do mnie, Artois do mnie, Bourbon. Byli tu przed chwilą. A tak! A teraz syn hrabiego Roberta, denuncjator króla Nawarry, olbrzym o ptasim mózdzku... „mój kuzyn Jan, mój kuzyn Jan”... już w niewoli, a także jego brat Karol d'Artois i Dostojny Pan de Bourbon, ojciec żony Delfina.

- Do mnie, Regnault, do mnie, biskupie! Przemów, niech Bóg cię usłyszy.

Jeśli w tej chwili Regnault Chauveau rozmawiał z Bogiem, to już chyba twarzą w twarz. Ciało biskupa Chalons gdzieś tam leżało, z oczami zamkniętymi pod żelazną mitrą. Nikt już nie odpowiadał królowi prócz piskliwego głosu, który wykrzykiwał:

- Ojcie, ojcie, strzeżcie się! Na prawo, ojcie, strzeżcie się!

Król na chwilę odzyskał nadzieję, widząc, że powracają konno na pole walki Landas, Voudenay i Guichard. Czy zbiegowie ochłonęli? Czy chorągwie książąt powracają cwałem, by go oswobodzić?

- Gdzie moi synowie?

- Bezpieczni, Sire!

Landas i Voudenay atakują. W pojedynkę. Później król się dowie, że zginęli; po uratowaniu książąt królewskiego rodu, polegli, bo powrócili na pole bitwy, aby nie posądzono ich o tchórzostwo. Jedyne dziecko pozostało przy królu, najmłodszy, ulubieniec, mały Filip, który wciąż krzyczy: "Na lewo, ojcie, strzeżcie się! Ojcie, strzeżcie się, na prawo..." Przeszkadza mu synek, powiedzmy prawdę, bardziej niż pomaga. Bo niegroźny jest miecz za ciężki dla rąk pacholęcia i król musi niekiedy długim toporem odsuwać bezużyteczny brzeszczot, aby odparować ciosy przeciwnika. Ale chociaż ten nie uciekł, młodziutki Filip!

Nagle Jan II widzi, że otacza go dwudziestka pieszych przeciwników tak stłoczonych, że wzajemnie sobie przeszkadzają, słyszy okrzyki: „To król! król! Bierz króla”.

Ani jednego francuskiego płaszczka w tym strasliwym kręgu. Na okrągłych i podłużnych tarczach wyłącznie angielskie i gaskońskie godła. Okrzyki: „Poddać się, poddać się, inaczej zginiecie!”

Ale oszalały król nie słyszy. Tnie nadal toporem powietrze. Ponieważ go poznali, trzymają się z dala; na Boga, chcą go pojmać żywcem! A on tnie wiatr na prawo, na lewo, zwłaszcza na prawo, bo lewe oko ma zalepione krwią... „Ojcie, strzeżcie się...” Cios dosięga króla w ramię. Olbrzymi rycerz przepycha się przez ciżbę, własnym ciałem robi wyłom w murze ze

stali, rozpycha się łokciami, dociera przed zadyszanego króla, który kręci wciąż młynka w powietrzu. Nie, to nie Jan d'Artois, już ci mówiłem, że jest w niewoli. Rycerz gromko woła po francusku:

- Sire, Sire, poddajcie się!

Wówczas król przestaje uderzać w próżnię, wpatruje się w otaczający go krąg, który go zamyka i odpowiada rycerzowi:

- Komuż mam się poddać, komu? Gdzie mój kuzyn, księżę Walii? Z nim tylko będę rozmawiał.

- Sire, nie ma go tutaj; ale mnie się poddajcie, zaprowadzę was do niego  
- mówi rycerz.

- Kimżeś?

- Jestem rycerzem, Denisem de Morbecque, ale od pięciu lat w Anglii, bo nie mogłem pozostać u was.

Morbecque, skazany za zabójstwo i za przestępstwo prowadzenia prywatnej wojny, brat tego Jana de Morbecque, który tak świetnie pracował dla Nawarczyków i pośredniczył w zawarciu traktatu między Filipem Nawarry a Edwardem III. Hej! los płata psie figle i zaprawia korzeniami nieszczęście, by mu przydać goryczy.

- Poddaję się wam - wyrzekł król.

Odrzuca topór w trawę, zdejmuje rękawicę, podaje ją grubemu rycerzowi. Po czym przez chwilę stoi nieruchomo z zamkniętym okiem, dopuszcza, by przeniknęło go poczucie klęski.

Lecz nagle podjął się wrzask, poszturchują go, ciągną, napierają nań, potrząsają nim i go duszą. Dwudziestka drabów razem krzyczy:

- Ja go wzięłem, ja go wzięłem, to ja go wzięłem. - Silniejszy od innych Gaskończyk pyskuje: - Mój ci jest! Ja go pierwszy dopadłem. A ty, Morbecque, przychodzisz po robocie.

A Morbecque odpowiada:

- Co gardłujesz, Troy? Mnie się poddał, a nie tobie.

Bo wzięcie do niewoli króla Francji przynosi wiele zaszczytów, pieniędzy! Każdy usiłuje wczepić się weń i zapewnić swoje prawa. Król pochwycony pod ramię przez Bernarda de Troy, za kołnierz przez kogoś innego, wreszcie pada w swej zbroi. Rozszarpaliby go na kawałki.

- Panowie, panowie - krzyczy - raczcie dwornie zaprowadzić mnie, a także mego syna, do księcia, mojego kuzyna. Przestańcie walczyć o pojmanie mnie. Jestem dość możny, aby was wszystkich wzbogacić.

Lecz oni nie słuchają. Wrzeszczą nadal:

- To ja go wzięłem! Mój ci on!

I biją się ze sobą ci rycerze, gęby mają butne, unieśli żelazne szpony, walczą o króla jak psy o kość.

Przejdźmy teraz na stronę księcia Walii. Doświadczony dowódca Jan Chandos właśnie z nim się spotkał na pagórku górującym nad okazałą częścią pola bitwy. Konie były okryte pianą, chrapy miały nabiegłe krwią, wędzidła w pienistej ślinie. Oni zaś dyszeli. „Słyszeliśmy wzajem, jak każdy z nas zaczerpuje wielkie łyki powietrza” - opowiedział mi Chandos. Twarz księcia ociekała potem, stalowa osłona umocowana przy hełmie, otaczająca twarz i ramiona, unosiła się przy każdym wdechu.

Przed nimi rozciągały się tylko rozprute żywopłoty, połamane drzewka

brzoskwiowe, stratowane winnice. Wszędzie trupy końskie i ludzkie. Tu koń bijący kopytami nie mógł skonać. Tam pełza jakaś zbroja. Ówdzie giermkowie nieśli pod drzewo umierającego rycerza. Wszędzie walijscy łucznicy oraz irlandzcy nożownicy obdzierali trupy. Z kilku jeszcze zakątków dochodził szcęk broni. Angielscy rycerze przejeżdżali równinę otaczając jednego z ostatnich Francuzów, który usiłował się wycofać.

Chandos powiedział:

- Chwała Bogu, wam przypadło zwycięstwo, Dostojny Panie!

- A tak, dzięki Bogu, nam przypadło. Odnieśliśmy zwycięstwo - odparł mu książę.

Chandos zaś podjął:

- Sądzę, że byłoby dobrze, gdybyście tu przystanęli i rozkazali zatknąć wasz sztandar na tym wysokim krzaku. Wówczas dołączą się wasi ludzie, którzy się bardzo rozproszyli. A i wy będziecie mogli trochę ochłonać, bo widzę, że jesteście wielce zgrzani. Nie ma kogo już ścigać.

- I ja tak myślę - rzekł książę.

Podczas gdy osadzano na drzewie chorągiew haftowaną w lwy i lilie, a trębacze dęli w trąby ogłaszając wezwanie księcia, Edward kazał, by mu zdjęto hełm, potrząsnął blond włosami, otarł mokry wąs.

Co za dzień! Trzeba przyznać, że naprawdę siebie nie szczędził, bez przerwy cwałował, by pojawić się przy każdym zastępie, dodawał odwagi łucznikom, zagrzewał rycerzy, decydował, gdzie wysłać posiłki... wprawdzie jego marszałkowie Warwick i Suffolk głównie decydowali, lecz on był wszędzie, aby mówić rycerzom: „Idźcie, sprawujcie się dzielnie...” Prawdę rzekłszy, osobiście podjął jedną decyzję, ale zasadniczą, która zaprawdę słusznie go okryła chwałą pełnego zwycięstwa. Skoro zobaczył popłoch wywołany w chorągwi Orleańczyka samym tylko cofnięciem się francuskiego ataku, natychmiast wsadził na koń część swego wojska, aby spowodować taki sam zamęt w hufcu diuka Normandii. Książę Walii po dziesięćkroć rzucał się w wir bitwy. Miało się wrażenie, że jest wszędzie. I każdy, kto się teraz dołączał, mówił mu: „Dzień to wasz, dzień to wasz!... Wielki to dzień, który przejdzie do potomności. Dzień to wasz, dokonaliście cudu”.

Dworzanie i pokojowcy śpiesznie rozbili mu namiot, kazali doprowadzić wózek bacznie strzeżony, a zawierający wszystko, co niezbędne do posiłku: krzesła, stołki, zastawę, wina.

Nie mógł zdecydować się, by zsiąść z konia, jakby jeszcze nie osiągnął zwycięstwa.

- Gdzie jest król Francji? Kto go widział? - pytał swych giermków.

Był upojony walką. Jeździł po wzgórkach, gotów do ostatecznego starcia.

Nagle dostrzegł na wrzosowisku nieruchomy pancierz. Rycerz zmarł opuszczony przez swych giermków, jedynie czuwał stary sługa, ranny, ukryty w krzakach. Obok rycerza porzecz: francuski herb, na czerwonym polu krzyż o dwu poprzeczkach. Książę kazał zdjąć hełm ze zmarłego. Tak, Archibaldzie... stało się to, o czym myślisz; był to mój siostrzeniec... to był Robert z Durazzo.

Nie wstyd mi moich łez... Zapewne własny honor pchnął go do walki, której honor Kościoła i mój winne były mu zabronić. Ale go rozumiem.

Poza tym był mężny... Nie ma dnia, w którym nie prosiłbym Boga, aby mu przebaczył.

Książę rozkazał giermkom:

- Ułóżcie rycerza na tarczy, zanieście go do Poitiers, przekażcie w moim imieniu kardynałowi de Perigord i powiedzcie, że go pozdrawiam.

Tak... tym sposobem dowiedziałem się, że zwycięstwo przypadło Anglikom. I powiedzieć, że rano książę był gotów pertraktować, oddać wszystkie swe zdobycze, zawiesić działania wojenne na okres siedmiu lat. Gorzko mi to wymawiał nazajutrz, kiedy w Poitiers znów się zobaczyliśmy. Ach! powiedział mi bez ogródek. Chciałem przysłużyć się Francuzom, myliłem go w ocenie ich siły, cały ciężar Kościoła położyłem na szalę, aby go doprowadzić do złożenia broni. Mogłem mu tylko odpowiedzieć: „Szlachetny książę, dla miłości do Boga wszystkie pokojowe sposoby wyczerpaliście. A Bóg przejawiał swą wolę.” Oto co mu rzekłem...

Lecz Warwick i Suffolk już przybyli na pagórek, a z nimi lord Cobham:

- Czy coś wiecie o królu Janie - spytał ich książę.

- Nic, nie widzieliśmy go, ale jesteśmy pewni, że poległ albo jest w niewoli, bo nie uszedł ze swymi hufcami.

Wtedy im książę rozkazał:

- Proszę was, jedźcie, szukajcie, żeby mi powiedzieć prawdę. Odnajdźcie króla Jana.

Anglicy rozproszyli się, rozbiegli na dwie mile wokoło, kogoś przepędzali, ścigali, pobrząkiwali bronią. Teraz, po zwycięsko zakończonym dniu, każdy ścigał gwoli własnej korzyści. Na Boga! Wszystko, co ma na sobie pojmany rycerz, broń i klejnoty, należy do zwycięzcy. A wystrojeni byli pięknie baronowie króla Jana. Wielu miało pasy ze szczerzego złota. Nie mówiąc już o okupach, oczywiście, które się omówi i ustali zależnie od stanu jeńca. Francuzi mają tyle pychy, że można im pozwolić na oznaczenie ceny, na jaką siebie szacują. Można zawierzyć ich próżności. Hej! powodzenia! Kto miał szczęście położyć rękę na Janie d'Artois, hrabi de Vendôme czy hrabi de Tancarville, ten mógł myśleć o wybudowaniu sobie zamku. Kto schwytał tylko skromnego chorążego albo zwykłego giermka, będzie mógł wymienić jedynie sprzęt w biesiadnej sali i ofiarować swej damie kilka szatek. A następnie będą dary księcia za wybitne czyny, za bohaterstwo.

- Nasi ludzie ścigali rozbite oddziały aż do bram Poitiers - oznajmił Jan de Grailly, gaskoński dowódca Buch. Człowiek z jego chorągwi, który wracał stamtąd z czterema potężnymi tobołami nie mając sił, by je dalej wlec, doniósł mu, że odbywa się tam wielka rzeź, bo mieszczanie z Poitiers zatrzasnęli bramy przed zbiegami; tam na trakcie nastąpiła straszliwa jatka, a teraz Francuzi poddają się, skoro z daleka dostrzegą Anglika. Najzwyklejsi łucznicy mieli aż po pięciu, sześciu jeńców. Niebываła, niesłychana podłość.

- Czy tam jest król Jan? - spytał książę.

- Na pewno nie. Powiedziano by mi o tym.

A później u stóp wzgórka pojawili się Warwick i Cobham, szli pieszo zarzuciwszy na ramię wodze wierzchowców, usiłowali uspokoić

dwudziestkę towarzyszących im rycerzy i giermków. Ci kłócili się po angielsku, francusku, gaskońsku, wymachiwali gwałtownie rękoma odtwarzając przebieg walki. A przed nimi powłócząc nogami szedł jakiś człowiek, trochę się zataczał, obnażoną dłonią trzymał za rękawicę pachole w zbroi. Ojciec i syn postępowali obok siebie, obaj mieli na piersiach wycięte z jedwabiu lilie.

- Odstąpić, niech nikt się nie zbliża do króla, chyba że go zawezwę - krzyknął do swarzących się Warwick.

I dopiero wtedy Edward, książę Walii, Akwitanii, diuk Kornwalii, pojawił, zrozumiał, ogarnął ogrom swego zwycięstwa. Król, król Jan, głowa najludniejszego i najpotężniejszego w Europie królestwa... Mężczyzna i chłopiec szli ku niemu bardzo powoli... Ach! ta chwila na zawsze pozostanie w ludzkiej pamięci!... Książę doznał wrażenia, że cały świat nań patrzy.

Skinął na dworzan, aby pomogli mu zsiąść z konia. Czuł, że ma sztywne uda i lędźwie.

Stanął u wejścia do namiotu. Słońce już się chyliło ku zachodowi, złote promienie przenikały gaik. Gdyby ktoś powiedział tym ludziom, że już minęła pora niesporów, byłiby zaskoczeni.

Edward wyciągnął dłonie po dar, który mu przywieśli Warwick i Cobham, po dar Opatrzności. Jan Francuski, nawet przygarbiony, przewyższał go wzrostem. Odpowiedział na gest swego zwycięzcy. Wyciągnął ku niemu obie dłonie, jedną w rękawicy, drugą obnażoną. Tak stali przez chwilę nie obejmując się, po prostu ściskając sobie ręce. Po czym Edward uczynił gest, który wzruszył serca wszystkich rycerzy. Był synem króla; jeniec był królem ukoronowanym. Przeto trzymając go nadal za ręce nisko pochylał głowę i lekko ugiął kolano. Cześć męstwu w nieszczęściu... Wszystko, co przydaje wielkości zwyciężonemu, powiększa nasze zwycięstwo... Ścisnęły się gardła tym twardym mężom.

- Spocznijcie, Panie Kuzynie - rzekł Edward zapraszając króla Jana do namiotu. - Pozwólcie, że sam wam podam wino i pierniki. Wybaczcie, że na wieczerzę będzie nader skromne jadlo. Za chwilę przejdziemy do stołu.

Krzątano się bowiem przy rozbijaniu na pagórku wielkiego namiotu. Dworzanie księcia dobrze znali swe obowiązki. A kucharze zawsze mają w swych skrzyniach jakieś mięsiwo i kilka pasztetów. Po to, czego brak, pośle się do spiżarni klasztoru w Maupertuis.

Książę dodał:

- Wasi krewniacy i baronowie radzi będą do was się przyłączyć. Kazałem ich wezwać. I pozwólcie, że się opatrzy na czole tę ranę, która świadczy o waszym wielkim męstwie.





## IX

### Wieczera u księcia

Nasuwają się myśli o przeznaczeniu narodów, kiedy się opowiada o tych ostatnich wydarzeniach... wielka bowiem zaszła zmiana, nastąpił zasadniczy zwrot w losach królestwa... właśnie w Verdun, przede wszystkim tutaj... Dlaczego? Ech! bratanku, ponieważ królestwo tu się narodziło, ponieważ to, co zwykliśmy nazywać królestwem Francji, wyłoniło się z traktatu podpisanego przez trzech synów Ludwika Pobożnego po bitwie w Fontenoy, wówczas Fontanetum... wiesz, kędy przejeżdżaliśmy. Skapo została wykrojona dzielnica Karola Łysego, nie liczone z ukształtowaniem terenu. Alpy i Ren winne były stać się naturalnymi granicami Francji, niedobrze, że Verdun i Metz należą do Cesarstwa. Co się stanie z jutrzejszą Francją? Jakże się ją jeszcze okroi? Poniektórzy rozważają, że może za lat dziesięć czy dwadzieścia Francja w ogóle przestanie istnieć. Ludzie ci widzą pokątną część jako angielską, od morza do morza państwo Nawarry zespolone z całą Langwedocją oraz wskrzeszone królestwo Arles w gestii Cesarstwa, z dołożoną Burgundią na dodatek... Każdy marzy o rozbiorze słabnącego królestwa.

Zwierzę ci się z mego odczucia: póki żyję ja i ludzie do mnie podobni, wcale nie jestem pewien, czy Kościół dopuści do takiego rozewartowania. A następnie lud już zbyt przywykł do Francji jednolitej i potężnej. Zbyt dobrze zachował ją w pamięci. Francuzi szybko dostrzegają, że są niczym, jeśli nie są zespoleni w ramach jednego państwa. Lecz trudne czekają nas przeprawy. Może staniesz w obliczu trudnego wyboru. Kieruj się zawsze, Archibaldzie, dobrem królestwa, jeśli nawet nim rządzi zły król... bo zły król może umrzeć, zostać strącony z tronu albo popaść w niewolę, ale królestwo trwa.

Majestat Francji ujawnił się w wieczór bitwy pod Poitiers we względach, jakich nie szczędził zwyciężonemu zwycięzca olśniony swym szczęściem niemal nie do wiary. Osobliwi biesiadnicy zasiedli po bitwie za stołem między ścianami z czerwonego sukna w lasku prowincji Poitou. Na honorowych miejscach oświetlonych świecami: król Francji, syn jego Filip, Dostojny Pan Jakub de Bourbon, obecnie diuk, bo ojciec jego tegoż dnia poległ, hrabia Jan d'Artois, hrabiowie de Tancarville, d'Etampes, de Dammartin, a także panowie de Joinville i de Parthenay, a potrawy podawano im na srebrnych półmiskach, przy pozostałych zaś stołach wśród angielskich i gaskońskich rycerzy inni najmożniejsi i najbogatsi jeńcy.

Książę Walii raczył wstawać, by osobiście obsłużyć króla Francji i obficie nalewał mu wino.

- Jedzcie, drogi Panie, proszę was. Nie żałujcie sobie jadła. Bo choć Bóg nie spełnił waszego życzenia i choć zwycięstwo nie przechyliło się na waszą stronę, jednakowoż waszym bohaterstwem zdobyliście wielki rozgłos i wasze godne czyny przewyższyły najświetniejsze. Na pewno

Dostojny Pan, mój ojciec, okaże wam należną cześć i ugodzi się z wami, tak rozumnie, iż pozostaniecie dobrymi przyjaciółmi. Zaprawdę każdy tutaj wysoko szacuje wasze męstwo, bo przewyższyliście nim wszystkich.

Nadał ton. Król Jan odprężył się. Z podsinionym okiem, z cięciem na niskim czole odpowiadał na uprzejme słowa swego gospodarza. Królem-rycerzem, takim chciał się w klęsce okazać. Przy innych stołach głosy rozbrzmiewały coraz donośniej. Po srogim starciu mieczem czy toporem panowie obu armii prześcigali się obecnie w komplementach.

Głośno komentowano zmienne losy bitwy. Nie zbrakło pochwał dla odwagi młodziutkiego księcia Filipa, ów zaś ocieęzały od jadła, po wyczerpującym dniu, kiwał się na stołku i zasypiał.

Przystąpiono do obrachunków. Prócz możnych panów, diuków, hrabiów i wicehrabiów, a tych było z dwudziestu, już można było naliczyć przeszło sześćdziesięciu baronów i chorążych; nie dało się obliczyć zwykłych rycerzy, starszych i młodszych giermków. Na pewno ponad dwa tysiące; dokładna liczba będzie wiadoma dopiero nazajutrz.

Polegli? Chyba było ich tyluż... Książę rozkazał, aby zebrane już zwłoki zanesiono nazajutrz o świcie do klasztoru braci mniejszych w Poitiers; na przodzie zwłoki diuka Aten, diuka de Bourbon, hrabiego-biskupa Chalons, aby zostali pochowani uroczyście i z honorami, na jakie zasłużyli. Co za procesja! Oko ludzkie nigdy nie widziało przybywających w tym samym dniu tylu dostojnych i bogatych mężów. Jakaż fortuna w darach i opłatach mszalnych spłynie na braci franciszkanów! I tyleż samo na dominikanów.

Powiem ci, że trzeba było wyjąć płyty posadzkowe w nawie kościelnej i w klauzurze obu klasztorów, aby złożyć w dwóch rzędach, jeden nad drugim, Galfrydów de Charny, Rochechouartów, Eustachych de Ribemont, Dancjuszów de Melon, Janów de Montmorillon, Segwinów de Cloux, panów de la Fayette, La Rochedragon, La Rochefoucault, La Roche Pierre de Bras, Oliwierów de Saint-Georges, Imbertów de Saint-Saturnin, i mógłbym tuzinami ich jeszcze wymieniać.

- Czy wiadomo, co stało się z Arcykapłanem? - spytał król.

Ranny Arcykapłan jest w niewoli u angielskiego rycerza. Co wart Arcykapłan? Czy ma duży zamek, wiele ziemi? dopytywał się bez wstydu jego zwycięzca. Nie. Zameczek w Velines. Ale król go wymienił, a to podbijało cenę.

- Wykupię go - rzekł Jan II, nie wiedząc jeszcze, ile będzie osobiście kosztował Francję, ale już począł odgrywać hojnego.

Wówczas odpowiedział mu książę Edward:

- W imię miłości do was, Panie Kuzynie, sam wykupię tego Arcykapłana i zwrócę mu wolność, jeśli tego sobie życzy.

Wokół stołów było coraz gwarniej. Wino i żarłocznie zajadane mięsiwa uderzały do głowy tym zmęczonym wojownikom, którzy od rana nie przełknęli ani kęsa. Zgromadzenie przypominało dworskie biesiady po wielkich turniejach, a zarazem targ na bydło.

Morbecque i Bernard de Troy nie zaprzestali jeszcze się swarzyć o pojmanie króla.

- Powiadam wam, że ja go wziąłem!

- O nie, byłem tuż przy nim, wyście mnie odsunęli!



- A komu on oddał rękawicę?

W każdym razie nie im przypadnie okup, na pewno olbrzymi okup, ale królowi Anglii. Król jeniec należy do króla. Spierali się, aby wiedzieć, który z nich dostanie rentę, jaką król Edward nie omieszka przyznać. Pytanie, czy więcej by nie zyskali biorąc do niewoli bogatego barona i dzieląc się okupem. Bo okupem Anglicy się dzielili, jeśli dwóch albo trzech pojmało tego samego jeńca, czy też wymieniali.

- Oddajcie mi pana de la Tour; znam go, to krewniak mojej zacnej małżonki. Oddam wam Mauvineta, którego pojmałem. Wygracie na tym, jest seneszalem Turenii.

Nagle król Jan uderzył na płask dłonią w stół.

- Moi panowie, szlachetni panowie, słyszę o wszystkim, co załatwiacie z rycerzami, którzy was wzięli do niewoli zgodnie z honorem i rycerskim obyczajem. Bóg zapragnął, abyśmy doznali porażki, ale spójrzcie na względy, jakimi nas się otacza. Musimy dochować cnót rycerskich. Niech nikt się nie waży uciekać czy złamać dane słowo, bo go pohańbię.

Rzekłbyś, że ten pokonany rozkazuje, stroi się w majestat, aby skłonić swych baronów, by w niewoli przystojnie się zachowywali.

Podziękował mu za to ksiązę Walii, który właśnie nalewał mu wino Saint-Emilion. Król Jan uważał, że ten młodzieniec jest nader miły. Jaki jest uprzejmy, jakie ma dworne maniery. Król Jan chciałby, aby jego synowie byli doń podobni! Na skutek napojów i zmęczenia nie oparł się i spytał:

- Czy nie znaliście Pana z Hiszpanii?

- Nie, drogi Panie; starłem się z nim tylko na morzu...

Dworny był młody ksiązę, mógłby powiedzieć: „Zwyciężyłem go...”

- Był to mój dobry przyjaciel. Przypominacie mi go obliczem i postawą... - Po czym nagle dodał ze złością w głosie: - Lecz nie proście mnie, żebym zwrócił wolność memu zięciowi z Nawarry, nawet za cenę życia tego nie uczynię.

Króla Jana II przez chwilę otaczał prawdziwy majestat; przez bardzo krótką chwilę, wnet po wzięciu go do niewoli. Otaczał go majestat druzgocącej klęski. A oto znów powracały jego nawyki: sposób bycia odpowiadający przesadnemu wyobrażeniu o własnej osobie, powracały słaby osąd, błahe troski, gorszące namiętności, głupie porywy i zacięta nienawiść.

Niewola w pewien sposób nie była dlań przykra, rozumie się, niewola ozłocona, królewska. Obludny ten pyszałek nareszcie się spotkał ze swym prawdziwym przeznaczeniem: klęską. Skończone na jakiś czas: troska o rządy, walka z niepowodzeniem w królestwie, kłopoty z wydawaniem rozkazów, których nikt nie wykonuje. Teraz ma spokój; może brać na świadka nieprzychylnie mu niebo, stroić się w żałobne szaty i udawać, że z godnością znosi bolesny los, który mu tak bardzo dogadza. Niech inni biorą na swe barki ciężar rządów nad krnąbrnym ludem! Zobaczy się, czy lepiej sobie poradzą...

- Gdzie mnie zawieziecie, kuzynie - zapytał.

- Do Bordeaux, drogi Panie, zamieszkacie tam w pięknym pałacu, godnie was zaopatrzę, wydam igry, aby was ucieszyć, póki się nie

ugodzicie z królem, moim ojcem.

- Czy może istnieć jakaś uciecha dla króla w niewoli - odparł Jan II, już baczny na własną osobę.

Ach! dlaczego o świcie tego dnia w Poitiers nie zgodził się na warunki, jakie mu zaoferowałem? Czy kiedykolwiek widziano takiego króla: rano mógł wszystko osiągnąć nie dobywając miecza, mógł utwierdzić znów swe panowanie nad czwartą częścią królestwa kładąc jedynie swój podpis i pieczęć na traktacie, który mu proponował ścigany przezeń wróg, a on odmówił... wieczorem zaś popadł w niewolę!

Jedno „tak” zamiast „nie”. Czyn nieodwracalny, jak hrabiego d'Harcourt, który w Rouen wszedł na schody miast wyjechać z zamku. Jan d'Harcourt pozostawił tam głowę; teraz całej Francji groziła agonía.

Najbardziej zdumiewający i nieuzasadniony jest fakt, że ów niedorzeczny król, który jedynie z uporem psuł wszelkie możliwości wybrnięcia z nieszczęścia i wcale nie był miłowany przed bitwą pod Poitiers, wkrótce potem, ponieważ został zwyciężony, ponieważ był w niewoli, stał się przedmiotem podziwu, litości i miłowania dla swego ludu, dla części swego ludu. Jan Dzielny, Jan Dobry...

I tak się rozpoczęła wieczerza u księcia. Ci pojmani baronowie i rycerze, mając pełne prawo czynić wyrzuty królowi, który ich doprowadził do nieszczęścia, teraz wynosili pod niebiosa jego odwagę, wielkoduszność, czy ja wiem co jeszcze? Zwyciężeni byli przekonani, że mają czyste sumienie i że zachowali cześć. Kiedy powrócą, a rodziny ich wykrwawiają siebie i wykrwawiają własnych chłopów, by zapłacić okup, możesz być pewny, że ci zwyciężeni dumnie powiedzą: „Nie byliście jak my przy boku naszego króla Jana...” Ach! będąż rozprawiali o tym dniu w Poitiers!

W Chauvigny Delfin, w towarzystwie braci i otoczony kilku sługami, spożywał smutny posiłek, kiedy doniesiono mu, że ojciec jego żyje, lecz jest w niewoli. Saint-Venant powiedział:

- Do was teraz, należą rządy, Dostojny Panie.

O ile mi wiadomo, nie było w historii osiemnastoletniego księcia, który by obejmował władzę w tak żałosnych okolicznościach. Ojciec w niewoli, szlachta zdziesiątkowana poniesioną klęską, dwie nieprzyjacielskie armie obozujące w kraju - bo Lancaster wciąż przebywał na północ od Loary - kilka spustoszonych prowincji, pustki w Skarbcu, doradcy chciwi, podzieleni na klikę, znenawidzeni, szwagier uwięziony w twierdzy, lecz jego stronnicy bardzo czynni, bardziej niż kiedykolwiek podnosili głowy, niespokojna stolica, przez garść ambitnych mieszczan podburzana do buntu... Dodaj, że młodzieniec jest słabego zdrowia, a zachowanie się jego w bitwie nie przysporzyło mu sławy.

W Chauvigny, tegoż wieczoru, kiedy postanowił najkrótszą drogą wrócić do Paryża, Saint-Venant go zapytał:

- Jakie tytuły, Dostojny Panie, winni nadawać waszej osobie ci, co będą przemawiać w waszym imieniu?

Delfin odrzekł:

- Ten, jaki posiadam, Saint-Venant, ten, który mi Bóg przeznaczył, generalnego namiestnika w królestwie.

Były to mądre słowa...

Minęły już trzy miesiące. Nic nie ma straconego, ale też nic nie zwiastuje polepszenia; na odwrót, Francja się rozpada. Za niespełna tydzień znajdziemy się w Metz, gdzie, wyznam ci, nie przewiduję, by coś dobrego wynikło, chyba że dla Cesarza, ani by powstało jakieś wiekopomne dzieło dzięki wspólnym staraniom namiestnika w królestwie, który nie jest królem, oraz papieskiego legata, który, niestety, nie jest papieżem.

Czy wiesz, co mi ostatnio doniesiono? Pogoda jest tak piękna, dnie tak ciepłe w Metz, że Cesarz, w oczekiwaniu przeszło trzech tysięcy książąt, prałatów i wielmożów, postanowił, jeśli pogoda się utrzyma, wydać ucztę bożenarodzeniową na świeżym powietrzu w zamkniętym ogrodzie.

Uczta na świeżym powietrzu w Lotaryngii, w czasie Bożego Narodzenia, rzecz dotąd niespotykana.



**KONIEC tomu 7, ostatniego**

**Księgozbiór DiGG**



**2010**